

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Żadan: Stanęliśmy naprzeciw barbarzyńców • Kto zabił Darię Dugin • Twardoch pisze z przeszłości • Jak ożywić Odrę • Czy moje dziecko jest trans



WYSOKIE OBCASY

Plebanek:
Przepisałyśmy mity.
Boginie się zbuntowały
„Gender problem”?
A co to?



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



IGA
ŚWIĄTEK

Będę wciąż okazywać wsparcie Ukrainie. Czuję, że to dobry sposób na przypomnienie, że wojna trwa

FOT. KATARZYNA MILEWSKA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Co Niemcy myślą o 1 września.
Dla enerdownców Hitler to był łobuz z RFN

W obronie wizerunku narodu
Dzisiejsza polityka historyczna obficie czerpie ze wzorców PRL

Ludzie Ziobry nie chcą popłynąć za Odrę. Ochrona środowiska, Lasy Państwowe i Polski Związek Łowiecki – tam urządzają się działacze Solidarnej Polski ►16-17

Jacek
Żakowski

Dla Rosjan – tak. Dla raszystów – nie

Tych Ukraińców, którzy pod wpływem wojny staczają się w nacjonalizm, usprawiedliwia wojna. My nie doświadczamy potworności putinowskiej agresji. Jeśli się staczamy, to na własną odpowiedzialność. Kiedy więc słyszę przedstawicieli nie-PiS-u rozważających represjonowanie obywateli Federacji Rosyjskiej z powodu ich paszportu, to ciarki mi chodzą po plecach.

Nim pomysł, by Rosjanom nie dawać wiz do Unii, okrzepnie i zostanie znormalizowany, trzeba bez owijania w bawełnę powiedzieć, że należy on do tej samej logiki, która stoi za myślą Darii Dugin, jej ojca i Putina. Oczywiście nie jest tak radykalny jak wzywanie, by mordować Ukraińców, „bo to nie ludzie”, ale pokazuje, jak delikatna jest granica między nimi a nami.

Nawet w umiarkowanej formie kara za paszport to pomysł fundamentalnie sprzeczny z tym, czego bronimy przed Putinem, Xi, Kaczyńskim/Ziobrą itp. W globalnej zadymie chodzi bowiem nie o to, że jesteśmy Europejczykami, a oni Rosjanami, Chirczykami albo pisowcami, tylko o to, że w centrum naszego kosmosu jest osoba wyposażona w indywidualne prawa, a centrum ich kosmosu to wielkie agregaty – narody, imperia, państwa, partie – dla których

jednostki są tylko materiałem lub karmą. Dla tego Putin nie oplakuje tysięcy rosyjskich żołnierzy z jego winy poległych w Ukrainie, a Kaczyński nie upamiętnia tysięcy nadmiarowych zgonów spowodowanych lekceważeniem walki z pandemią przez rząd.

Oczywiście wkurza mnie rozbijanie się raszystów po zachodnich kurortach i stolicach. Raszysci powinni zająć korę w ukochanej tundrze, a nie kałamarnice w Cannes. Ale po 80 latach zmagania się z totalitaryzmami wolny świat także w polityce wizowej potrafi izolować wrogów bez zbytecznego represjonowania wszystkich obywateli państw rządzonych przez zbrodniarzy.

U schyłku PRL wypełniałem wiele wniosków o wizy do wolnego świata, w których były pytania, jakie po redakcji zamknęłyby dziś raszystom możliwość przyjazdu na Zachód. Pytano o przynależność proszącego o wizę i jego najbliższych do partii komunistycznej, jej satelitów oraz przybudówek, o pracę lub współpracę z aparatem władzy i przemocy, w tym z partyjnymi mediami, o inne formy wspierania reżimu komunistycznego.

Z jednego formularza pamiętam koronne pytanie: „Czy popierasz system komunistyczny?”. Dziś można je zastąpić pytaniem: „Czy popierasz inwazję Rosji na Ukrainę?”, i postawić obok obecnego w wielu formularzach pytania: „Czy popierasz terroryzm?”. Dużo więcej nie trzeba, by raszyski z raszystami tańczyli w Soczi zamiast w Grecji czy we Francji. I żeby inni Rosjanie nie cierpieli.

Na koniec pytanie: skoro od dawna wiemy, jak zrobić to po naszymu, czyli karząc winnych i oszczędzając niewinnych, dlaczego nasi politycy, eksperci i komentatorzy się zastanawiają nad zrobieniem tego w sposób sprzeczny z liberalno-demokratycznymi wartościami?

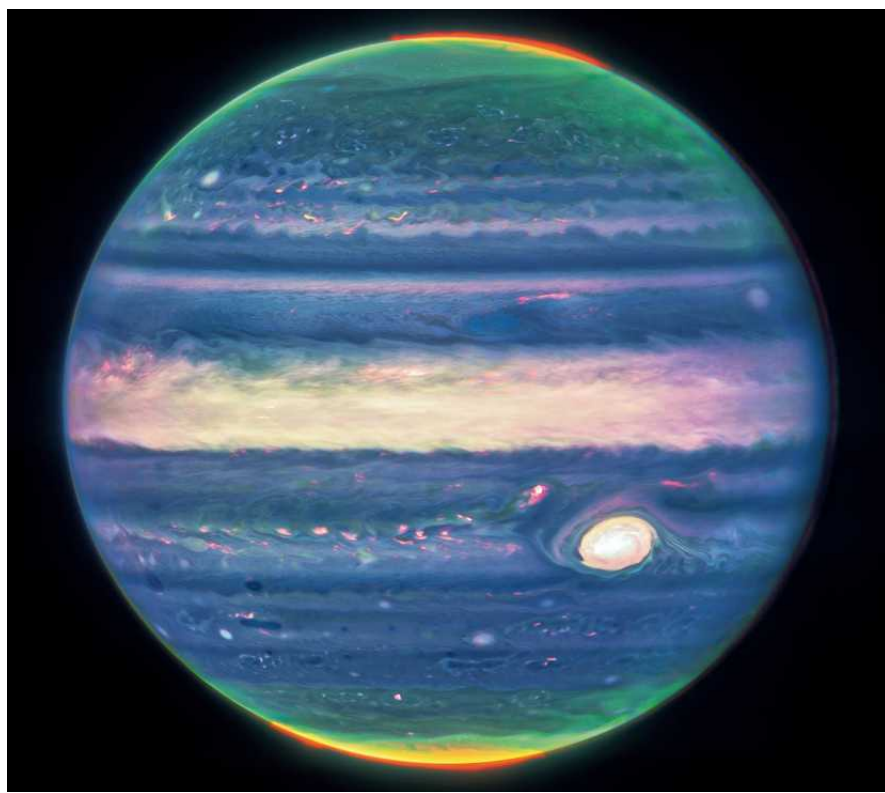
Odpowiedź optymistyczna: bo są niekompetentni i trzeba szukać lepszych.

Odpowiedź pesymistyczna: bo duginowsko-putinowska zaraza, która militarnie utknęła w Ukrainie, przełamala nasz tożsamościowy front i zaraża obóz liberalno-demokratyczny.

Która odpowiedź jest bardziej prawdziwa? ●



Kosmiczne zdjęcia Webba Wielkie piękno



Gigantyczne cyklony, barwne pasy atmosfery, wiry, zorze polarne, pierścienie i księżyce Jowisza – wszystko to widać na najnowszych zdjęciach, które wykonał Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba. Obok: Jowisz jest sfotografowany w bliskiej podświetleniu (kolory są sztucznie dobrane zgodnie z długocieniami rejestrowanych fal)

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

FOT. NASA

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Cytat dnia

Myślę o biednej dziewczynie. Niewinni płacą za wojnę



PAPIEŻ FRANCISZEK
o ataku na Darię Dugin

Mała Ukrainka w Warszawie Załuźny rozkręca imprezę

Zaczęło się od zakupów. – To był trudny tydzień. Możesz sobie coś wybrać – powiedziała córce Mariia Semenchenko, kiedy weszły do sklepu w Warszawie. Sześcioletnia Sania pokrzykuje z radości i pędzi do kasy. Wybrała sobotnie wydanie „Gazety Wyborczej” ze zdjęciem generała Walerija Załuźnego na okładce. W kolejce śpiewa: „Załuźny mutyt dwiż” (dosłownie: „Załuźny wzniesie ruch”, ale to wyrażenie slangowe, młodzieżowe, w dodatku ukraińsko-rosyjskie – przetłumaczmy je zatem: „Załuźny rozkręca imprezę”). To piosenka grupy Oisho BTZ. Nagrali ją w maju, gdy Ukraińcy zatopili krawężnik „Moskwa”.

Mariia Semenchenko napisała o córce na Facebooku i dodała: „Jakie życie, takie małe radości sześciolatki”. Niedługo później jej post udostępnił na swoim profilu Walerij Załuźny, naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy. „Nasza przyszłość to te maluchy. Szczerze wierzę w nas i nasze zwycięstwo. To dla Was wykonujemy swoją pracę” – skomentował.



FOT. MARIA SEMENCHENKO

Informacja rozeszła się już po FB, na przykład z komentarzem: „Sania rozkręca imprezę”. Z dziewczynką i jej mamą rozmawiał też ukraiński kanał telewizyjny TSN.

Sania to formalnie Oleksandra, jest córką dziennikarki i operatora telewizyjnego. Przyjaciółka rodziny pisze o niej na FB, że uwielbia Załuźnego, a na urodziny zażyczyła sobie niebiesko-żółty tort. Nie lubi syren, bo była w Kijowie, gdy Rosjanie rozpoczęli drugi etap inwazji na Ukrainę. ●

Ewa Zientarska

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Okrutne morderstwo i dziwne śledztwo

Prawdopodobnie we wrześniu zapadnie wyrok w sprawie bezprecedensowej zbrodni w historii polskiej i światowej kryminalistyki – brutalnego zabójstwa i oskórowania 23-letniej studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego z Krakowa. **Reportaż Moniki Góry**



Ekonomia+

Gdzie te dzieci?

Demografia Polski nigdy nie stała pod większym znakiem zapytania. Stan gospodarki sprawił, że młodzi zawieszają plany o założeniu rodziny, za to na poważnie zaczynają myśleć o emigracji. Dzieci „odłożone na później” mogą się nigdy nie urodzić.

Czarne chmury nad Muzeum Polin

Rząd chce wykreować nowy obraz Zagłady

Obawiam się, że Polsce grozi kolejny kryzys w stosunkach polsko-żydowskich

Markowicz*

Losy Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin” leżą mi na sercu, w końcu przyczyniłem się do jego powstania. Tymczasem zbierają się nad nim czarne chmury – już sam fakt powołania przez ministra kultury Piotra Glińskiego na członka rady muzeum skompromitowanego swoimi e-mailami Bronisława Wildsteina daje dużo do myślenia. Z przeciekłej do prasy korespondencji Wildsteina z premierem Morawieckim wynika, że ich cel jest prosty: wymiana kierownictwa i kluczowych pracowników wszystkich instytucji zajmujących się tematyką żydowską w Polsce na ludzi posłusznych władzy PiS i zmiana narracji historycznej dotyczącej postawy Polaków w czasie okupacji.

Dyskurs o tym toczy się w Polsce od 2000 r., kiedy ukazała się książka Jana Tomasza Grossa „Sąsiedzi” o spaleniu w stodole kilkuset Żydów przez mieszkańców miasteczka Jedwabne. Czasem zaognia się on do rangi kryzysu międzynarodowego, jak podczas próby kryminalizacji wypowiedzi pokazujących Polskę w negatywnym świetle. Obecny zamiar rządu wykreowania nowego obrazu Zagłady jest niepokojący, a działalność Wildsteina może doprowadzić do następnego niepotrzebnego konfliktu.

Wildstein już przygotowuje grunt dla swoich dalszych kroków, co widać w wywiadzie, jakiego udzielił internetowemu „Tygodnikowi TVP”. Przed laty Wildstein gościł w naszym domu w Nowym Jorku i okazał się wtedy niewątpliwie inteligentnym człowiekiem – więc trudno mi sobie wyobrazić, żeby sam wierzył w opinie, które w tym wywiadzie wypowiada.

Przedstawia się jako protektor polskiej tożsamości, która jego zdaniem jest zagrożona przez obce mocarstwa – Rosję, Niemcy, Francję, ale przede wszystkim przez rodzimych kłamców i oszczerców. Wróg czyha! Gdzie ja już to słyszałem?

Wildstein zapowiada, że w Polinie będzie się starał, „by muzeum nie zostało wykorzystane do doraźnych gier politycznych”, i właśnie dlatego chce „przyjrzeć się, jak wystawa wygląda. A następnie zastanowić się, na ile właściwie i bezstronnie ujmuje problem”. Ekspozycję, która jest owocem pracy dziesiątków wybitnych historyków z Polski i świata, która była obiektem setek recenzji i opinii, teraz zamierza weryfikować pan Wildstein. Groza.

Nowego członka rady muzeum drażni też działalność Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN; jego członków, Jana Grabowskiego i Barbarę Engelking, nazywa w e-mailach do Morawieckiego „wrogami narodu”. W wywiadzie natomiast mówi o Grabowskim, długoletnim profesorze uniwersytetu w Ottawie i członku Royal Society of Canada, że „nie jest żadnym badaczem, ale osobnikiem, który nienawidzi Polski i usiłuje ją pokazać w najgorszym świetle. Opowiada bzdury o setkach tysięcy Żydów mordowanych przez Polaków w czasie II wojny światowej. Na potwierdzenie



• W październiku minie osiem lat od otwarcia Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”. Liczba zwiedzających już w zeszłym roku przekroczyła dwa miliony

swoich opowieści nie ma żadnych dokumentów, ale udaje mu się uzyskać spory rezonans”.

Ale nie wspomina o Barbarze Engelking, może to zbyt twardy orzech do zgryzienia – w końcu jest ona niekwestionowanym autorytetem w kwestiach dotyczących zagłady polskich Żydów, a do tego nie ma żydowskich przodków. Była głównym projektantem Galerii Zagłada w Polinie, poświęciła się studiom nad losami Żydów w czasie wojny, które opisuje w swych wstrząsających książkach. To do niej kilka lat temu zwrócił się IPN o pomoc w ustaleniu nazwisk Polaków, którzy stracili życie, ukrywając Żydów. Ilu ich było? Nie wiadomo, ale pewne jest, że w wielu wypadkach wydali ich sąsiedzi, inni Polacy.



Ekspozycję w Muzeum Polin, która jest owocem pracy dziesiątków wybitnych historyków z Polski i świata, która była obiektem setek recenzji i opinii, teraz zamierza weryfikować pan Wildstein

W „Tygodniku TVP” Wildstein tak trywializuje rolę szmalcowników: „Wokół getta warszawskiego działali przestępcy, tzw. szmalcownicy, którzy szantażowali Żydów usiłujących wydostać się za mur, by uzyskać korzyści majątkowe, albo bezpośrednio przekazywali ich Niemcom. Możliwość łatwego i bezkarnego zarobku ściągała męty społeczne. Nie wiadomo, ilu było takich odrażających typów, czy kil-

kuset, czy blisko tysiąc. Na milionowe miasto nie jest to duża liczba”.

Według Wildsteina więc Żyd, któremu udało się ominąć tych kilkuset szmalcowników, mógł czuć się już bezpiecznie wśród innych warszawiaków. Czy stwierdzenie „nie jest to duża liczba” sprawia, że wydawanie Żydów w ręce Gestapo staje się nieistotnym tematem?

Zbulwersował mnie też fragment, w którym Wildstein lekceważy żydowskie świadectwa. „Ofiary są ofiarami, i za to należy się im nasze współczucie i szacunek. Są szczególnymi świadkami, których pamięć jest w dużej mierze zdeformowana przez ich traumę. Powinno się więc do ich świadectw podchodzić bardzo ostrożnie”. I dalej: „Jeżeli skupimy się na pamięci osób, które doznały strasznej traumy, spotykając szmalcowników na swojej drodze, otrzymamy absolutnie zdeformowany obraz historii”. Okazuje się, że ci biedni Żydzi byli tak przerażeni, że nie wiedzieli, co mówią. Może lepiej polegać na świadectwach szmalcowników? Czy na ich podstawie Wildstein chce zmienić narrację Muzeum Polin?

Najistotniejsze jest jednak motto otwierające wywiad: „Holocaust w Polsce był dziełem Niemców. Tylko oni są odpowiedzialni za to straszne przestępstwo i nikt inny”.

Zgadzam się z pierwszym zdaniem, natomiast uważam, że wiele państw powinno mieć poczucie odpowiedzialności za swój albo swoich obywateli współudział w Zagładzie lub za pasywność w jej obliczu. Rząd Stanów Zjednoczonych pośrednio przyczynił się do śmierci wielu Żydów, nie wpuszczając uciekinierów z nazistowskich Niemiec (np. 937 uchodźców ze statku „St. Louis”), ignorując apele o powstrzymanie ludobójstwa i odmawiając bombardowania torów ko-

lejowych prowadzących do obozów śmierci, jako że nie zostały uznane za cele strategiczne. Rząd brytyjski, który dzięki złamaniu kodów Enigmy wiedział, ilu Żydów zostało zamordowanych każdego dnia przez Niemców, nie podzielił się z aliantami informacją o rozpoczęciu i skali operacji „Ostateczne rozwiązanie”, informacji, która mogła wpłynąć na zmianę przebiegu wojny. Aparat państwowy i obywatele Francji oraz innych krajów zachodnich kolaborowali z hitlerowcami przy wyłapywaniu Żydów i ich wysyłce do obozów śmierci. W wielu krajach bałkańskich i Europy Wschodniej zdarzały się wypadki wspomaganie akcji likwidacyjnych oddziałów Einsatzgruppen przez miejscową ludność, a nawet masowych mordów Żydów bez udziału Niemców. Żadne z tych państw nie rozliczyło się dostatecznie z przeszłością – koszmary Holocaustu pozostają przemilczane, rzadko pojawiają się na łamach gazet. Niemniej żadne z tych państw, poza Polską, nie usiłuje wybielać historii okresu wojny poprzez gloryfikację postawy swojego społeczeństwa wobec Żydów.

Misja Wildsteina, uzgodniona z premierem Morawieckim, do tego właśnie zmierza. Uważam, że jakkolwiek kontrowersyjna próba reformy Polinu, muzeum, które przyczyniało się do pozytywnego wizerunku Polski, może doprowadzić do kolejnego kryzysu w stosunkach polsko-żydowskich, który odbije się głośnym echem na świecie. ●

***Victor Markowicz**, matematyki, przedsiębiorca, pierwszy Znamienity Darczyńca Muzeum Polin, od lat 90. aktywny jego orędownik. Wyemigrował z Polski w 1964 r. Od 50 lat mieszka w Nowym Jorku.

STANĘLIŚMY NAPRZECIWKO BARBARZYŃCÓW

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bez sonetów żołnierze przeżyją, bez czystych skarpet nie dadzą rady. Jak już wrócą z okopów, zacznę pisać sonety znowu.

Z **SERHIJEM ŻADANEM***
ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

Powiedziałeś podczas spotkania z czytelnikami w Krakowie, że starasz się nie okazywać publicznie nienawiści wobec Rosjan, mimo że ta nienawiść w tobie siedzi. Rzeczywiście: twoje relacje z wojennego Charkowa wydają się bardzo powściągliwe. Skąd ten spokój?

– Nienawiść to zbyt silne uczucie, żeby można było nim sterować. Nie sposób go ośwoić, dlatego bardzo często się zdarza, że to ono zaczyna tobą zarządzać i działać przeciwko tobie. Na dłuższą metę nienawiść nie dodaje sił, tylko je zabiera. A podczas wojny kontrola emocji jest niezbędna, żeby za szybko się nie wypalić i nie stracić motywacji do działania. Był taki moment, że też mnie to dopadło – chyba w trzecim albo czwartym miesiącu poczułem, że już dłużej nie dam rady. Wyjechałem z Charkowa na kilka dni, żeby odpocząć, i mi to wystarczyło. Ale widziałem też wielu naszych ludzi, którzy dali się w jakimś sensie spalić nienawiści i wściekłości. Nawet nienawiść do polityków, którzy do ostatniej możliwej chwili robili interesy z Putinem, nie dodaje sił.

Jest coś jeszcze: chcemy nie tylko wygrać tę wojnę, ale również jakoś opowiedzieć nas światu, przekazać na zewnątrz nasze racje, a historycy nie są traktowani poważnie. Dlatego tak istotne jest, żeby dobierać odpowiednie słowa i odpowiednią intonację. W innym przypadku działasz przeciwko zwycięstwu, na rzecz wroga.

W obliczu barbarzyństwa, jakie was spotyka, naturalną ścieżką wydaje się właśnie nienawiść.

– Tak, ale ta ścieżka prowadzi w pułapkę. Wróg jest podły, wróg jest podstępny, wróg od dawna pracuje nad zbudowaniem obrazu Ukraińca jako nacjonalisty, faszysty, nazisty. A naszym zadaniem jest, żeby w tę pułapkę nie wpaść, choć w obliczu krwawej, okrutnej wojny jest to bardzo trudne. W historii nie ma aż tak dużo wojen, w których jedna ze stron byłaby aż tak bardzo niewiarygodna. Walczymy z wrogiem, który nie przestrzega międzynarodowego prawa, nie dotrzymuje żadnych umów. Nie ma ani jednego słowa wypowiedzianego przez wroga, któremu można było uwierzyć. Ale wszystko to nie zmienia faktu, że wojna to nie jest jednorazowy i emocjonalny wpis na Facebooku, tylko świat, z którym, żeby skutecznie w nim funkcjonować, trzeba się ośwoić. To jest świat, w którym przyjdzie nam spędzić dużo czasu, dlatego trzeba szukać siły i sposobu, żeby siły oszczędzać.

Nienawiść do Rosji czuć w Polsce, jakby znalazła w końcu ujście. Cała kultura rosyjska znalazła się na cenzurowanym, z Puszkiniem i Szostakowiczem. Nasz minister kultury zlikwidował rosyjskojęzyczną sekcję portalu promującego polską kulturę na Wschodzie.



– Trudno mi to komentować, bo nie do końca rozumiem polski kontekst. Nie wiem na przykład, jakie znaczenie dla polskiego ucznia ma literatura rosyjska.

Marginalne. Dostojewski na poziomie podstawowym w liceum i Bułhakow na poziomie rozszerzonym. Współczesna literatura rosyjska to towar ekskluzywny, a klasyką żywią się głównie teatry.

– Zakładam, że traktowana jest jako literatura obca. U nas do wybuchu wojny istniały trzy kategorie: literatura ukraińska, obca i... rosyjska. To było schizofreniczne podejście: niby wiemy, że Rosjanie to osobny naród, a Rosja to osobny kraj, niby jest granica i stoi na niej szlaban, a jednak literatura rosyjska wymagała osobnej kategorii, innej niż dla Polaków, Litwinów czy Niemców.

Czym zasłużyli sobie Rosjanie na takie wyróżnienie?

– Tym, że u naszych czynowników buzowały kompleksy i lęk przed potraktowaniem Puszkina jako zagranicznego autora. A można przecież edukować kolejne ukraińskie pokolenia bez ciągłego spoglądania tylko na Puszkina, można edukować na swojej literaturze. Oczywiście ja nie widzę nic złego w tym, żeby o literaturze i kulturze rosyjskiej rozmawiać, ale Ukraina musi przezwyciężyć ten status państwa kolonialnego. Musi uciec ze strefy wpływów

Serhij Żadan

• (ur. w 1974 r.) - ukraiński pisarz, poeta, muzyk. Autor m.in. „Woroszytówgradu”, „Mezopotamii”, „Internatu”, „Anarchy in the UKR”, laureat Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”, Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich. Człowiek Roku 2022 „Gazety Wyborczej”. Mieszka w Charkowie

Rosji: kulturalnych, informacyjnych, politycznych.

Ja nawet nie zastanawiam się, czy to jest dobry, czy zły proces. Wiem, że jest on nieunikniony, jeśli mamy przetrwać jako państwo. Dla Ukrainy w tej chwili konieczne jest rozerwanie wszystkich możliwych związków z Rosją. To nie sąsiad, tylko złoczyńca, który nas morduje i na którego mapach Ukraina nie istnieje. Który jest oburzony, że mieszkają przy jego granicy jacyś dziwni ludzie, którzy nie chcą być narodem rosyjskim i nie chcą mówić po rosyjsku. Dlatego trzeba ich zniszczyć, nie tylko Żelenskigo czy Poroszenkę, nie tylko obywateli ukraińskojęzycznych czy tych, którzy czują związki z Banderą albo Petlurą. Trzeba zniszczyć wszystkich.

Mój Charków zamieszkały był przecież przez pokojowo nastawionych cywilów, często bez wyraźnego koloru politycznego. Rosjanie nie pytali nas o polityczne poglądy, tylko zaczęli bombardować i ostrzeliwać rakietami. Postanowili nas zniszczyć za to, że mamy ukraińskie paszporty. Dlatego nie wydaje mi się etyczne prowadzenie w Ukrainie dyskusji o obecności w programach nauczania Puszkina czy Dostojewskiego. Wrócimy do tego za 50 lat.

Wojna odkryła imperialny gen literatury rosyjskiej, obecny nawet tam, gdzie się go trudno spodziewać. Na przykład u Brodskiego, który napisał paszkwil „Na niepodległość Ukrainy”. „Niechaj teraz w lepiance chórem z wami Hansy/ z Lachami zrobią porządek, pohańcy./ Jak leżę w pętli, to razem, zupkę jeść pospołu./ A milej w pojedynkę kurę gryźć z rosolu”.

– Och, to jest bardzo ciekawy przypadek. Żydowski wygnaniec, którego nie chce imperium, okazuje się nosić w sobie gen rosyjskiego szowinizmu i tęskni za Związkiem Radzieckim, mówiąc i myśląc imperialnie.

Chyba każdy z nas, Ukraińców, ma swoich ulubionych pisarzy, muzyków rosyjskich, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że jest to ciągle kultura, która ma w genach imperializm i szowinizm. Brodski tylko to potwierdza.

Dlaczego uważasz, że wraz z wybuchem wojny literatura w twoim życiu powinna zejść na drugi plan? Twoją osobistą bronią jest słowo. Od 2014 roku jeździłeś po jednostkach wojskowych i okopach, żeby spotykać się z żołnierzami i czytać im wiersze, dodając w ten sposób sił.

– 24 lutego zmieniło się wszystko i wkroczyliśmy w pełnowymiarową, totalną wojnę. W tej sytuacji siedzieć i pisać wiersze byłoby trochę niezręcznie, nie sądzisz?

Dlatego zaangażowałem się w pomoc dla żołnierzy. Przez te sześć miesięcy kupiliśmy dla wojska i służb ratowniczych około stu samochodów, o innych rzeczach nie wspominając. To zupełnie inny poziom zaangażowania i efektywności. Nie mówię tego, żeby deprecjonować literaturę: po prostu zrozumiałem, że los Ukrainy nie rozstrzygnie się na Facebooku czy na łamach gazet literackich, do których pisywałem, tylko w okopach, gdzie siedzą ukraińskie chłopaki i dziewczyny. A oni potrzebują tam wszystkiego. Potrzebują czystej bielizny i czystych skarpet, termowizorów i kamizelek kuloodpornych, potrzebują samochodów, jedzenia, leków, amunicji, wszystkiego.

Nie bagatelizowałbym siły słowa. W „Die Zeit” oskarżyłeś niemieckich intelektualistów, którzy wzywają do negocjacji między Ukrainą a Rosją, o „cynizm i niesprawiedliwość”. „O czym my właściwie mówimy? Że my, Ukraińcy, mamy przesadne zamiary? Że będziemy dłużej stawiać opór, jeśli dostaniemy więcej broni? I że w tym tkwi prawdziwy problem? Czy autorzy listu naprawdę nie rozumieją, co czeka Ukraińców, gdy złożą broń?” – pytałeś. To zostało usłyszane w Niemczech.

– Tak, słowo ma wagę i nie zamierzam go lekceważyć, ale dla mnie podstawą jest teraz praca wolontariusza. Bez sonetów żołnierze przeżyją, bez czystych skarpet nie dadzą rady. Jak już wrócą z okopów, zacznę pisać sonety znowu.

Myślisz czasami, co robią twoi bohaterowie? Cała ta galeria charkowskich bandziorów, rzezimieszków, drobnych kryminalistów, o których pisałeś z ironią i czułością? Co robią bracia Lichuje, San Sanycz, Goga, bezrobotni cyrkowcy Byczko?

– Cóż, chciałbym oczywiście powiedzieć, że wszyscy biją się dzisiaj za wolną Ukrainę, ale tak chyba nie jest. Ale spotykam się czasami z ludźmi, którzy są pierwowzorami bohaterów moich książek, i rzeczywiście wielu z nich poszło walczyć. To ważny znak. Muzykanci, urzędnicy, restauratorzy – wzięli mundury i walczą.

Mogę też powiedzieć, że wielu charkowskich bandytów, kryminalistów, chuliganów, kiedy przyszedł czas próby, ujawniło swoją lepszą stronę i wielkie serce. Nie uciekli, tylko poszli się bić za Ukrainę.

A Pasza, główny bohater „Internatu”? Poprowadziłeś go przez zimowy Donbas i szarą strefę, świat o niejasnym statusie – wojna ni to jest, ni to jej nie ma, krąży gdzieś za horyzontem.

– Z Paszą jest inna historia. Napisał kiedyś do mnie pewien człowiek, który mieszkał gdzieś koło Ługańska i widział wejście separatystów. Bardzo się bał. To poeta, o polityce raczej z nim nie pisałem: separatystów nie wspierał, ale nie uważał też, że trzeba bić się o niepodległość. Teraz nie mamy kontaktu – uznaliśmy, że to może być dla niego niebezpieczne.

Jak wygląda w tej chwili szara strefa? Mało w Polsce o niej wiemy, a podobno na terenach pomiędzy jedną a drugą linią frontu żyją ciągle ludzie.

– Owszem, żyją i tam panuje najgorsza sytuacja. Trudno się do nich dostać – nie mają prądu, wody, gazu, podstawowych produktów higienicznych, jedzenia, ich życie jest nieustannie zagrożone, pocisk może nadlecieć w każdej chwili. To już paradoksalnie łatwiej poruszać się tym Ukraińcom, którzy dostali się pod rosyjską okupację – mogą przynajmniej wyjechać. Próbujemy tam jeździć z wolontariuszami: miejscowi żyją właściwie w komunach, dzielą się zapasami, mlekiem, jeśli ktoś ma krowę. Mieli możliwość wyjazdu na początku wojny, ale z niej nie skorzystali. Teraz z wyjazdem jest znacznie trudniej.

Co stanie się z nimi zimą? Ruszą na zachód? Ostrożne szacunki mówią, że bez prądu, wody, gazu pozostaje we wschodniej Ukrainie około pół miliona osób.

– Nie wiem, co zrobią, ale na pewno nie jest to wyłącznie kwestia szarej strefy. Moja mama mieszka pod Charkowem, w domu jednorodzinnym. Muszę kupić kocioł na drewno, żeby było czym ogrzać jej dom.

Sytuacja w samym Charkowie na pewno będzie bardzo trudna. Mieszkańcy już przygotowują drewno na zimą, bo Rosjanie uderzyli w infrastrukturę ciepłowniczą, żebyśmy zamarzli. Dlatego już teraz zbieramy dla żołnierzy ciepłą zimową odzież.

Jaką logiką kierują się Rosjanie w czasie tej wojny? Po ataku raketowym na centrum Winnicy jej mer opowiadał, że terror wobec ludności cywilnej ma cel: wymęczyć społeczeństwo ukraińskie tak, żeby samo zaczęło naciskać na podjęcie rokowań z Rosjanami.

– To się nie zdarzy. Każdy taki atak wyłącznie potęguje nienawiść. Jeśli komukolwiek wydaje się, że skłoni w ten sposób Ukraińców do kapitulacji, nie rozumie psychologii naszego społeczeństwa.

Jaka to psychologia?

– Kto wie, być może opór nie byłby tak silny, gdyby nie rosyjska strategia. Jakaś część społeczeństwa rozumowała na początku wojny następująco: my do Rosjan nic nie mamy, tylko niech zostawią nas w spokoju i pozwolą żyć jak dotychczas. To znamienne, że wielu charkowian poszło walczyć nie w pierwszym dniu wojny, tylko w trzecim, czwartym tygodniu, kiedy miasto zaczęło

obracać się w ruinę. Zobaczyli, że Rosjanie nie przyszli po to, żeby zdjąć ze stanowiska Zelenskiego i na jego miejsce postawić kogoś innego, nie przyszli, żeby zedrzeć sztandary UPA czy walczyć z tymi mitycznymi nacjonalistami. Przyszli po to, żeby zniszczyć całą Ukrainę. Jeszcze kilka dni temu zbombardowali internat dla głuchoniemych z ludźmi w środku.

Jeśli zatem ktoś myśli, że charkowanie będą domagać się wyjścia ukraińskiej armii z Charkowa, jest w błędzie. Domagamy się broni i obrony przeciwrakietowej.

Podczas kryzysu humanitarnego we Lwowie byłem na dworcu kolejowym. Miałem wrażenie, że nikt tak nie opłakiwał swojego miasta jak właśnie charkowianie.

– Siła lokalnego patriotyzmu okazała się dużo większa, niż myślałem. Jeżdżę teraz po Polsce i na każdym spotkaniu są mieszkańcy Charkowa. Płaczą, chcą wracać, nie pogodzili się ze stratą.

Ty zastanawiałeś się, czy wyjechać?

– W dniu wybuchu wojny miałem grać koncert w Winnicy. Wsiedliśmy z zespołem w autobus i wieczorem byliśmy w mieście. I tak zostało. Pomagałem zakładać batalion Charkija, w którym walczą mieszkańcy Charkowa – organizuję im logistykę, pomagam, jak mogę.

Natomiast moja rodzina wyjechała do Lwowa.

Podobno miałeś propozycje wyjazdów za granicę?

– Mam je ciągle: mógłbym mieszkać w Niemczech, w Polsce, we Francji. Nie ma o czym mówić, nigdy nie brałem tego pod uwagę.

Nawet kiedy przystawili ci karabin do głowy?

– To było w trzecim dniu wojny. Wieźliśmy generator dla wojska i zatrzymali nas żołnierze ukraińscy na blokpoście. Było trochę nerwowo, ponieważ nieco wcześniej w tej okolicy doszło do walk z Rosjanami, którzy próbowali wdrzeć się do miasta. Ale wyjaśniliśmy sobie wszystko, potem nawet zrobiliśmy wspólne zdjęcia, gdy mnie rozpoznali. Nie mam o to pretensji – jest wojna, żołnierze poddani są niewiarygodnej presji, nie wiedzą przecież, czy z samochodu na posterunku wysiada przyjaciel, czy wróg.

W 2014 roku prorosyjscy demonstranci pobili cię tak, że mogłeś stracić oko.

– Tak, podczas wiecu poparcia dla Majdanu pojawiło się trochę „turystów”. Mieli palki i paralizatory. Skończyło się na rozbitej głowie i zszytej gałce ocznej.

Widać w Ukrainie taki paradoks: część kraju obrócona jest w perzynę, a część zdaje się żyć normalnym życiem.

– To nie paradoks, tylko nasze szczęście. Pojechałem niedawno do Połtawy, 120 kilometrów od Charkowa, i zobaczyłem spokojne życie, niczym w czasach pokoju, o czym mówię bez cienia pretensji. Co by to było, gdyby cały kraj żył w stresie i strachu?

Pytałeś wcześniej o logikę Rosjan. Infrastruktura Charkowa, który ich powstrzymuje, jest właściwie martwa, prawie nic już u nas nie działa. Zajezdnie tramwajowe, ostatnie działające fabryki – wszystko jest celem ataku Rosjan. Dlaczego płoną wagony tramwajowe? To proste: Rosjanie chcą sparaliżować miasto, żeby nie dało się w nim żyć. Tak, jest w tym terrorze bezsprzeczna logika. Tym większa rola miast takich jak Połtawa, Lwów, Czerniowce czy Użgorod, które muszą pracować na wsparcie miast położonych tuż przy linii frontu.

Można przyzwyczaić się do wojny?

– Oczywiście. Do syren, ciągłego ostrzału, pocisków nad głową. Oczywiście przyzwyczajenia nie wolno mylić z rezygnacją, to zupełnie inne sprawy.

Przyjechał do Charkowa znajomy, siedzieliśmy na balkonie, 18. piętro, piękne

charkowskie niebo. Niewiele więcej jest tam do roboty, bo obowiązuje komandantska godzina, po zmroku nie wolno wychodzić do miasta. No więc spokojnie liczyliśmy rakiety, które przelatywały bliżej lub dalej. Znajomy uznał, że należymy do klubu samobójców.

Do wojny można przywyknąć, gdy jesteś w jej środku, ale można też przywyknąć, kiedy dzieje się daleko. I niestety świat szybko począł przywykać. We wtorek zginęło 50, a nie 100 osób – znaczy, że jeszcze nie jest tak źle. W środę Rosjanie wystrzelili 100 rakiet, a nie 200 – znaczy, że mogło być gorzej. Również to miałem na myśli, pisząc o cynizmie zachodnich polityków. Przecież nie może być zgody na ani jedną rakietę i na ani jedną ofiarę. Ukraina potrzebuje, żeby świat o niej nie zapominał i żeby do tej wojny nie przywykł – bez wsparcia świata nie zwyciężymy Rosji. Polska bardzo w tym pomaga.

Ale i u nas toczą się spory o granice zaangażowania, na przykład dziennikarskiego. Przy okazji zbiórki na bayraktara, wymyślonej przez Sławomira Sierakowskiego, pojawili się wątpliwości, czy dziennikarze powinni kupować broń.

– A czy polscy dziennikarze staliby z boku w czasie powstania warszawskiego, na zimno relacjonując barbarzyństwo Niemców, czy też pomagaliby w walce? W Ukrainie giną ludzie, którzy nie walczą, nie mają w rękach automatów. Gina, ponieważ świat nie dostarczył broni, ten świat, który wcześniej zapewniał, że będzie gwarantem pokoju w Ukrainie, i tych gwarancji nie dotrzymał. Krwią i życiem swoich ludzi pokazujemy, czym jest humanizm. Nie mam najmniejszych wątpliwości co do dziennikarskiej pomocy. Nasi żołnierze potrzebują amunicji, samochodów...

Dużo mówisz o samochodach.

– Tak, ponieważ nie każdy rozumie, dlaczego żołnierze potrzebują aut. A samochody na froncie płoną, niszczą się w błyskawicznym tempie, są dziurawione pociskami. Bywa, że przywieziemy gdzieś auto i następne dnia już go nie ma albo nie nadaje się do użytku. Wojskowi jeżdżą tam, gdzie nie ma dróg, a państwo samochodów dla armii nie jest w stanie zapewnić.

A co masz na myśli, mówiąc podczas spotkań z czytelnikami o konieczności „ukrainizacji” kraju?

– Do wybuchu wojny duża część społeczeństwa była rosyjskojęzyczna. Trwała już woj-

Wydaje mi się, że na Zachodzie często zrównujecie nasze polityczne zaangażowanie z nacjonalizmem. Dla nas to jest część tożsamości. Jeśli w Charkowie wolontariuszka przypina sobie czerwono-czarną flagę, to nie znaczy, że przeczytała Bandere i podtrzymuje koncepcję nacjonalizmu z lat 40. Dla niej to oznacza przyjęcie tożsamości ukraińskiej.

Skąd bierze się pomyłka Rosji w ocenie Ukrainy i jej społeczeństwa, o której mówiłeś wcześniej? Z jednej strony przekonanie, że jesteście częścią imperium, tyle że na manowcach, z drugiej strategia, która wskazuje, że najeźdźca Ukrainy po prostu nie zna i nie rozumie.

– Prawda jest taka, że dzięki tej pomyłce Ukraina może tak skutecznie się bronić – terror wywołał powszechną mobilizację społeczną.

Rosjanie nie mają krytycznego myślenia i nie kierują się obiektywną informacją. W ich przekonaniu Ukraina nie jest państwem, tylko historyczną pomyłką i fejkiem, w związku z tym uważali, że bombami, rakietami, gwałtami i grabieżą przymuszają nas do powrotu na łono imperium. I katastrofalnie się pomylili. Okazało się, że mamy armię, prawo, państwo i, co najważniejsze, potrzebę wolności.

Trzeba powiedzieć, że my również nie znaliśmy Rosji do końca, choć wydawało się nam, że coś o niej wiemy. Stanęliśmy na przeciwko barbarzyńców.

Ci barbarzyńcy mają misję. Widzą siebie jako ostatni prawdziwie chrześcijański kraj na świecie, który sprzeciwia się bezbożnictwu, upadkowi moralności i demonom Zachodu. Chcą was nawrócić.

– 30 lat temu miliony Rosjan i Ukraińców opowiedziały się za demokracją. Deklaratywnie demokracja u naszego sąsiada wygrała. Tyle tylko, że w Ukrainie wraz z odzyskaniem niepodległości rozpoczęły się procesy rzeczywistej odbudowy państwa, znaczone bardzo poważnymi problemami. Przecież to Ukraińcy wybrali Janukowycza na prezydenta, a piąta kolumna rosyjska zawsze była u nas bardzo silna. Tak czy inaczej kierowaliśmy się w stronę Europy i jest pewne, że Ukraina do Rosji już nie wróci. Nie będziemy częścią imperium.

W Rosji takie procesy nie zaszły. Były zmitologizowane lata 90., ale jeśli popatrzyć na minione dekady z dzisiejszej perspektywy, widać logiczny ciąg zdarzeń, pokazują-

Siedzieliśmy na balkonie, 18. piętro, piękne charkowskie niebo. Spokojnie liczyliśmy rakiety, które przelatywały bliżej lub dalej. Znajomy uznał, że należymy do klubu samobójców

na w Donbasie, a w naszych telewizorach leciały rosyjskie programy, w domach grała rosyjska muzyka. Jestem przeciwko cenzurze, ale jestem również za taką oświatą i kulturą, która wzmocni siłę języka ukraińskiego. O czymś świadczy fakt, że część urzędników państwowych nie została przy Ukrainie, tylko przeszła na stronę wroga.

Nie obawiasz się, że po wojnie będziecie mieli problem z nacjonalizmem?

– Nie całkiem rozumiem, jaki macie obraz ukraińskiego nacjonalizmu. W Charkowie mnóstwo etnicznych Rosjan przeszło na język ukraiński. To nie są ukraińscy nacjonaści, tylko ukraińscy patrioci.

cy, że Rosja nigdy nie zrezygnowała ze swoich imperialnych ambicji. Koncept niszczenia niezależności narodów miał się tam wtedy świetnie. Najpierw osłabili Moldawię, potem najechali Kaukaz, potem Gruzję, teraz przyszła kolej na Ukrainę.

Na dodatek, kiedy Putin został prezydentem, rozpoczął się proces rewanżyzmu, a najważniejszym bohaterem historii znowu stał się Stalin. To dla nich superbohater.

Serhij, piszesz jeszcze w ogóle wiersze?

– Teraz? Nie, samochody kupuję. Samochody i problem czystych skarpet dla wojska – na tym się skupiam. ●

FOT. GETTY IMAGES

Każdy może przypiąć niebiesko-żółtą wstążkę,
więc dlaczego gra z nią tylko Iga Świątek

SPORTOWIEC BYWA CZŁOWIEKIEM

Obudziła się w pokoju hotelowym w Dausze. Zajrzała na Twittera, bo dziewczyny z jej rocznika telewizji nie włączają. Portale informacyjne – Al-Dżazira, BBC, Onet, Wyborcza – na czerwono, relacja na żywo. Kliknęła w ikonkę wideo. Patrzyła z niedowierzaniem na ekran. Był ciemny. Filmik nakręcono nocą. Czerń gwałtownie rozbłysła. Przerażeni ludzie mówili, że relacja pochodzi z Kijowa, a rozbłyśki i piekielna luna to atak rakietowy. Obraz nierealny, niemożliwy, nie z tego świata – nie z tej części świata. Szarpiący strunę panicznego strachu. Armia rosyjska, pęczniejąca przez kilkanaście tygodni wokół granic, zwała się na Ukrainę z kilku kierunków.

Za kilka godzin miała grać w ćwierćfinale Qatar Open z Aryną Sabalenką – stroniczką Łukaszenki.

Tenisistka podpisała list wspierający go w czasie pacyfikowania przez omonowców ulicznych protestów po sfalszowaniu wyborów na prezydenta.

Zeszła do lobby na śniadanie, tak jak robiła to codziennie, na dziesiątkach turniejów. Ale to już nie był taki sam turniej.

Tak mógł wyglądać tamten poranek 24 lutego.

WSTĄŻKA

Tylko że to świat wymyślony przez dziennikarza. Sportowcy są inni, ich świat jest inny. Tunel. Znacicie to słowo ze sportowego słownika? Często mówią, że muszą stworzyć sobie w głowie tunel prowa-

dzący do celu. Dzięki temu można się skupić na jasnej kropce na końcu. Łatwizna, żadnej dystrykcji. Wykonują czasem przed startem gest, który wskazuje, że chcą się znaleźć w tunelu i jechać nim do zwycięstwa.

A więc prawda jest nieco inna. Iga rzeczywiście dowiedziała się z Twittera o najeździe Rosji rano 24 lutego, choć zwykle nie zagląda w czasie turnieju na Instagram czy Twittera.

Zeszła na śniadanie i przy wspólnym stole rozmawiała ze swoją ekipą o tym, co się stało w Ukrainie. Ale zaraz potem musiała odciąć się od wydarzeń ze świata i skupić się na świecie sportu. I zrobiła to. Wygrała mecz z Sabalenką łatwo w dwóch setach. Po Sabalencie pokonała Marię Sakkari, również

Iga Świątek dla „Wyborczej”

– Wybuch wojny w Ukrainie bardzo mnie poruszył. Nie analizowałam tego bardzo, byłam wtedy w trakcie turnieju i postanowiłam dość spontanicznie zabrać głos, rozumiejąc, jaką platformą dysponują dziś sportowcy. Odbierając trofeum, wspartam Ukraińców i wyraziłam swoją solidarność oraz sprzeciw. Później przyszedł czas na analizę, na zastanowienie się, co mogę zrobić w ramach mojej aktywności. Jako sportowiec i młoda osoba mam wpływ, ale ograniczony, i chcę w tym być odpowiedzialna, nie chcę mówić o rzeczach, o których niewiele wiem. Wiedziałam, że wartością będzie mój głos, który zabiorę w obro- nie słabszych, bo jestem rozpoznawalnym sportowcem i osobą publiczną. Wiedziałam, że w tenisie ten głos był szczególnie potrzeb- ny. Później zdecydowałam się na konkretny symbol, czyli noszenie wstążki w ukraińskich barwach podczas meczów. Sprawy społecz- ne, w jakie się angażuję, wychodzą ode mnie, ale oczywiście rozmawiam o tym z moim zespołem czy bliskimi. Działamy wspólnie i ich zdanie jest dla mnie ważne. W końcu to zespołowo zorganizowaliśmy mecz cha- rytatywny dla Ukrainy i zebraliśmy ponad 2,5 miliona złotych. Jeśli konsultuję z kimś, to raczej to, co realnie możemy zrobić, aby pomóc. Pomaganie nie jest dla mnie kwestią wizerunku, ja po prostu chcę to robić, a mój zespół mnie w tym wspiera.

RADOSŁAW LENIARSKI

w dwóch setach. A 26 lutego, przed finałem z Anett Kontaveit, przyjechała na korty i po raz pierw- szy usiadła przed telewizorem – było kilka wywie- szonych w strefie zawodniczek – i obejrzała relację z wojny. Tak o tym wspominała mi teraz, po pół ro- ku.

Jeszcze wówczas nie wpięła w czapkę wstąż- ki w barwach flagi ukraińskiej. Zrobiła to na na- stępnym turnieju, w którym zagrała – Indian Wells. 9 marca, dzień przed startem w Kalifornii, napisa- ła: „Jestem przeciwna tej wojnie i cierpieniu niewin- nych ludzi. Chcę pokazać, choćby symbolicznie, mo- ją solidarność z Ukrainą, dlatego będę rozgrywała swoje mecze w Indian Wells z małą wstążką w kolo- rach ukraińskiej flagi. Jeśli inni gracze czują się na

siłach, by wesprzeć Ukrainę tym symbolicznym ge- stem, przygotowaliśmy więcej takich wstążek i mo- żemy Wam je podarować”.

Być może jeszcze wtedy nie wiedziała, że w Buczy właśnie w tych dniach rosyjscy żołnierze w amo- ku mordowali mieszkańców seriami z ciężkiej bro- ni maszynowej, rozjeżdżali czołgami auta z ludźmi w środku. A może wiedziała. Bo 7 marca burmistrz Buczy Anatolij Fedoruk mówił w rozmowie z Asso- ciated Press o masowych rozstrzelaniach, torturach, egzekucjach: „Nie jesteśmy w stanie zbierać ciał, bo dzień i noc trwa ostrzał ciężkiej artylerii. Psy roz- szarpują ciała ludzi i ciągną ulicami”.

Początkowo kilkoro zawodniczek i zawodników przypięło podobne symbole wsparcia Ukrainy. Ale

z czasem zniknęły. Jeszcze w maju, w artykule dla BBC, Świątek – już wtedy numer 1 na świecie – napi- sała coś, co nieco umknęło nam, kibicom i osobom, dla których najazd na Ukrainę jest doświadczeniem dojmującym i kształtującym. „Będę wciąż okazywać wsparcie [Ukrainie]. Czuję, że to dobry sposób na przypomnienie, że wojna trwa. Wielu graczy prze- stało nosić wstążki, robili to tylko na początku woj- ny”.

Iga jest pod tym względem wyjątkowa, że nie cze- ka na inicjatywę innych – stąd też mecze charyta- tywne dla Ukrainy w Krakowie, z udziałem m.in. Agnieszki Radwańskiej, dzięki którym zebrano 2,5 mln zł.

Gdy pojawia się jakaś akcja proukraińska, anga- żuje się. Gdy czytasz ten artykuł, Czytelniku, Iga jest już po meczach pokazowych Tennis Plays for Peace w Nowym Jorku, dzięki którym organizatorzy US Open zebrali pieniądze dla Ukrainy, tak jak Polacy dzięki meczom w Krakowie. Imprezę zorganizowa- no 24 sierpnia, w Dzień Niepodległości napadnięte- go kraju. Zgrali też Rafael Nadal, Coco Gauff, John McEnroe, Carlos Alcaraz, Leylah Fernandez, Tay- lor Fritz, Felix Auger-Aliassime, Jessica Pegula, Mat- teo Berrettini.

CZARNA RĘKAWICA

Przyjęło się uważać, że młodzi ludzie nowych gene- racji mają łatwość wyrażania opinii. Że chętniej niż ich poprzednicy w toczącym się kręgu pokoleń za- bierają głos w ważnych sprawach. Być może jest to prawda, choć moje doświadczenie mówi, że spra- wa jest znacznie bardziej skomplikowana. Pokole- nie Z nie jest wyjątkowe w tym, że mówi to, co my- śli. Mam wrażenie, że teraz jest im znacznie łatwiej to robić.

Prawie miesiąc temu, na lekkoatletycznych mi- strzostwach świata w Eugene, podczas finału biegu na 200 m spiker powiedział, że na trybunie honoro- wej są Tommie Smith i John Carlos, bohaterzy sław- nej manifestacji na podium olimpijskim w Meksy- ku w 1968 roku. Mocny, wyrazisty gest – wyciągnię- ta w górę pięść w czarnej rękawicy bosych czarnych sprinterów na podium olimpijskim. Black Lives Matter, tylko pół wieku wcześniej. Gdy tylko zeszli z podium, zostali wyrzuceni z wioski olimpijskiej. Dziennikarze w USA pisali, że motto igrzysk „Szyb- ciejsze, wyżej, mocniej” ze względu na to, co zrobili bie- gacze, powinno brzmieć: „Gniewniej, paskudniej, brzydziej”. Nie były to głosy w USA ani odosobnione, ani najostrzejsze.

Teraz firma odzieżowa Tommy Hilfiger zrobiła serię czarnych bluz z Meksyku. Na stadionie w Eu- gene niemal w stu procentach biała publiczność przywitała Smitha i Carlosa owacją na stojąco za to, co zrobili dla praw człowieka. Wydano bestsellero- wą książkę na ten temat.

Pięściarz Muhammad Ali, którego biała Amery- ka przeklęła w latach 60. za odmowę służby w Wiet- namie i za wstąpienie do organizacji Naród Islamu, ukarała więzieniem i dyskwalifikacją, dziś jest naj- większym bohaterem, bojownikiem walki o prawa człowieka.

MARAZM

I wtedy, i teraz sportowcom nielatwo jest wyar- tykułować swoją myśl, a czasem jest to z różnych względów niemożliwe. W latach 80. trenowałem kajakarstwo. Piękny sport związany z naturą. Zi- ma była jednak dla kajakarzy co roku trudna. Czło- wiek myślał czasem, że lepiej pójść na leczenie ka- nałowe trzonowca niż na trening. W ośrodku przy- gotowań olimpijskich spędziłem ładnych kilka mie- sięcy. Dość długi czas z kolegą Stanisławem w jed- nym pokoju. Trenowaliśmy zimą przy elektrocie- powni na Żeraniu w Warszawie, wioslowaliśmy bez względu na temperaturę. Woda nie zamarzała tam na kilkukilometrowym odcinku. Po treningu wraca- liśmy do akademika zwanego Meksykiem i nic nas nie interesowało. To znaczy Stanisława nic nie in- teresowało. Ja, niestety, musiałem się przebrać i iść na zajęcia w stanie przypominającym wyciągnięte- go z wody krąpia. Zostawiałem Stanisława leżące- go na łóżku i patrzącego w sufit. Po jego minie mo- głem się domyślać, że w głowie ma jedną myśl: trala- la. Sam chciałbym zostać i o niczym nie myśleć po- za tralala. Gdy wracałem po trzech godzinach ana- tomii albo biochemii, Stanisław nadal leżał w tej sa- mej pozycji z otwartymi oczami, jak postać z Chan- dlera. Następnie szliśmy na obiad, szykowaliśmy się na trening, po którym sporo się powtarzało, i tak co-

US OPEN, czwarty i ostatni turniej wiel- koszlemowy roku, odbędzie się między 29 sierpnia a 11 września. Oprócz Igi Świą- tek, numeru jeden w świato- wym rankingu tenisistek, na odkrytych kor- tach twardych w USTA Billie Je- an King National Tennis Center w Nowym Jorku zagra czwórka z Polski: Hubert Hurkacz, Kamil Majchrzak, Magda Linette oraz Magdale- na Fręch.

dziennie, w nieludzkich obciążeniach wysiłkiem. Zawodnik takich sportów jak pływanie, wioślarstwo, biegi narciarskie, kajakarstwo w okresie ciężkich treningów może spalać dziennie 7-10 tysięcy kalorii. Godzina biegu 90-kilogramowego mężczyzny w tempie 5 minut na kilometr to około 1000 kalorii.

Z powodu sportu nie miałem energii na zaangażowanie się w cokolwiek, co działo się obok mnie. Polska w połowie lat 80. była szarą, wymęczoną magmą, „Solidarność” ledwo zipała przyduszona stanem wojennym i zobojętnieniem społecznym, więc pole do działania było. A mimo to dopiero gdy rzuciłem sport, poczułem energię, żeby zajmować się czymś poza nim, zareagować, wypowiedzieć się. To ogólniejszy trend, w którym zawodnicy mówią coś ważnego o sobie dopiero, gdy zakończą karierę (jak Justyna Kowalczyk o swojej depresji w wywiadzie dla „Wyborczej” i Sport.pl po igrzyskach w Soczi w 2014). Wcześniej są zbyt zaangażowani w sport, zbyt nim zmęczeni, zbyt zaabsorbowani planami, zbyt zaganiani karierą.

A może po prostu byłem częścią ogólnego marazmu, otępienia, jakie zapanoowało w naszym kraju w trudnym czasie połowy lat 80. Bo przecież gdy społeczeństwo jest aktywne, to i sportowcy są aktywni, co można było dostrzec podczas protestów w Białorusi po sfalszowanych wyborach prezydenckich, gdzie bardzo wielu zawodników uczestniczących w manifestacjach doznało represji, zostało aresztowanych bądź zmuszonych do wyjazdu z kraju.

KLAPS

Czy to, co związane jest ze specyfiką sportu, z dążeniem do fizycznej doskonałości, ze skupieniem na karierze, która musi wydarzyć się teraz, bo potem będzie za późno, wyjaśnia szokujące, przyznam, zdarzenie, jakie miało miejsce w 2015 roku?

Przez południową Europę szły wtedy na północ setki tysięcy imigrantów. Ofiary wojny, nieszczęśnicy, którzy zrzędzeniem losu urodzili się i mieszkali na nieludzkiej ziemi, a teraz uciekający przed wojną w Syrii, Erytrei, Afganistanie, Libii. Obraz teści biednych ludzi próbujących dotrzeć do lepszego świata domagał się natychmiastowej reakcji. Pamiętacie, w ramach mechanizmu relokacji uchodźców i solidarności z krajami Południa Polska zaoferowała, że przyjmie kilkaset osób, chrześcijan, matki z dziećmi. Kropla w morzu potrzeb i możliwości. Ale nawet znikoma liczba zadeklarowana przez rząd wzbudziła wówczas strach w polskim społeczeństwie. Zadzwoń więc do kilku polskich sportowców, co do których miałem pewność, że interesują się światem albo że są sławni i mogą coś zmienić w nastawieniu sporej części Polaków. Ale nie chcieli zabrać głosu. Jedna gwiazda sportu powiedziała mi nawet, że Polacy słusznie obawiają się tego naparstka uchodźców (ostatecznie nawet naparstka nie przyjęliśmy).

Najważniejszym argumentem sportowców, do których dzwoniłem, było to, że nie chcą angażować się politycznie, choć nie o politykę tu chodziło.

Trudno było inaczej zrozumieć ich niechęć do zabrania głosu – przynajmniej u sportowców, którzy wymawiali się „polityką” – niż jako obawę o przychyłność kibiców oraz sponsorów. Polski sport sponсорują głównie spółki skarbu państwa, zaś sami zawodnicy są bardzo często zawodowymi żołnierzami lub członkami wojskowych klubów. W ich mniemaniu każda opinia na temat uchodźców z 2015 roku była kontrowersyjna w tym sensie, że cokolwiek powiesz, dostaniesz za to klapsa jak nie od tego, to od tamtego.

„New York Times” przed dwoma, trzema laty zapytał swoich czytelników, czy znani sportowcy w ogóle powinni się wypowiadać w ważnych sprawach, i odpowiedzi były różne. Mianowicie część czy-

• **Naomi Osaka zagrała w US Open w 2020 roku siedem zwycięskich meczów, wchodząc na kort za każdym razem w masce z nazwiskiem innej czarnej ofiary białych policjantów w USA. Opowiedziała też publicznie o swojej depresji, dodając odwagi wielu osobom**

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL



• **Rosjanka Daria Kasatkina opowiedziała o swojej homoseksualności, a w krainie Putina, gdzie wciąż mieszka jej rodzina, „propaganda homoseksualna” jest karana. Zaprotestowała też przeciw wojnie – używając słowa „wojna”, a nie „specjalna operacja wojskowa”. Nie będzie mogła wjechać do ojczyzny** FOT. EAST NEWS

telników uznała, że jako młodzi, niedoświadczeni ludzie sportowcy powinni raczej trzymać gęby na kłódki, zwłaszcza gdy chcą zaopiniować jakiś ważny społecznie temat. Głos znanych sportowców (głos osób nieopierzonych, a jednak donośny ze względu na pozycję gwiazd) ma zbyt dużą wagę jak na wnoszoną wiedzę.

Intuicyjnie też wolalbym, żeby Zofia Noceti-Klepacka skorzystała z prawa do niezabierania głosu w sprawach LGBT i celów powstania warszawskiego (ona je łączy), gdyż jej wypowiedzi są głupie, brak im empatii, a również wiedzy. Za słowa w sprawie karty LGBT w Warszawie: „Czy mój dziadek walczył o taką Warszawę w Powstaniu? Nie wydaje mi się”, „Mówię kategoryczne »nie« dla LGBT i mam do tego prawo”, „Mówię kategorycznie NIE dla promocji środowisk LGBT i będę bronić tradycyjnej Polski”, Zofia dostała brawa od kibiców Legii z Żyłyty i od homofobicznej części prawicowych mediów. Ale nikt nigdy nie powinien jej odebrać głosu, tylko ją przekonać. Zresztą w dzisiejszych czasach odebranie głosu jest raczej niemożliwe. Na przykład w wikicytatach z 13 wypowiedzi Noceti-Klepackiej 11 pochodzi ze stron TVPInfo.pl, Tysol.pl, Fronda.pl, RadioMaryja.pl, Telewizjarepublika.pl. Pozostałe dwie z „Super Expressu” (gdy oddała medal na licytację) i jedna z „Faktu” o kłótni z Kingą Rusin.

MASKA

Możliwe, że aktywni sportowcy ociągają się z zabranieniem głosu do momentu, kiedy coś nimi naprawdę mocno wstrząśnie. Lub kiedy coś ich samych mocno dotyczy. Albo kiedy coś jest akceptowalne w ich środowisku (tak jak na przykład akceptacja tęczowej opaski kapitana jako wsparcie dla środowisk LGBT przez niezależnego sportowca, globalną gwiazdę futbolu Roberta Lewandowskiego – postawa zgodna z poglądami olbrzymiej części kibiców z Monachium). Być może akurat dramat muzułmańskich uchodźców z odległych krajów polskimi sportowcami nie wstrząsnął aż tak, by zabrać głos – nie wstrząsnęło, nie dotyczyło, a takie odwrócenie się stało się społecznie akceptowalne.

kwencji nie będzie mogła wjechać do ojczyzny, a na pewno nie w epoce Putina lub jego ideologicznych następców.

I pod tym względem rzeczywiście młodzi ludzie pokolenia Z różnią się od innych generacji, których przedstawicielki raczej kryły swoje problemy. Przy czym – trzeba to zauważyć – jakoś nie widziałem dotąd żadnego LeBrona Jamesa lub Cristiano Ronaldo, który opowiedziałby o swoich problemach na przykład z dorównywaniem oczekiwaniom rodziców czy z depresją. Robert Lewandowski jest przecież najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Na razie odważne w opowiadaniu o sobie są tylko młode kobiety, a chyba nie tylko one przeżywają kryzysy.

To, co Świątek, Osaka, Kasatkina mówią o sobie, i jak mówią, jest oczywiście konsekwencją zmian społecznych. W końcu ludzkość zmieniła się od burzliwych lat 60., kiedy każdy miał coś niegrzecznego do powiedzenia, choć niekoniecznie na swój temat. Ba, zmieniła się w ciągu ostatnich 20 czy 10 lat.

ZMIANA

Nowe pokolenie ma dostęp do technologii, która zmieniła nasze postrzeganie świata, nasze myślenie, nasze działanie, nasze codzienne życie. Carlosa i Smitha wyrzucono z wioski olimpijskiej za gest na podium, a dziś jako sportowcy mieliby zupełnie inną platformę do wyrażania opinii, znacznie szerszą i bardziej reaktywną. Gdyby dziś wykonali gest o podobnej sile do tego z Meksyku, poczuliby wsparcie milionów ludzi na Instagramie, na Twitterze. Nigdy nie poczuliby się sami. Dziś MKOl nie jest w stanie zakazać sportowcom wypowiadania własnego zdania na kontach społecznościowych liczących czasem po kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt milionów śledzących kibiców. Więc prosi tylko, żeby manifestować swoje opinie poza podium. Ale na konferencji prasowej? Proszę bardzo.

Zmieniają się kibice, kształtowani przez sportowców, i sportowcy, kształtowani przez kibiców.

W dodatku są sporty, które zmieniają się szybciej niż inne. Dlaczego w tenisie zmiany są szybsze? Bo uczestniczą w nim inne dziewczyny, bardziej świadome siebie, lepiej pod tym względem wyedukowane przez rodziców, z bardziej majątnych rodzin?

Nie wiem, ale na pewno nie przypadkiem właśnie w tenisie kobiety mają taki sam zawodowy cykl rozgrywek jak mężczyźni, tak samo się zorganizowały jak mężczyźni, zarabiają na korcie tyle samo co mężczyźni, wypowiadają się najgłośniej w sprawach dotyczących kobiet – jak choćby o stosunku do homoseksualności lub swoich doświadczeń psychicznych, osobistych, rodzinnych.

W konsekwencji takiej aktywnej postawy nowoczesny sportowiec czy sportsmenka nie weźmie niczego za pewnik tylko dlatego, że ktoś starszy o tym mówi. Raczej wejdzie na Instagram, Telegram czy Twittera i będzie wzorować się na kimś takim jak oni, kimś, kto wygląda na taką osobę jak oni. Wykorzysta możliwości technologiczne nie tylko po to, by życie toczyło się w łatwiejszy dla nich sposób, ale również po to, by powiedzieć coś, co może spowodować zmianę.

Byłem zły, gdy w pewnym momencie Iga Świątek, lub jej menedżerka, powiedziała, że teraz ekipa wokół tenisistki musi się skoncentrować na dotarciu do możliwie jak najszerzego grona kibiców, więc skupią się na globalnych, bo angielskojęzycznych, mediach oraz na własnych kanałach dostępu do kibiców, do całego świata. Byłem zły, ale to rozumiem. Bo technologiczna rewolucja dała im szansę, a oni są z pokolenia, które potrafi ją wykorzystać. ●

PO PRAWDZIE

Nie wierzę

Moja deklaracja wiary w PiS.

Agnieszka Kublik

Nie wierzę, że władza nie wiedziała wcześniej (czyli przed 9 sierpnia), co się dzieje na Odrze. Wierzę, że wiedziała, ale liczyła, że sprawa się rozmyje, zanim wybuchnie afera. Nie wierzę, że znajdują prawdziwego winnego. Wierzę, że będą się starali wmawiać narodowi, że przyczyny są naturalne (złote algi), więc siła wyższa, a jej rozliczyć nie sposób.

Nie wierzę, że władza pokaże wszystkie wyniki badań wody z Odry, bo to doprowadziłoby do prawdziwego winnego. Wierzę, że władza zrobi wszystko, by nie ponieść odpowiedzialności za tę tragedię.

Nie wierzę, że premier Mateusz Morawiecki wierzy w to, co mówi.

Wierzę, że wie, że kłamie. Nie wierzę, że prezes PiS Jarosław Kaczyński nie zdaje sobie z tego sprawy.

Wierzę, że dla Kaczyńskiego taki premier jest szalenie pożyteczny.

Nie wierzę, że ten rząd jest – jak to sam określa – polski. Wierzę, że chciałby to wmówić narodowi (czyli że opozycja jest antypolska). Nie wierzę, że Trybunał Konstytucyjny stoi na straży konstytucji. Wierzę, że to był cel Kaczyńskiego, gdy w 2015 r. zaczął niszczyć TK – żeby sąd konstytucyjny stał na straży PiS. Nie wierzę, że Julia Przyłębska zna się na prawie. Wierzę, że dla prezesa PiS to jej ogromna zaleta, ważniejsza niż jej kucharzenie.

Nie wierzę, że prezes Jacek Kurski chce, by TVP rzetelnie i obiektywnie informowała. Wierzę, że chce jak najsolidniej odegrać swoją rolę „bultieria Kaczyńskiego”.



Nie wierzę, że prezydent Andrzej Duda „cały czas się czegoś uczy”, „w mieszkaniu, w samochodzie, w samolocie”.

Wierzę, że nie każdy daje radę uczyć się na swoich błędach.

Nie wierzę, że PiS nie będzie kuglować przy wyborach. Wierzę, że przeanalizują szczegółowo każdy wariant takiej zmiany ordynacji, by zapewnić sobie większość w Sejmie.

Nie wierzę, że przyjmą wyborczą porażkę z godnością.

Wierzę, że będą krzyczeć na całą Europę o sfalszowanych wyborach.

Nie wierzę, że są przygotowani na kolejną falę pandemii. Wierzę, że znowu nie kiwną palcem, by ograniczyć zakażenia i zgony.

Nie wierzę, że sędzia TK Krystyna Pawłowicz naprawdę żałuje, że porównała Tuska do Hitlera.

Wierzę, że jest z tego porównania dumna.

Nie wierzę, że Kaczyński na serio uważa Donalda Tuska za zdrajcę.

Wierzę, że chciałby, by w to uwierzyli wyborcy.

Nie wierzę, by zdanie o „hodowli” i „produkcji ludzi” znalazło się w podręczniku HIT prof. Roszkowskiego przypadkiem.

Wierzę, że właśnie taką ideologię minister Czarnek chce przemycać w szkole.

Kto nie wierzy i wierzy razem, jak ja, niech już teraz zacznie przekonywać innych, by choć nabrali wątpliwości co do szczerości tej władzy. ●

Konserwa katolicka light i hard

Jeszcze nie tak dawno „Gość Niedzielny” to był katolicki beton. Dziś coraz częściej jest tam z kim rozmawiać. I o czym. Tygodnik „Niedziela” pozostaje w swoim zabetonowaniu niezłomny.

Magdalena Czyż

W podręczniku do nowego przedmiotu – Historia i Teraźniejszość – znalazły się słowa o hodowli ludzi i o tym, że nie wiadomo, kto tych wyhodowanych ludzi będzie kochał. Słowa skandaliczne, obraźliwe, a przede wszystkim odarte z jakichkolwiek uczuć. Nie tylko wobec dzieci poczętych metodą in vitro, ale także rodziców, którzy czasami przez wiele lat starają się o potomstwo”. To nie jest cytat z „Newsweeka”, „Polityki” czy „Tygodnika Powszechnego”. To cytat z „Gościa Niedzielnego”.

Autor tekstu Tomasz Rożek nie zostawia suchej nitki nie tylko na cenionym przez środowisko skrajnie konserwatywnej prawicy profesorze historii Wojciechu Roszkowskim, ale co ciekawsze, równie ostro traktuje ministra Czarnka: „Gdy sprawa została nagłośniona, krytycznie do fragmentu tekstu odniósł się podczas jednego ze spotkań Donald Tusk. W odpowiedzi najpierw Ministerstwo Edukacji, a potem sam jego szef Przemysław Czarnek zaprzeczyli, że w podręczniku jest cytowany przez Tuska fragment, a potem zapowiedzieli pozew sądowy. Słowa o hodowli ludzi i o ich kochaniu w podręczniku są. Muszą być, bo teraz okazuje się, że cały fragment tekstu, w którym się znajdują, ma zniknąć (...)”.

„(...) Usuwanie słów, których tam nie ma? Ktoś tu robi z logiki... no właśnie. Nie tylko z logiki, ale też z prawdy. Nie pierwszy raz zresztą. Książka, którą 1 września dostaną do rąk uczniowie szkół ponadpodstawowych, w ogóle nie powinna być nazywana podręcznikiem. Nie spełnia jego funkcji. Jest raczej zbiorem tekstów publicystycznych (we fragmentach publikowanych zresztą przez autora we wcześniejszych jego książkach), które – jako publicystyka właśnie – przedstawiają subiektywny pogląd autora. Publicysta ma do tego prawo, autor podręcznika powinien się tego wystrzegać. Podręcznik to nie prezentacja opinii autora, tylko prezentacja faktów i ich – tam, gdzie to potrzebne – interpretacji (...)”.

Piszę o tym, bo to kolejny tekst w „Gościu Niedzielnym” traktujący członków pisowskiego rządu, delikatnie mówiąc, wysoce krytycznie. Nie tak dawno przytaczałam tekst z „GN” bardzo krytyczny wobec ministra Ziobry. A jeszcze wcześniej, w czasie kampanii prezydenckiej, ten sam autor upominał prezydenta Dudę za obraźliwe słowa w stosunku do ludzi LGBT, powołując się przy tym na nauczanie Kościoła katolickiego.

Zastanawia mnie to, tym bardziej że jeszcze nie tak dawno „Gość Niedzielny” to był niemal katolicki beton. Dziś coraz częściej jest tam z kim rozmawiać. I o czym.

Tygodnik „Niedziela” natomiast pozostaje w swoim zabetonowaniu niezłomny. Publikuje smutny wywiad ze sławą polskiej historiografii profesorem Wojciechem Roszkowskim. Smutny dlatego, że dziennikarz prowadzący ten wywiad, Wojciech Dudkiewicz, pozwala profesorowi nie odpowiadać na swoje pytania i bredzić trzy po trzy, między innymi o tym, że schlebia mu opinia, że ten „podręcznik” to nie podręcznik, tylko publicystyka albo esej. Zostawię to bez komentarza.

Piszę o tych dwóch tygodnikach, bo widać coraz wyraźniej, że zaczyna dochodzić między nimi do coraz ostrzejszych rysujących się podziałów. A to oznacza podział w środowiskach konserwatywnego katolicyzmu w Polsce. Z konserwy, która jeszcze kilka lat temu była całkowicie ekskluzywna, wylania się w tych redakcjach konserwatyzm light i konserwatyzm hard.

Nie będę udawać, że mnie ten podział nie cieszy, bo cieszy. Z dwóch powodów: pierwszy, różnorodność poglądów zawsze jest wartością w szanującym się społeczeństwie, a drugi powód do radości jest taki, że upatruję w tym podziale szansę na pojawienie się na polskim podwórku ważnej twarzy katolicyzmu konserwatywnego. Najwyższy na to czas. ●

wyborcza

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik

PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA

Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;

NIP: 526-030-56-44

Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,

faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak

DRUK: Agora SA

ROZPOWSZECZANIE

rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY

WYDAWCA

WYDAWCA

JUŻ W SPRZEDAŻY

DANUTA STENKA Sześćdziesiątka mnie bawi i cieszy

TEMAT NUMERU Radość wieku średniego

AKCJA „WEEKEND ZNIŻEK” Ekstrarabaty do ponad 2200 sklepów

wysokieobeasy extra

GRATIS Naturalny podkład Soraya Plante

1RP OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34192172

eprasa.pl de1640710b

KTO ZABIŁ DARIĘ DUGIN?

Wiktoria Bielaszyn

Sakralna ofiara”. Tak o zabitej w zamachu Darii Dugin, propagandystce i filozofce, ale przede wszystkim córce kontrowersyjnego, bo znanego z neofaszystowskich poglądów myśliciela i politologa, któremu Zachód – błędnie i na wyrost – przypisuje rolę „mózgu Putina”, mówi dzisiaj wielu. I to nie tylko zajadłych przeciwników imperialistycznej polityki rosyjskich władz, ale także osób bardzo jej bliskich. Na kanale informacyjnym Niezysgar, powiązanym z Kremlm, pojęcie „sakralnej ofiary” złożonej, by dokonać „oczyszczenia społeczeństwa” z winnej rzekomo jej śmierci „piątej kolumny”, pojawiło się w kontekście Darii zaledwie kilka chwil po jej śmierci. Szybko za odpowiednie uznali je też opozycjoniści, podejrzewający władze o prowokację i chęć osiągnięcia przez Putina konkretnych korzyści.

Tymczasem z każdym kolejnym dniem, mimo że oficjalnie śledztwo zostało zamknięte, a sprawa wyjaśniona, coraz mniej jasne jest, kto i w jakim celu miał złożyć Darię Dugin na wspomnianym przez jej ojca w mowie pogrzebowej „ołtarzu zwycięstwa”. Wersji jest wiele. Z dnia na dzień ich liczba wzrasta. Najmniejszym zaufaniem cieszy się ta oficjalna, przedstawiona w błyskawicznym tempie przez FSB, które – jak nigdy wcześniej – rozwikłało zagadkę morderstwa w ciągu niespełna dwóch dni.

WERSJA FSB

Wynika z niej, że Darię Dugin zabiła Ukrainka powiązana z pulkiem Azow, uznanym przez rosyjskie władze za organizację terrorystyczną. Natalia Wowk, bo tak ma się nazywać organizatorka zamachu, śledząc Darię, podróżowała po Rosji mini cooperem w towarzystwie 12-letniej córki. Po zabiciu dziewczyny Wowk miała uciec do Estonii, gdzie ślad po niej zaginął. Szanse na ukaranie jej za zbrodnię są niewielkie, o czym pisała na Twitterze czołowa rosyjska propagandystka Margarita Simonian, która uważa, że konieczne jest wysłanie do Estonii „specjalistów”. I to, jak zasugerowała, podobnych do tych, którzy swego czasu „odwiedzali” w Wielkiej Brytanii rodzinę Skripalów. Ostrożniejszą opinię wygłosił Dmitrij Kisielow, kolejna szacha rosyjskiej propagandówki, który w rozmowie z dziennikarzami podkreślił, że Rosja, w przeciwieństwie do Ukrainy, jest państwem prawa, więc konieczne jest sprowadzenie kobiety i postawienie jej przed rosyjskim sądem. Podczas pogrzebu dziewczyny oświadczył jednak, że Rosja musi ukarać winnych jej śmierci, „bezkompromisowo denazyfikować i demilitaryzować Ukrainę”.

Tyle że niezależnie od tego, jak bardzo dwoją się i troją „rzecznicy Kremla”, nawet rosyjskie społeczeństwo, a przynajmniej ta jego część, która do treści propagandystów odnosi się sceptycznie, nie uważa historii z „ukraińskim śladem” za prze-

konującą. Blogerzy, działacze, ale i zwykli użytkownicy internetu publikują w sieciach społecznościowych wpisy o treści: „Kto może być sprawcą zamachu w Rosji i dlaczego to FSB?”. Andriej Piontkowski, niegdyś aktywny działacz opozycji, a dzisiaj dziennikarz i komentator, zwrócił uwagę, że wersja FSB jest tak „irracjonalna i bzdurna”, że nawet państwowe kanały przez cały dzień wstrzymywały się z zakomunikowaniem jej widzom.

Przedstawiciele opozycji, aktywiści oraz niezależni publicyści i „zwykli Rosjanie” prześcigają się więc w ustalaniu bardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń.

WERSJA PARTYZANCKA

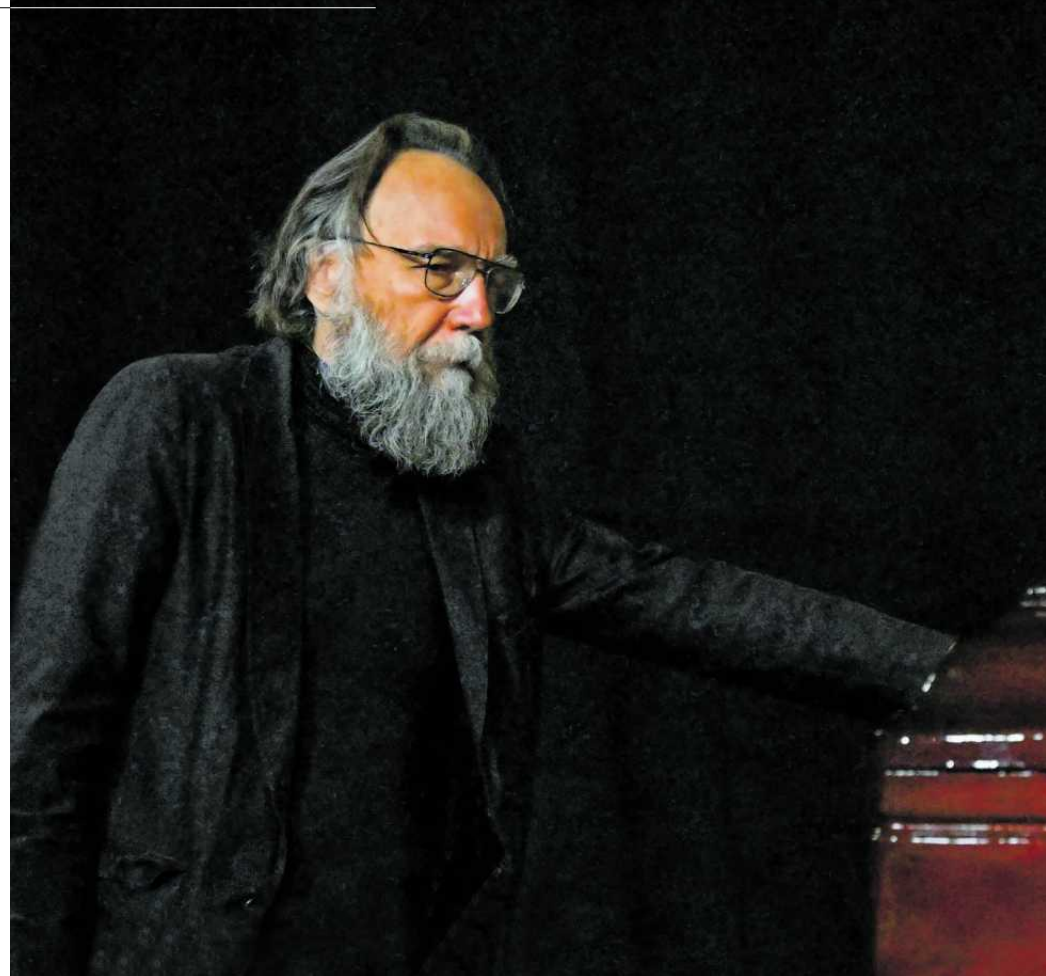
Jedna z pierwszych, z której wynikało, że za śmierć Darii Dugin odpowiada grupa partyzantów albo nikomu wcześniej nieznaną antyputinowską i antywojenną Partią Narodowo-Republikańską, wymieniona niespodziewanie przez byłego deputowanego rosyjskiej Dumy, a dzisiaj radykalnie proukraińskiego polityka Ilję Ponomariowa, stosunkowo szybko okazała się zbyt naiwna i pobożna. Po pierwsze, bo o owej partii nikt nigdy nie słyszał. Jej manifest pojawił się w internecie niemal w tym samym czasie, kiedy Ponomariow o niej informował, być może starając się w ten sposób przysłużyć ukraińskiej propagandzie wojennej usiłującej straszyć rosyjskie władze rzekomą obecnością zmilitaryzowanych i zorganizowanych „wewnętrznych wrogów”. Wystarczył jednak jeden wywiad polityka, by przekonać się, że płacze się w wyjaśnieniach na tyle, iż trudno brać je za wiarygodne.

Po drugie, bo zorganizowane, publiczne zabójstwa to w ostatnich latach w Rosji rzecz mało spotykana, przez co kojarzona z bandyckimi latami 90. A po trzecie, bo rosyjski ruch oporu od wielu lat ma charakter czysto pacyfistyczny, jego działacze zaś stosują się do nawet najbardziej absurdalnych przepisów, byle postępować zgodnie z literą prawa. Trudno wyobrazić więc sobie, zwłaszcza że najbardziej charyzmatyczni opozycjoniści przebywają obecnie na emigracji lub w więzieniu, że tuż pod bokiem Kremla znalazłaby się grupa śmiółków gotowych na tak brutalny gest. I miała w dodatku takie szczęście, że gdy instalowała w samochodzie Duginów bombę, to akurat kamery monitorujące parking były wyłączone.

WERSJA MOBILIZACYJNA

Odrobinę na popularności stracił też scenariusz, z którego wynikało, że bezpośrednim motywem zabójstwa Darii Dugin była potrzeba Kremla, by znaleźć pretekst do zmobilizowania przeciwko Zachodowi – przez zastraszanie – społeczeństwa. Władze w ostatnich miesiącach szczególnie dużo energii poświęcają bowiem na wmawianie Rosjanom, że kolektywny Zachód nie cofnie się przed niczym, by Rosję poniżyć, a wręcz zniszczyć, i wykorzysta w tym celu także „wewnętrznych agentów”, czyli tych,

Coraz mniej jasne jest, kto i w jakim celu miał złożyć Darię Dugin na wspomnianym przez jej ojca w mowie pogrzebowej „ołtarzu zwycięstwa”



którzy sprzeciwiają się Kremlowi. Wizja zaostżenia represji i wprowadzenia w kraju terroru, którego ofiarami mieliby stać się antyputinowscy działacze i przeciwnicy wojny, jest jednak więcej niż prawdopodobna, choć – być może – to nie ten motyw doprowadził do zamachu.

Polityk Leonid Gozman oraz dziennikarze niezależnej Meduzy i rosyjskiego oddziału BBC zwracają uwagę, że świadcząc może o tym fakt oskarżenia o zamach władz Ukrainy, a nie – wbrew oczekiwaniom spodziewającej się jeszcze mocniejszego „dokręcenia śruby” opozycji – ludzi Aleksieja Nawalnego czy Michaiła Chodorkowskiego.

WERSJA ZŁOWIESZCZA

Stosunkowo zachowawcze, z wyjątkiem kilku nigdy niegryzących się w język osób, reakcje pracowników propagandówki, ale przede wszystkim widowiskowy, przypominający wyreżyserowany spektakl pogrzeb Darii Dugin pozwalają obserwatorom na wysnucie nowych, bardziej złowieszczych teorii. Jedna z nich mówi, że dzięki głośnemu zamachowi i tragicznej historii Darii Dugin, która nie była może całkiem anonimowa, ale jednak – tak jak w gruncie rzeczy jej ojciec – nie była traktowana w Rosji jako symbol czy ikona, pod strzechy dotrą ultraprawicowcy, faszystujący i zbyt ekstrawaganckie nawet dla narracji Kremla poglądy Dugina.

Amerykańsko-rosyjska dziennikarka Masha Gessen w książce „Będzie to, co było” opisuje filozofa jako aspirującego do wielkiej sławy, zafascynowanego początkowo nazizmem, okultyzmem i satanizmem,

a później ideą „ruskiego miru” i Eurazji intelektualistę, wykorzystywanego przez władze do tego, by udowodnić umiarkowanie konserwatywnej części społeczeństwa, że poglądy Władimira Putina wcale nie są radykalne. Dugin nie był gościem na Kremlu, prawdopodobnie nawet nigdy nie spotkał się z Władimirem Putinem.

Dziennikarz Andriej Piercew, specjalizujący się w analizowaniu polityki rosyjskich władz, podkreśla w dodatku, że w poglądach Dugina, któremu zachodnie media takie jak „New York Times” czy „Washington Post” przypisują rolę „mózgu Putina”, nie ma nic specjalnie nowego. „Jeśli oczyści się je z mistycyzmu, fascynacji magią, okultyzmu, to odkryjemy, że jego poglądy to zbiór też znanych od wieków. Owszem, częściowo pokrywają się one z tym, co mówi Putin, ale nie oznacza to, że prezydent Rosji jakkolwiek inspirował się pracami Aleksandra Dugina”, przekonywał w podcaście Meduzy.

Aleksandr Dugin przez wiele lat dążył do rozpropagowania swoich poglądów na Zachodzie, współpracując z ultraprawicowymi politykami i mediami publikującymi jego teksty, m.in. o zagrożeniu dla świata, jakie stanowią liberalowcy. I to tam był rozpoznawalny. W Rosji zaś był traktowany głównie jako dziwak i brodaty mem. „Ma marginalne znaczenie, jeśli chodzi o politykę Kremla czy nastroje społeczeństwa”, twierdzi Leonid Wołkow, współpracownik Aleksieja Nawalnego.

Teraz, zdaniem publicystki Julii Łatyniny, może się to zmienić. „Aleksandr Dugin nie był głównym ideologiem putinowskiego faszyzmu. Ale zabójstwo jego córki go nim zrobiło. Morderstwo Darii Dugin jest popularyzacją idei Dugina. Dosłownie. Nikt nie znał tego człowieka, dopóki jego córka nie



• **Aleksandr Dugin na pogrzebie córki Darii, która zginęła w wysadzonym w powietrze samochodzie**

FOT. KIRILL KUDRYAVTSEV / AFP/EAST NEWS

Przyznawała przy tym, że czuje się jego następczynią, kontynuatorką duginowskiej myśli. „To ogromny zaszczyt być córką takiego człowieka. (...) Zrobię wszystko, by sławić imię mojego ojca i kontynuować jego myśl oraz bitwę”, mówiła w ubiegłym roku w wywiadzie.

W publicznych komentarzach przekonywała, że Zachód stara się przejąć totalną kontrolę nad światem i manipuluje ludźmi, których popycha do „konwertowania na homoseksualizm”, „sztucznej walki o prawa transów” czy weganizmu.

Jej dawni znajomi zwracają uwagę, że kompletna zmiana poglądów i zainteresowań Dugin nastąpiła już po ukończeniu przez nią studiów. Wtedy ich drogi się rozszły. Daria muzykę elektroniczną porzuciła dla prawosławia. Jako asystentka i rzeczniczka Aleksandra Dugina odpowiadała za organizację jego wykładów, wywiady i publikacje. Na łamach popularnej, ultrakonserwatywnej redakcji pisała pod pseudonimem Daria Platonowa teksty powielające teorie ojca.

„Daria umarła za naród. Umarła za Rosję. Na froncie. I ten front jest tutaj. Nie tam, tutaj. W każdym z nas. To największa cena, jaką można ponieść, i należy ją obronić zwycięstwem. Umarła w imię naszego rosyjskiego zwycięstwa” – mówił Dugin na pogrzebie.

Podobne hasła padły w wystąpieniach przedstawicieli władz. Np. deputowany państwowej Dumy, przewodniczący partii LDPR Leonid Slucki wygłosił mowę wyraźnie inspirowaną niemieckimi nazistami III Rzeszy. „Niezależnie od partii podejście może być tylko jedno. Jeden kraj. Jeden prezydent. Jedno zwycięstwo”, powiedział. Trudno nie dostrzec w tych słowach nawiązania do hasła „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Führer”. Co ciekawe, miało ono obrazować jedno z zadań, jakie postawiły sobie nazistowskie władze, czyli zjednoczenie Niemców. Pod tym hasłem w Austrii odbyło się referendum, po którym doszło do anszlusu.

Czy oznacza to, że organizatora zabójstwa należy szukać w strukturach rosyjskiej władzy, której może zależeć nie tylko na zaprowadzeniu w kraju większego terroru i zaostreniu działań na froncie, ale także zmobilizowaniu i zradyzalizowaniu, także z pomocą narracji Dugina, społeczeństwa do wspólnej walki przeciwko tzw. kolektywnemu Zachodowi?

– patriotki mogłaby wzburzyć Władimira Putina na tyle mocno, by zechciał odplacić za nią i Ukrainie, i „wewnętrznym wrogiem”.

WERSJA JESZCZE BARDZIEJ ZŁOWIESZCZA

Inny wariant, i trudno ocenić, czy mniej, czy może bardziej zatrważający, przypomina o głoszonych od lat przez Dugina ideach. Filozof nieprzypadkowo określany jest „filozofem kultu śmierci i ofiary”. Zawsze mówił, że doświadczenie śmierci jest najważniejsze. Na swojej stronie Artogaea Dugin publikował teksty, w których opowiadał m.in. o dawnej, mistycznej tradycji składania dzieci w ofierze. Jeden z przytaczanych przez niego przykładów dotyczył ojca poświęcającego życie własnej córki. W innym głosił, że elity polityczne, a za ich część niewątpliwie miał swoją córkę, którą porównywał do Marine Le Pen i nazywał liderką młodych ultraprawicowców, powinny funkcjonować tylko, jeśli w trudnym dla kraju czasie oddadzą życie i „odkupią winę u bogów”. Z kolei Daria Dugin pisała, że „zamachy bardziej wpływają na społeczeństwo niż wojna”.

Reżyser Andriej Łoszak wspomina, że Dugin wiele lat temu organizował podczas spotkań z młodzieżą performance’y, w których to jego córka odgrywała rolę kobiety dokonującej samospalenia dla dobra Rosji. Znamca Europy Wschodniej Sergej Sumlenny za w pełni realne uznaje więc, że zgodnie z eurazjatycką koncepcją „potężny Ojciec poświęca życie swojej córki, aby wprawić w ruch nadprzyrodzone siły i poprawić swoją słabą pozycję”.

Badacz podkreśla przy tym, że Dugin zawsze był „gwiazdą trzeciej klasy”, a Kreml mimo jego starań nie zapraszał go do elitarnego kręgu. Eksperci biorą pod uwagę także teorię mówiącą, że Daria Dugin została złożona w ofierze przez własne otoczenie, aspirujące do zajęcia stanowisk w najwyższych strukturach władzy. Aleksandr Dugin czy Zachar Prilepin, który w ubiegłym tygodniu ogłosił chęć startu w wyborach prezydenckich, mają być rozczarowani rządami Władimira Putina, który dla ultraprawicowców jest „zbyt mało rosyjski”, a przede wszystkim – niewystarczająco radykalny w swoich działaniach i poglądach.

Dwa lata temu Aleksandr Dugin mówił o prezydencie Rosji tak: „Z Putinem nastąpił gwałtowny skok, ale potem znowu zaczęła się stagnacja, wycofanie. Nie można powiedzieć, że nie jestem z władzą, raczej władza nie jest ze mną”.

Biorąc pod uwagę brak charyzmy Dugina i stosunkowo niewielkie jak dotąd zasięgi, trudno wyobrazić sobie, że on i jemu po-

została męczennicą. A teraz Dugin zostanie wpisany do podstawy programowej w szkołach”, napisała na Twitterze.

Trudno nie brać jej słów na poważnie, zwłaszcza jeśli oglądało się transmisję pogrzebu, przypominającego bardziej akcję poparcia dla działań wojennych niż pożegnanie z tragicznie zmarłą kobietą. Aleksandr Dugin, jeszcze kilka dni temu rzekomo zdruzgotany i wymagający natychmiastowej hospitalizacji ze względu na zagrożenie zawalem lub udarem, na opublikowanych przez niezależne media zdjęciach zupełnie niewzruszony prowadzi ożywione rozmowy i uśmiecha się serdecznie do żałobników. Mowę pogrzebową wygłasza zaś teatralnym, odrobinę drżącym głosem. Przez to, co i jak mówi, uroczystość zdecydowanie bardziej przypomina kampanię agitacyjną lub zebranie zwolenników partii. „Miała jedno pragnienie: »Nie pamiętajcie mnie! Nie gloryfikujcie mnie! Walczcie o nasz wspaniały kraj! Brońcie naszej wiary, naszego świętego prawosławia, kochajcie nasz naród rosyjski!«”.

DWIE DARIE

„Ideal człowieka”. Tak o Darii mówił podczas pogrzebu jej ojciec. Filozof wspominał, że dołożył wszelkich starań, by wychować ją na prawdziwą patriotkę. Gdy inne dzieci uczyły się pierwszych słów, czyli nazw członków rodziny, jedzenia i zwierząt domowych, Daria Dugin miała powtarzać za ojcem: „Rosja”, „ojczyzna”, „imperium” i „naród”. Ideolog twierdzący, że świat bez Rosji nie zasługuje na funkcjonowanie, przekonany, że za całe zło tego świata odpowiada wszelka nowoczesność, a więc i Za-

chód, od dziecka wpajał córce, że jedyne słuszne wartości to te ultratradycyjne. Wysyłał ją na obozy dla młodzieży prawosławnej, uczył o staroobrzędowcach i wierzeniach prastarych plemion, wmawiał, że Rosja jest bardziej azjatycka niż europejska. Za radą ojca zdecydowała się studiować w Moskwie filozofię.

Czy rzeczywiście udział Dugina w życiu córki zawsze był tak znaczący i duży? Dawni znajomi Darii nie są tego pewni. Przede wszystkim dlatego, że Daria, gotowa do dyskusji na nawet najtrudniejsze filozoficzne tematy, nigdy nie próbowała poruszać w rozmowach poglądów własnego ojca. Jak gdyby zupełnie jej one nie interesowały.

Niezależna redakcja Meduza dotarła do jej wykładowców z Moskiewskiego Państwowego Uniwersytetu i kolegów z roku oraz szkoły. Z ich opowieści wyłania się obraz kochającej rodzinę, ale niedogadującej się z ojcem, otwartej, inteligentnej i ciepłej dziewczyny. Współczesnej – interesującej się nie tylko francuską lewicą, ale i muzyką elektroniczną. Z jednej strony wielokrotnie myślącej o ucieczce z domu z powodu ojca. Z drugiej – dbającej, by obcy postrzegali ją jako przykładową córkę. „Daria w środku i Daria na zewnątrz to zawsze były dwie różne osoby”, mówiła jedna z jej dawnych przyjaciółek, która – jak sama przyznaje – nie mogła zrozumieć, jakim cudem Daria Dugin zdobyła się na to, by uprawiać propagandę w zrównanym z ziemią Mariupolu.

Ale czytając teksty i wpisy Darii, trudno nie zauważyć, że najwięcej inspiracji czerpała z tekstów ojca. „Jest ideologiem rosyjskiej wiosny. Tym, który konsekwentnie przez osiem lat był całym swoim sercem, słowem i czynem za Noworosją”, pisała o nim.

Aleksandr Dugin organizował podczas spotkań z młodzieżą performance’y, w których to jego córka odgrywała rolę kobiety dokonującej samospalenia dla dobra Rosji

To jedna z możliwości. W końcu filozofka wyznawała w ślad za ojcem ideę „ruskiego miru” i wierzyła w koncepcję Eurazji. Gorąco popierała też wojnę z Ukrainą, choć – podobnie jak ojciec – krytycznie oceniała ostatnie działania rosyjskiej armii, która wbrew ich oczekiwaniom nie zajęła ani Kiowa, ani tym bardziej całej Ukrainy. Śmierć takiej – w rozumieniu rosyjskich władz

dobni przejmą w Rosji w najbliższym czasie władzę. Nie ulega jednak wątpliwości, że będzie starać się propagować wśród Rosjan ultraprawicową, eurazjatycką myśl o „szczególnej drodze Rosji”, potrzebie odbudowania imperium i toczącym się starciu z Zachodem na dużo większą skalę. Tak czy owak w najbliższym czasie to Kreml skorzysta na zabójstwie jego córki. ●

PUTIN ODEJDZIE, INNEJ DROGI NIE MA

FOT. GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS

Podczas tej wojny zdecydują się losy tego, jak będzie wyglądała reszta XXI wieku

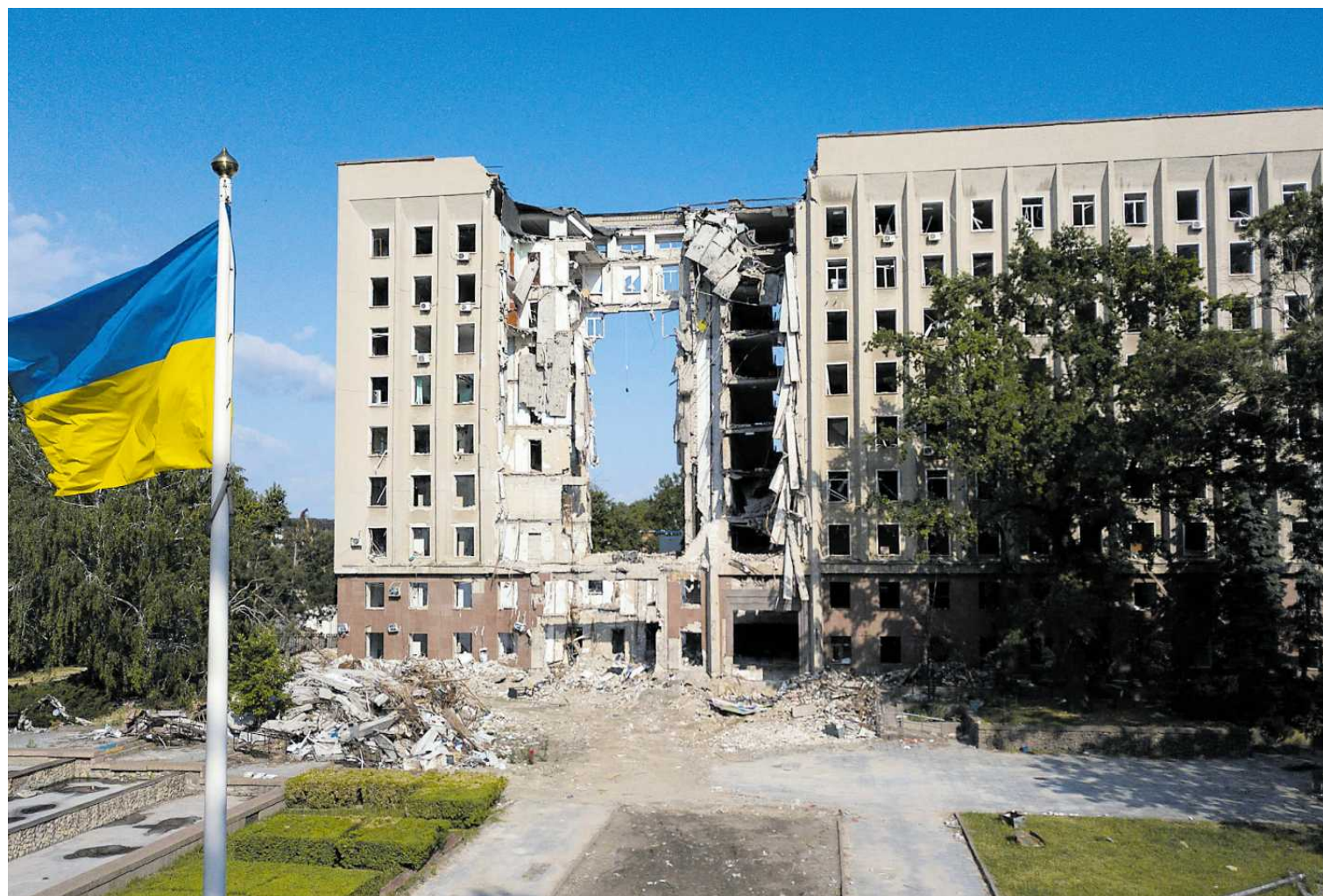
Z **LEONEM PANETTA***, BYŁYM SZEFE M CIA I SEKRETARZEM OBRONY USA, ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Nie zapytam, czy wojna musiała wybuchnąć. Bardziej interesuje mnie, w którym momencie zdał pan sobie sprawę, że to musi się stać.

– Kluczowy był według mnie moment, w którym Władimir Putin podjął decyzję o inwazji, a z drugiej strony jasne stało się, że Stany Zjednoczone i nasi partnerzy w NATO wspólnie staną w obrobie Ukrainy. Wtedy pod wieloma względami ten konflikt był już nieunikniony, bo głównym założeniem Putina była już od wielu lat wiara w słabość Zachodu. Nie tylko Ameryki, ale też sojuszników w NATO. Dlatego zaatakował Krym, dlatego walczył w Syrii, był aktywny w Libii, również dlatego przeprowadził bardzo ambitny cyberatak na rząd Stanów Zjednoczonych. Wszystko to robił, bo czuł słabość po naszej stronie. Z Ukrainą było tak samo. Putin był moim zdaniem przekonany, że jeśli zaatakuje, nikt z Zachodu mu się nie przeciwstawi. Tymczasem, po raz pierwszy w historii, USA i NATO narysowały Putinowi linię, której nie mógł przekroczyć. Ważne było, żeby w ten sposób wysłać mu wiadomość: jeśli dokonasz inwazji, zapłacisz za to wysoką cenę.

Czy tej linii Putinowi nie trzeba było wyznaczyć wcześniej? A potem ją egzekwować? Za pana kadencji na stanowisku sekretarza obrony USA Barack Obama też powiedział, że w Syrii czerwoną linią będzie użycie broni chemicznej. Asad jej użył, a amerykańskiej interwencji nie było. Nie ma pan wrażenia, że sami stworzyliście Putinowi warunki do robienia tego, co robi teraz w Ukrainie?

– Myślę, że nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że przez pewien czas Stany Zjednoczone sprawiały wrażenie, jakby wycofywały się ze swojej roli światowego przywódcy. Od końca II wojny światowej odgrywaliśmy tę rolę – z sukcesami. Pomogliśmy zbudować NATO, współtworzyliśmy inne sojusze na całym świecie. Angażowaliśmy się we wszystkie wyzwania dla naszego bezpieczeństwa narodowego, bez względu na to, czy pochodziły z Rosji, z Chin, czy z Bliskiego Wschodu. Ale od momentu wybuchu wojny z terroryzmem zaczęły pojawiać



się głosy, że może czas się powoli z tego wszystkiego wycofywać. To był krytyczny według mnie moment. Bo jeśli wyznaczasz komuś linię, której ma nie przekraczać, a potem sam tej linii nie bronis, to wysyłasz w świat wiadomość, że jesteś słaby. To dotyczy każdego kraju na świecie.

Tak właśnie było w Syrii?

– Linia, którą prezydent Obama wyznaczył Asadowi, była bardzo jasna i wyraźna. Użycie broni chemicznej spotka się z konsekwencjami. Asad ją przekroczył, a Ameryka go nie ukarała. Wtedy wysłaliśmy komunikat o własnej słabości – nie tylko do Asada czy nawet do Rosji, ale też do wielu naszych sojuszników.

To co powinno było się wtedy stać?

– Jeśli stawiasz komuś warunki, musisz ich potem sam bronić. Uważam, że właściwym działaniem Stanów Zjednoczonych byłoby wtedy użycie naszych zdolności ofensywnych w powietrzu do zbombardowania niektórych celów, które były elementem infrastruktury ataków chemicznych przeprowadzanych przez Asada.

A zdziwiło pana na początku wojny, że Ukraińcy tak długo sami się bronili?

– Najbardziej według mnie zdziwione były służby wywiadowcze.

Które? Amerykańskie?

– Wszystkie. Nawet rosyjskie.

A co Rosjanie myśleli przed wojną?

– Że biorąc pod uwagę siły, które zgromadzili, uda im się zająć stolicę i obalić ukraiński rząd w maksymalnie kilka dni. Ale Ukraińcy zaczęli się mocno i dobrze bronić przed najeźdźcą, czego nikt się nie spodziewał. Kombinacja przeszacowania Rosjan i niedocenyenia zdolności Ukraińców pokazała dobitnie, że wy-

kraj. I wiara, że w ogóle warto się o niego bić.

Skąd te błędy wywiadów? Z tego, że dalej, jak w czasach zimnej wojny, mamy na Zachodzie przekonanie, że Rosja musi być potęgą, tym „imperium zła”?

– Informacje, którymi posługują się agencje wywiadowcze, w dużej mierze opierają się na tym, co rzeczywiście się dzieje. Kiedy

co jest faktem dzisiaj, a nie wczoraj. A to wymaga bardzo dobrych źródeł wywiadowczych – możliwe, że w tym wypadku ich zabrakło.

To jaką rolę w ogóle odgrywają wywiady w tym konflikcie, skoro ich źródła na początku się myliły? To bardziej robota w propagandzie i fake news czy dalej tradycyjne szpiegostwo?

Wywiad to oczko w głowie Putina, a na punkcie tego, co USA i nasi sojusznicy chcą zrobić z Rosją, ma absolutną paranoję

wiady się pomyliły. Rzeczywistość okazała się inna, Ukraina się broni, również dzięki wsparciu Stanów Zjednoczonych i innych sojuszników. Choć nie to jest najważniejsze.

A co?

– Pragnienie i gotowość do obrony swojej ojczyzny. Jako były sekretarz obrony mogę zapewnić, że nie ma nic ważniejszego, bardziej fundamentalnego w działaniu wojska niż wola walki o swój

więc Zachód widział, że Rosja była w stanie szybko i sprawnie zająć Krym, wejść na niektóre obszary Donbasu, działać w Syrii i ostro atakować Stany Zjednoczone w cyberprzestrzeni, powstało przekonanie, że oni rzeczywiście mają zdolności, żeby szybko się przemieszczać i realizować swoje cele. Ale problem z wywiadem jest zawsze taki sam: nie możesz za mocno opierać się na wydarzeniach z przeszłości. Musisz zdobyć informacje na temat tego,

– Jedną rzeczą, którą już wiemy na pewno, jest to, że dzieło nie się informacjami z sojusznikami z całego świata mocno osłabia strategię Putina. Służby wywiadowcze od początku przecież mówiły, że Putin dokona inwazji, mieliśmy na to konkretne, przekonujące dowody. Dzięki temu, że one zostały pokazane światu, stało się jasne, że Putin nas wszystkich okłamuje. Mówił ciągle, że nie zamierza atakować Ukrainy, a my wiedzieliśmy,

że jest odwrotnie. To było kluczowe, bo z mojej perspektywy ekszsefa CIA i Departamentu Obrony wiem, że żadne działania wojskowe nie mają szans na powodzenie bez odpowiedniego przygotowania ze strony wywiadu. Dlatego, po pierwsze, w tej chwili informacje wywiadowcze są najważniejsze – bez nich Ukraińcy nie będą w stanie atakować właściwych celów ani ścigać Rosjan w jakikolwiek sposób. Po drugie, te informacje trzeba przekazywać reszcie świata, żeby powstał realny obraz tego, co się dzieje na wojnie. To z tych depeszy wiemy, że Rosjanie stracili już tak wielu żołnierzy i całą masę sprzętu. Że już placą ogromną cenę za tę inwazję. Wywiad jest kluczowy, również w procesie zaopatrywania Ukrainy w sprzęt wojskowy przez USA i inne kraje.

A co dzisiaj wiemy o rosyjskich agentach? To dalej patriotyczni lojaliści czy weszło już nowe pokolenie, obyte w świecie? Ideologiczny beton czy kosmopolisci?

– Przede wszystkim niech pan nie zapomina, że sam Putin to KGB-ista. KGB go wychowało, spędził tam sporą część swojego życia. Wywiad to jego oczko w głowie, a na punkcie tego, co USA i nasi sojusznicy chcą zrobić z Rosją, ma absolutną paranoję. Poza tym rosyjski wywiad zawsze działał według jednej zasady: robić dosłownie wszystko, co możliwe, żeby osłabić demokrację. U nas, u naszych sojuszników, wszędzie. To ich jedyny cel. Ale w pewnym sensie oni za to placą sporą cenę, bo działając w ten sposób, rosyjski wywiad nie umie wziąć pod uwagę dynamiki relacji międzyludzkich. Dlatego Rosjanie nie umieli sobie wyobrazić, że USA i państwa europejskie będą w stanie się zjednoczyć wokół wspólnej strategii. Że najpierw wprowadzą mocny pakiet sankcji przeciwko Moskwie, potem wyślą Ukraińcom broń, a przy okazji wzmocnią NATO. Rosyjski wywiad powinien był się skupić na tym, co Putina przecież martwiło najbardziej – czyli rozszerzeniu Sojuszu. Zamiast tego zrobili coś, dzięki czemu NATO jest jeszcze silniejsze. Osiągnęli cel odwrotny do zamierzonego.

Dużo mówi pan o wsparciu Zachodu dla Ukrainy, ale na ile to wsparcie jest możliwe do utrzymania? Same Stany przekazały prawie 7 mld dol. w sprzęcie wojskowym, ponad trzy razy więcej niż cała Unia razem wzięta. Ile jeszcze Zachód wytrzyma? Rok, miesiąc, dwa? Inflacja i kryzys energetyczny są przecież wszędzie, kiedy ludzie zaczną marudzić, żeby te pieniądze zostawiały w ich krajach?

– Z mojego punktu widzenia ta wojna jest nie tylko niebezpieczna, ale też decydująca. Bardzo możliwe, że tutaj zdecydują się losy tego, jak będzie wyglądała reszta XXI wieku. Putin jest nieprzewidywalny. Nie ma żadnej wątpliwości, że byłby w stanie rozszerzyć ten konflikt, zamienić go w wojnę w pełnej skali. Jednocześnie tutaj ważą się role, jakie demokracje i autokracje odegrają do końca stulecia. Dlatego jest absolutnie kluczowe, żebyśmy wszyscy – Amerykanie i sojusznicy – wspierali Ukraińców. Tak, żeby Rosja tej wojny nie wygrała. Dlatego że jeśli zatrzymamy Putina, taki triumf będzie sygnałem wysłanym w świat. Nie tylko do Moskwy. Również do Chin, Korei Północnej, Iranu, organizacji terrorystycznych – że nikt z nich nie jest w stanie wygrać. Ale to będzie możliwe tylko wówczas, jeśli wszystkie państwa sojusznicze będą wspólnie zaangażowane. Moim zdaniem sojusze międzynarodowe są w XXI wieku kluczowe.

Do czego? Do uratowania demokracji?

– Nie tylko do uratowania, ale nawet do jej wzmocnienia.

To co byłoby zwycięstwem w tej wojnie? Takim, które dałoby się zaakceptować? Emmanuel Macron prosił, żeby Rosjan nie upokarzać, Henry Kissinger byłby nawet w stanie oddać im kawałek Ukrainy za cenę pokoju. Wygrana, czyli co dokładnie?

– Trzeba powiedzieć jasno i wyraźnie: Rosja nie może zrealizować swoich celów względem Ukrainy. W tej chwili jesteśmy w trzeciej fazie tej wojny. Pierwszą była faza inwazji – i Rosja zaliczyła klęskę. Nie udało im się szybko zająć Kijowa i obalić ukraińskiego rządu, Ukraińcy stawili zbyt silny opór. Drugą fazą było niszczenie kraju i brutalne morderstwa mężczyzn, kobiet, dzieci. Rosjanie chcieli tu prowadzić wojnę w sposób, który znali z Syrii. Ten ogrom przemocy miał na celu złamanie ukraińskiego ducha walki. I znowu klęska, nie udało się. Teraz trwa trzecia faza, Rosjanie próbują przejąć kontrolę nad większymi częściami Donbasu. To już jest wojna ścierających się ze sobą dwóch sił. Rosja zajmie jakiś fragment terenu, Ukraińcy próbują go odbić. Uderzają w siebie nawzajem. Jeśli Ukrainie uda się powstrzymać Rosjan przed zbudowaniem silnej obecności w Donbasie, moim zdaniem można będzie to uznać za sukces – Ukrainy, Stanów Zjednoczonych, pozostałych sojuszników. Wszystkich.

Do tego potrzeba więcej sprzętu dla Ukrainy.

– Ten cel można osiągnąć na dwa sposoby. Albo Ukraińcy po prostu wygrają wojnę,

albo Rosja usiądzie do stołu negocjacyjnego. Chciałbym wierzyć, że w pewnym momencie Putin zrozumie, że nie osiągnie swoich celów, i będzie w stanie zaakceptować inne rozwiązanie.

Negocjowanie z Rosjanami ma jakikolwiek sens? Ławrow to przecież patologiczny kłamca. Tam jest w ogóle z kim rozmawiać?

– Najwięcej w tym wszystkim zależy od samego Putina. On, prowadząc tę wojnę, konsekwentnie działa na szkodę własnego państwa. Osłabia je, niszczy rosyjską gospodarkę, zamienia Rosję w słabnące mocarstwo. Ale tak długo, jak on jest u władzy i chce się bić, tak długo ta wojna będzie trwać.

Ale kiedyś się skończy. I co potem? Rosja przecież dalej będzie miała bombę nuklearną, jakoś z nimi trzeba będzie żyć. Tylko jak?

– Jeśli Putin się uprze, żeby dalej prowadzić wojnę, to jedyny scenariusz, w którym Zachód ma w ogóle jakiegokolwiek relacje z Rosją, musi zakładać odsunięcie go od władzy. Musi pojawić się ktoś inny, ktoś nowy, kto sprawi, że Rosja zacznie odgrywać bardziej pozytywną rolę w świecie.

To jest w ogóle możliwe?

– Uważam, że tak. Rosja to ogromny kraj, który w wielu aspektach ma spore znaczenie. Również w tym, że byśmy w przyszłości zbudowali świat globalny, w którym wszyscy współpracujemy ze sobą, a nie przeciwko sobie. Ale żeby to było możliwe, Putin musi albo szybko zacząć negocjować jakieś rozwiązanie tej wojny, albo ktoś zajmie jego miejsce. Innej drogi do lepszych stosunków z Rosją po prostu nie ma. ●



FOT. EAST NEWS

***Leon Panetta**

• (ur. w 1938 r.) – amerykański polityk i prawnik. Zasiadał w Izbie Reprezentantów, był szefem personelu w administracji Billa Clintona. Za rządów Baracka Obamy kierował Centralną Agencją Wywiadowczą (CIA) i Departamentem Obrony. Obecnie wraz z żoną Sylwią prowadzi własny think tank Panetta Institute for Public Policy

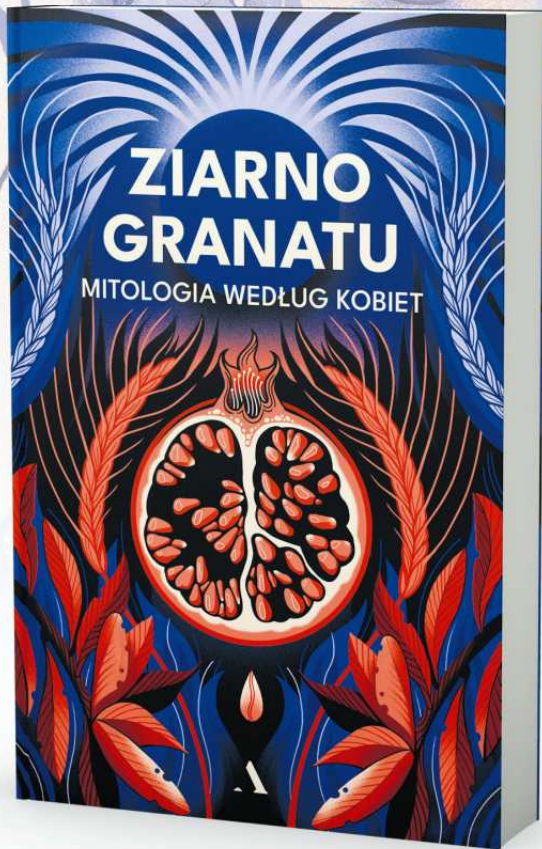
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Ziarno granatu. Mitologia według kobiet”



Współczesne polskie pisarki usłyszały i wydobyły z prastarych historii stłumiony kobiecy głos. Spojrzały na mityczne wydarzenia z ich perspektywy. Zobaczyły kobiety, które nie poddają się bez oporu. W tragicznym położeniu skazanych na porażkę, kobiety stać na niezłomność, bunt, furię i wściekłość dające siłę do walki o siebie. O własną godność, przemianę losu, o prawo do zemsty, ale też wolność oraz życie i śmierć na własnych zasadach.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Ziarno granatu. Mitologia według kobiet” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

ZGMWK22

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Piszę do was z przeszłości

Możliwość takiej ucieczki, w miejsca prawdziwie bez zasięgu i na długo, mogłaby być jakimś rodzajem prawa człowieka

Twardoch

Piszę ten tekst po powrocie z rejsu na Spitsbergen, ale bardziej piszę, jakbym pisał po wizycie w przeszłości, na innej planecie, w innym świecie, o którego istnieniu już zapomniałem, ale który przecież istniał, bo w latach pięćdziesiątych z dziewczynami umawiałem się, telefonując z budki, a potem pisaliśmy do siebie papierowe listy i ślaliśmy sobie z wakacji pocztówki.

Tak było, a potem przestało tak być.

Moje pokolenie – średnio wierzę w istnienie „pokoleń”, ale w tym kontekście chyba mogę się tym terminem posłużyć – czyli ludzie urodzeni pod koniec lat 70. i na początku 80., to ostatnie pokolenie, które żyło w tamtym, powiedzmy, że analogowym świecie, a jednocześnie pierwsze, które tak łatwo, bo w młodym jeszcze wieku, zaadaptowało się do świata, w którym żyjemy dziś. Jakbyśmy należeli do obydwu światów, do przeszłości i przyszłości jednocześnie. Telefon komórkowy w moim życiu pojawił się dopiero, kiedy już studiowałem, chyba w 1999 albo w 2000 roku, mniej więcej w tym samym czasie, a więc dość późno, pojawiło się też stałe łącze do internetu, zastąpiwszy uroczym brzęczącym modemem.

Potem już wszystko zwałilo się w moje życie jak cyfrowa lawina. Wiadomości o zamachu na WTC – jak to możliwe, że minęło już ponad dwadzieścia lat? – sprawdzałem na serwisie WAP, czyli w serwisach dostosowanych do możliwości ówczesnych, prymitywnych telefonów komórkowych, osiem lat później założyłem pierwsze konto na przeklętych mediach społecznościowych i tak wrosłem w ten świat, bez którego trudno mi wyobrazić sobie życie i którego jednocześnie nienawidzę, za to co robi z moim mózgiem, z moim skupieniem, z moją pamięcią, z moją próżnością, za to, jak bardzo jest uzależniający i toksyczny jednocześnie.

A teraz na dwa tygodnie, chcąc nie chcąc, zamieszkałem w innym świecie, w przeszłości, tylko dlatego, że na Spitsbergenie nie ma zasięgu komórkowego.

Cała moja łączność opierała się na telefonie satelitarnym, którego możliwości – poza tym, że działa na całej naszej pięknej i smutnej planecie – nie przekraczają możliwości telefonów z końca lat 90. ubiegłego stulecia. Mogłem więc zeń dzwonić i odbierać telefony, pisać krótkie SMS-y, pracownicy wystukując je na numerycznej klawiaturze, co dwadzieścia lat temu potrafiłem robić szybko i bezbłędnie, a dziś już nie potrafię. Mogłem połączyć się też ze specjalnym serwisem, za pośrednictwem którego wysyłać i odbierać dało się e-maile (ze specjalnego adresu i bez żadnych załączników) i ściągnąć prognozę pogody dla wybranej lokalizacji, marną zresztą. Żadnych sieci społecznościowych, żadnych stron internetowych ani serwisów, nic.

Spędziłem w tym świecie dwa tygodnie i ku własnemu zaskoczeniu nie miałem, mimo objawów, które uprzednio uznawałem za uzależnienie, żadnych symptomów odstawienia. Mało tego, czułem się w tym



Zniknęła nagle sprzed moich oczu ta przeklęta ruska wojna z Ukrainą i Zachodem, zniknął PiS i Kons-ty-tuc-ja, zniknął śmieszny dziadunio, a przy tym profesor, przestrzegający w podręczniku dziatki przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą heavy metal, in vitro oraz gender

świecie znakomicie i świetnie czuł się w nim również mój 15-letni syn, jemu może było jednak łatwiej, bo mediów społecznościowych, mądry chłopiec, nie tylko nienawidzi, jak ja, ale też nie używa. Kiedy rozstawiałem więc mój skomplikowany zestaw, składający się z telefonu, dodatkowej anteny na długim kablu (telefon satelitarny musi widzieć anteną niebo, aby działać), specjalnego modemu i powerbanku oraz wielkiej płataniny kabli, czym wzbuźdzałem uzasadnioną wesołość miłej załogi, aby e-mailem przesłać do redakcji „Wyborczej” naszą pozycję i krótką relację z dnia, to czułem, że jest to dokładnie tyle kontaktu ze światem, ile potrzebuję.

Zniknęła więc nagle sprzed moich oczu ta przeklęta ruska wojna z Ukrainą i Zachodem, zniknął PiS i Kons-ty-tuc-ja, zniknął śmieszny dziadunio, a przy tym profesor, przestrzegający w podręczniku dziatki przed niebezpieczeństwami, jakie niesie ze sobą heavy metal, in vitro oraz gender, i zniknęli jeszcze śmieszniejsi ludzie, którzy wierzą, że ciśnięta za pomocą takiego podręcznika propaganda może w jakikolwiek realny sposób wpłynąć na postawy dręczonych nią młodych ludzi, jakby zapomnieli już, że

nic nie przyczyniło się do postępującej laicyzacji polskiego społeczeństwa tak, jak wpuszczenie religii do szkół. Zniknęły kunktatorskie Niemcy, które niby chciałyby, a boją się, i nawet moja bezsilność zniknęła, ta, którą czułem wiosną, pisząc o konieczności udzielenia jak najszerszego poparcia i materialnej pomocy Ukrainie do każdej niemieckiej redakcji, która chciała mnie drukować, a trochę ich było – i mimo to czułem się przecież często, jakbym mówił do ściany. Nie było więc

wiadomości, ale oprócz tego nie było też mediów społecznościowych, nie było najbardziej oglupiającej z czynności, to jest tępego przewijania Instagrama, tego wielkiego targowiska próżności, którego algorytmy dobierały materiały wyświetlane na przeklętych rolnkach tak, aby prawie nie dało się przestać przewijać, co spowodowało, że, pogrążony w rozpacz, usunąłem rzeczony Instagram z telefonu, aby nie zamienić potrzebnego mi do pracy mózgu w rozwodnioną papkę, i instaluję go tylko na tę chwilę potrzebną, by coś nań wrzucić.

Wszystko to zniknęło, było tylko morze, lodowce, wieloryby i tundra, a na niej resztki bezsensownych ludzkich przedsięwzięć, było tylko zmęczenie i niewyspanie na nocnych wachtach białymi nocami, był hałas naszego diesla, bo w wodach Arktyki rzadko da się pływać na żaglach, i czułem się w tym świecie wspaniale. Nie tęskniłem do niczego, niczego mi nie brakowało i nagle okazało się, że to, co wydawało mi się uzależnieniem, może zniknąć z mojego życia i nie pozostawić po sobie żadnej pustki, żadnej dziury. Nie brakowało mi nawet Google’a – kiedy rozmawialiśmy, a płynąc, rozmawialiśmy o wszystkim, nagle zamiast Google’a trzeba było używać pamięci, która okazała się jeszcze działać, chociaż zaśniedziała nieco od nieustannego wspierania przez cały świat dostępny za jednym kliknięciem.

Możliwość takiej ucieczki, w miejsca prawdziwie bez zasięgu i na długo, mogłaby być jakimś rodzajem prawa człowieka, jak prawem jest możliwość niewychodzenia na ulicę albo tłoczny plac. I oczywiście, ktoś powie od razu, że nie trzeba w tym celu jechać na 80. równoleżnik, wystarczy wyłączyć telefon i router wi-fi i już, cały ten świat zniknie.

To prawda. Ale tak szczerze – komu się to kiedykolwiek udało? Wyłączyć się, nie na jedno popołudnie, ale na dwa tygodnie, w miejscu, gdzie połączyć się jednak można? Całkowity brak zasięgu to zupełnie coś innego niż wyłączony telefon, który w każdej chwili można niestety włączyć z powrotem. Tym bardziej zasmuciła mnie wiadomość, że od przyszłego roku na Svalbardzie ma pojawić się Starlink... ●

Szczepan Twardoch

PARTNERSTWO

Partnerem cyklu o wyprawie na Spitsbergen jest Wydawnictwo Literackie, wydawca nowej powieści

Szczepana Twardocha „Chołód”

W KSIĘGARNIACH OD 26 PAŹDZIERNIKA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Jak odwojować TK? Nie blitzkriegoem, ale wojną pozycyjną

Prawny blitzkrieg doprowadzi w ciągu dwóch tygodni do pata, a więc do utrzymania status quo. Efekt: polityczny rubelek niezarobiony, praworządnościowa cnota stracona.

Marcin Matczak*



Unikalności naszego państwa świadczy najlepiej fakt, że Krystyna „a który to Hitler” Pawłowicz prawdopodobnie szybciej zostanie usunięta za chamstwo z Twittera niż z TK. Jej kolejny wybrzyk pokazuje, że rządzi nami coś na kształt mafii: ta kobieta powinna mieć dawno około siedmiu tysięcy postępowań dyscyplinarnych, ale nie będzie miała żadnego, bo kruk krukowi oka nie wykole. A to znaczy, że nie rządzi nami prawo, tylko siła – jak w mafii, a nawet gorzej, bo bez honorowych mafijnych zasad.

Sprawa pani Krystyny ma jeszcze jeden aspekt. Istnieje ryzyko, że sędzia TK, która ma trudności z rozpoznaniem Hitlera, może nie rozpoznać ustaw norymberskich, gdyby te przedłożono jej do oceny. A to już nie są przelewki. Ktoś, kto nie odróżnia Adolfa od Donalda, może nie widzieć różnicy między swastyką i świstakiem albo między puczem monachijskim a rządziwym.

Sprawa Pawłowicz wywołała moją dyskusję o wyzerowaniu TK z Bartłojem Sienkiewiczem. Polityk, który myśli bardziej w kategoriach ludzkich emocji niż prawa, uznał, że skoro zgadzamy się, że Pawłowicz jest obrazą dla urzędu, nie powinienem przestrzegać przed zerowaniem Trybunału. Na mafijną siłę trzeba odpowiedzieć siłą, nie prawem. Oczywiście – przecież gdy sycylijska mafia wysadziła w powietrze sędziego Falcone, rząd włó-

ski rozerwał bombą sprawców. Czy też jednak frajersko aresztował La Barberę i Riinę i zorganizował im proces?

Najslabszym argumentem, który podnosi się przeciwko propozycji Zespołu Expertów Fundacji Batorego (odwołanie dublerów i zmiana zasad postępowania dyscyplinarnego wobec sędziów TK zamiast wyzerowania), jest niepraktyczność. Ci Aleksandrowie Macedońscy chcą przeciąć węzeł zaplątany przez PiS, zamiast go rozwiązywać. „Jesteście naiwni – mówią – zostawcie politykom brudną robotę, bo prawnicy umieją się tylko z mafią certolić”.

Pozwólcie, że pokażę dwa możliwe scenariusze. Pierwszy to prawny blitzkrieg – opozycja wygrywa wybory, zakładam, że bez większości konstytucyjnej, macha ręką na prawniczych mięczaków i „zeruje” TK. Jak? Przez akt prawny – ustawę lub uchwałę Sejmu. Odwołuje cały TK za „ulegnięcie kontaminacji”. To brzmi ładnie politycznie, ale nie ma żadnego odpowiednika w prawie. Ale pomińmy to – papier jest ciepły. Następnie opozycja powołuje 15 nowych sędziów i triumfuje.

Czy TK zostaje wyzerowany? Nie – ustawę musi podpisać prezydent, uchwałę opozycyjny PiS zaskarży do starego TK. Oczywiście prezydent odmówi, TK uchwałę uchyli. A więc pat. 12 z 15 nowo powołanych staje się dublerami, prawnymi kotami Schrödingera, o których nie wiadomo, czy są sędziami, czy nimi nie są. Na marginesie – życzę powodzenia w szukaniu na te 12 stanowisk poważnych kandydatów, którzy zaryzykują swój dorobek i karierę, by stać się zakładnikami w politycznej naprzance.

Co wtedy zrobi opozycja? Naśle wojsko na budynek przy Szucha? Odwoła prezydenta, bo uchwałę o jego wyborze zatwierdziła wątpliwa prawnie izba SN? Powoła TK-bis w nowym budynku i do niego będzie wysyłać ustawy, tworząc kolejnego sądowego potworka, którego ETPC uzna za sąd nieustanowiony ustawą? Jakie inne scenariusze prawnego i politycznego armagedonu można tu rozważać?

Najbardziej prawdopodobny jest taki – prawny blitzkrieg doprowadzi w ciągu

dwóch tygodni do pata, a więc do utrzymania status quo. Efekt: polityczny rubelek niezarobiony, praworządnościowa cnota stracona. A jeszcze precedens stworzony na przyszłość – przypomnijcie sobie, jaki efekt miał „chyttry” plan powołania przez PO/PSL pięciu sędziów na zapas w 2015 roku.

Może więc zamiast prawnego blitzkriegu warto rozważyć drugi scenariusz – polityczną wojnę pozycyjną? Zamiast zaczynać od TK, który jest konstytucyjnie chroniony, zacząć od prokuratury i mediów? Od prokuratury, żeby móc ścigać sędziowskie przekręty w TK, od mediów, żeby można było je wyborcom PiS bez propagandowej cenzury pokazać w TVP?

Ktoś, kto nie odróżnia Adolfa od Donalda, może nie widzieć różnicy między swastyką i świstakiem albo między puczem monachijskim a rządziwym

Zamiast Dudy, który na konferencji prasowej wydiera się na temat niekonstytucyjności działań opozycji (tu akurat będzie miał rację), chętniej oglądałbym konferencję nowego prokuratora generalnego, który pokazuje szczegóły rozmów Przylębskiej z sędziami, które przy kolacji toczyły się w pewnym podwarszawskim domu. Zamiast bezradności wobec wyroku TK, który roznosi w pył oczywiście niekonstytucyjny akt prawny wyprodukowany przez opozycję rzekomo broniącą konstytucji, wolałbym praktyczne do bólu postępowanie karne w sprawie manipulowania składami w TK. Patrzyłbym, jak rozsypuje się lojalność ludzi z gumowymi kręgosłupami, którzy nagle zmieniają front.

Skąd pewność, że TK będzie wszystko blokował? Popatrzcie na woltę Wyrembaka, na Muszyńskiego, który po kilku latach nagle obudził się i krzyczy, że był poddawa-

ny niedozwolonemu wpływowi – przypomniało mu się dopiero wtedy, gdy na jaw wyszły informacje o trybunalskich schadkach Przylębskiej i mailach Luciusa Domitiusa. Gdy sędziowie TK będą mieli do wyboru: służyć przegranemu PiS albo wyrokować zgodnie z konstytucją nad ustawami nowej władzy, dwa razy się zastanowią. Bez ochrony politycznej w TK będzie trudniej bezkarnie przyjmować od PiS instrukcje, manipulować składami, chronić kolegów przed odpowiedzialnością. Już teraz Przylębska prawdopodobnie musi interweniować, bo lojalność się łamie. Myślicie, że pozostanie trwała po zmianie władzy?

Działania wobec TK będą łatwe do zablokowania. Działań prokuratorskich i medialnych ani TK, ani prezydent zablokować nie mogą. Nie zaczynajcie więc od TK, bo przegracie. Zaczniście tam, gdzie możecie wygrać, a wtedy problem TK prawdopodobnie rozwiąże się sam.

Pokażcie ludziom zgniliznę moralną tych rządów i sprzedajność niby-sędziów. Zamiast ich wzmacniać, dając pożywkę do krytyki, zamiast niszczyć na lata polskie państwo, pozwólcie się temu rozpaść. Wyzerowanie TK nie zmniejszy poparcia dla PiS. Ale mnóstwo ich wyborców jest pod wpływem propagandy – trzeba im pokazać w ich mediach prawdę o tych rządach. To długofalowo będzie skuteczniejsze niż bycie PiS-bis i rozwalanie państwa jak oni. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

ZIARNO GRANATU
MITOLOGIA WEDŁUG KOBIET

Spod kakofonii maczystowskich rozkazów, wrzasków i monologów wyraźnie słyszę kobiecy wielogłos. To nie jest chór biernych, zniewolonych, pokonanych. Greczynki się nie poddają. Walczą. To walka nierówna, zazwyczaj skazana na porażkę, ale jednak niezłomna, i w tym piękna. Mity greckie są przejmująco aktualne. Nie tracą mocy i znaczenia.

ZYTA RUDZKA

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY

BONI
CHEREZIŃSKA
FIEDORCZUK
JELONEK
LIS
MUREK
PLEBANEK
RUDNIAŃSKA
SADURSKA
SŁOWIK
ZBROJA
ZIELIŃSKA

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



LUDZIE ZIOBRY NIE CHCĄ POPLYNĄĆ ZA ODRE

Dominika Wielowieyska

Ohoć to politycy PiS wraz ze swymi rodzinami wzięli najwięcej państwowych synekur i o nich mówi się teraz najczęściej, to nie próżnuje też Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. Ochrona środowiska, Lasy Państwowe i Polski Związek Łowiecki – tam urządzają się działacze tej małej partii. Zaczniemy od środowiska. Na szczeblu regionalnym mamy dwa rodzaje instytucji – wojewódzkie fundusze ochrony środowiska, które przyjmują choćby wnioski do programu „Czyste powietrze”, i wojewódzkie inspektoraty ochrony środowiska, które zajmują się kontrolą.

Rewolucję personalną w wojewódzkich funduszach zrobił nieżyjący minister środowiska Jan Szyszko, gdy PiS ograniczył w nich wpływ samorządów, a po nim część ludzi wymienili Henryk Kowalczyk. I choć są całkowicie opanowane przez PiS, Solidarna Polska zdobyła jeden przyczółek, ale najbardziej aktywny politycznie. Ireneusz Stachowiak z SP kieruje Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Bydgoszczy, a Szymon Kosmal-

ski, jego partyjny kolega, jest tam dyrektorem Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Obaj byli w grupie ludzi, którzy chcieli skompromitować senatora Krzysztofa Brejzę i jego ojca, Ryszarda, prezydenta Inowrocławia.

Gdy Warszawa borykała się z awarią w oczyszczalni ścieków Czajka, Stachowiak tropił także jej ślady w Kujawsko-Pomorskiem. Pisał na Twitterze: „Pilne! Mam miejsce, gdzie ratusz PO wywozi śmieci z Czajki”. TVP Info, która atakowała Rafała Trzaskowskiego, podchwyciła temat. Stachowiak złożył zawiadomienie do Prokuratury Krajowej, która ma nadzorować śledztwo w tej sprawie. Lokalni samorządowcy mówili, że to bzdury, a o aferze słuch zginął.

Jednak ludziom Ziobry nie udało się zdominować wojewódzkich struktur ochrony środowiska, bo już na dobre usadowili się tam działacze PiS.

KARUZELA NADZORU

I choć wojewódzkie inspektoraty ochrony środowiska nie cieszyły się takim zainteresowaniem polityków – awansowano w nich inspektorów z niższych szczebli – to zdarzyły się trzy czy cztery nominacje partyj-

ne, ale to ludzie PiS, a nie Solidarnej Polski. Dlatego próby premiera zwałenia wszystkiego w sprawie zatrucia Odry na ludzi Ziobry zapewne się nie powiodą. Prezesem wojewódzkiego inspektoratu ochrony środowiska w Zachodniopomorskiem od blisko dwóch lat jest Marek Chabior, były radny miejski PiS. Jest także członkiem rady WFOŚ. Wcześniej kierował Klubem „Gazety Polskiej” w Szczecinie.

W Gdańsku wojewódzkim inspektorem jest Edyta Witka-Jeżewska. To była kandydatka PiS na posła. W 2016 roku zatrudniła się w spółce Energa jako specjalista ds. ochrony środowiska. PiS starał się szukać osób doświadczonych w swoim kręgu, np. szefową WIOŚ na Podkarpaciu jest Krystyna Solek, która od kilkunastu lat pracowała w inspektoracie, ale politycznym przypadkiem jest żona Jana Solka, byłego kandydata PiS na radnego i posła.

Na Dolnym Śląsku wojewódzkim inspektorem ochrony środowiska jest Mariusz Wojewódka. To był wicestarosta średzki i pełnomocnik PiS w tym powiecie. Wojewódka jest na cenzurowanym, bo to właśnie ten inspektorat powinien reagować najwcześniej w sprawie Odry.

Ochrona środowiska to królestwo polityczne wiceministra klimatu i ochrony środowiska Jacka Ozdoby z SP. Zdymisjon-

wany ostatnio szef Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska Michał Mistrzak to jego człowiek. Stracił stanowisko w ramach odwiecznej wojny między Morawieckim a Ziobrą. Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak przyznać, że 3 sierpnia rozesłał do wojewódzkich inspektoratów ostrzeżenie w sprawie śniętych ryb, ale nic się z tym nie działo. A Mistrzak niewiele mógł zrobić, bo wojewódzkie inspektoraty ochrony środowiska praktycznie podlegają wojewodom.

Wcześniej na gremiach partyjnych Ozdoba podnosił, że system kontroli środowiskowej ma podstawową wadę. Główny Inspektorat nie ma narzędzi do działania, skoro nie ma wpływu na inspektoraty wojewódzkie. A to paraliżuje zarządzanie kontrolą w skali kraju. – Od wielu miesięcy walczył o zmianę ustawy w tej kwestii i chyba na jesieni to ma w końcu przejść – dowiadujemy się w Solidarnej Polsce. Jeżeli Główny Inspektorat przejmie władzę nad oddziałami wojewódzkimi, a nadal w resorcie klimatu będzie to obszar kontrolowany przez ludzi Ziobry, to można się spodziewać kolejnej karuzeli kadrowej w inspektoratach. Ten zarzut odrzuca minister Ozdoba, który pozytywnie wypowiada się o większości inspektorów wojewódzkich. – Proszę zwrócić uwagę, że Michał Mistrzak był urzędnikiem apolitycznym, b. funkcjonariuszem CBS,

niezwiązanym z Solidarną Polską, który wiele zrobił dla zwalczania przestępczości środowiskowej, m.in. przeprowadził nowelizację kodeksu karnego w części dotyczącej ochrony środowiska. Nie jest tajemnicą, że ja i minister Mistrzak od dawna źle ocenialiśmy działalność dolnośląskiego inspektora ochrony środowiska, i to długo przed kryzysem związanym z Odrą – powiedział „Wyborczej” wiceminister Ozdoba.

SZUKANIE KOZŁA

O tym, że Solidarna Polska nie odpowiada za zaniechania w sprawie Odry, przekonywał prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego sam Ziobro na jednym ze spotkań w ubiegłym tygodniu. Bo musiał stawić czoło zakusom Morawieckiego, który chciał zwolnić Ozdobę z Solidarnej Polski, jak wcześniej Mistrzaka i szefa Wód Polskich Przemysława Dacę. „Frakcja morawiecka” tłumaczy, że nie jest istotne to, czy inspektorzy wojewódzcy podlegają GIOŚ, czy nie, tylko to, że nikt nie zaalarmował premiera, że szykuje się tak wielki kryzys. Tyle tylko, że wtedy z tych samych powodów należałoby zwolnić jeszcze kilka innych osób.

Analiza odpowiedzialności poszczególnych urzędników wskazuje, że to przede wszystkim Dacą jeszcze w środę 10 sierpnia bagatelizował problem na Odrze, o którym wędkarze, aktywiści, samorządowcy informowali od końca lipca. Na wspólnej konferencji prasowej z Przemysławem Dacą wystąpiła zastępczyni głównego inspektora ochrony środowiska Magdalena Gosk i stwierdziła, że o katastrofie ekologicznej nie ma mowy. Wiceminister infrastruktury Grzegorz Witkowski deklarował, że on się w Odrze wykapie. A kolejny wiceminister infrastruktury Marek Gróbarczyk w rozmowie z dziennikarzami powiedział, że o sprawie wiedział już 27 lipca. Ale dlaczego nie powiadomił premiera? Wszystkie te wypowiedzi świadczą o tym, że politycy PiS lekceważyli problem przez dłuższy czas, mimo że posłowie opozycji, np. Małgorzata Tracz z Zielonych, już 3 sierpnia domagali się natychmiastowej reakcji.

LOWCY POSAD

O ile w inspektoratach ochrony środowiska SP nie miała okazji się umościć, o tyle w środowisku łowieckim – owszem.

Polski Związek Łowiecki żyje ze składek myśliwych i swojej działalności gospodarczej. Ma 49 okręgów terenowych w kraju, które mogą dysponować funduszami, ale na większe wydatki potrzebna jest zgoda centrali.

W 2018 r. PiS uchwalił zmiany w prawie łowieckim, które zwiększały kontrolę rządu nad PZŁ i dawały ministrowi środowiska duży wpływ na powoływanie władz tej organizacji, i praktycznie prezesa PZŁ powołują politycy. Myśliwi narzekają, że stracili też wpływ na władze okręgowe, pomstują, że za czasów dwóch PiS-owskich prezesów PZŁ wpadł w finansowe tarapaty. W 2018 roku był na minusie 8 mln zł, w następnym roku – blisko 7 mln zł. Rok później sytuacja się poprawiła – plus 900 tys. zł.

– W 2018 roku, pod pozorem walki z pomorem świń, PiS zabrało nam samorządność, nie możemy wybierać swoich władz. Do związku wysyłani są partyjni nominaci, którzy nie wiedzą, jak nim zarządzać. Te kilkanaście milionów złotych strat to dowód na potwierdzenie tej tezy – mówi „Wyborczej” Paweł Gdula, były naczelny „Łowca Polskiego”, obecnie szef myśliwskiego portalu Wildmen.

PiS wykorzystał nastroje antyłowieckie. Organizacje prozwierzęce podnosiły, że trzeba zwiększyć kontrolę rządu nad finansami PZŁ, bo związek mimo wykonywania zadań nałożonych przez państwo i zarządzania dobrem ogólnonarodowym prowadzi nietransparentną politykę finansową, a komercyjne polowania są szarą strefą. Myśliwi się bronią, że to niesprawiedliwa

ocena, bo przed 2018 rokiem składali sprawozdania ministrowi, publikowali w „Monitorze Sądowym” bilans. Polowania komercyjne prowadzone są przez licencjonowane biura polowań, które działają tak jak biura turystyczne – są ubezpieczone i płacą podatki, więc nie można mówić o szarej strefie. Niechęć do PZŁ wynika z tego, że wiele osób uważa polowania za barbarzyństwo, dlatego nie ma chętnych do obrotu myśliwych. Raz chciała się zaangażować Lewica, piętnując chęć przejęcia majątku organizacji przez ludzi Ziobry, ale skończyło się kłótnią w klubie parlamentarnym, bo zaprotestowały organizacje prozwierzęce.

AWANTURA NA SCHODACH

– W 2020 roku został powołany Paweł Lisiak, był członkiem Naczelnej Rady Łowieckiej, więc wydawało się, że będzie z nią współpracować. Ale tak się nie stało – twierdzi tymczasem Gdula. Jego zdaniem Lisiak łamie statut i jest nieudolny.

Lisiaka powołał minister środowiska Michał Woś z Solidarnej Polski, który przez kilka miesięcy 2020 roku pełnił funkcję ministra środowiska. Później myśliwi odkryli, że Lisiak to znajomy męża europosłanki Solidarnej Polski Beaty Kempy. Polowali razem jeszcze z synem posłanki. Gdy pytamy Beatę Kempę o Lisiaka, odpowiada: „[oryg.] Niestety przed powołaniem nigdy Pana Lisiaka nie widziałam na oczy. Pierwszy raz poznałam Go na uroczystości odsłonięcia tablicy poświęconej śp. prof. Jana Szyszkli”.

– Ale myśliwi twierdzą, że został prezesem, bo zna pani męża i polują razem także z pani synem. Nieprawda? – zapytałam i na to pytanie odpowiedzi nie uzyskałam.

– W środowisku łowieckim tajemnicą poliszynela jest, że krewni Beaty Kempy dzięki Lisiakowi mają okazję polować za darmo w ośrodkach hodowli zwierząt. Każdy myśliwy płaci składki i poluje za darmo w swoim kole, ale już za polowanie w tych ośrodkach (jest ich 17) trzeba płacić, np. za byka jelenia w zależności od okresu polowania 5-10 tys. zł – mówi „Wyborczej” Leszek Matusiak, członek PZŁ z okręgu piotrkowskiego. Zadałam to pytanie i zarządowi PZŁ, i Beacie Kempie, ale nie otrzymałam odpowiedzi.

Ministerstwo Środowiska już nie istnieje, teraz mamy Ministerstwo Klimatu i Środowiska, a tam wiceministrem odpowiedzialnym za łowiectwo i lasy jest człowiek Solidarnej Polski Edward Siarka, który zasłynął niedawno wypowiedzią o zbieraniu chrustu. Dba o interesy SP w łowiectwie i nie pozwala odwołać Lisiaka mimo żądań środowiska. A Lisiak – jak mówią działacze PZŁ – wstał do władz okręgowych swoich ludzi.

W marcu prezes NRL Paweł Piątkiewicz wręczył Lisiakowi dyscyplinarne wypowiedzenie z pracy. Lisiak – według portalu Łowiecki.pl – zarabiał 30 tys. zł. Choć Ministerstwo Klimatu uchyliło uchwałę Naczelnej Rady Łowieckiej o zmniejszeniu poborów, Paweł Lisiak jest nadal łowczym krajowym, to ma problem z wynagrodzeniem. Lisiak pozwał PZŁ, a więc organizację, którą kieruje. Sytuacja jest o tyle kuriozalna, że w tym procesie PZŁ reprezentuje człowiek Lisiaka. Jednocześnie łowczy krajowy nie poinformował o rozprawie prezesa Naczelnej Rady Łowieckiej. PZŁ nie odpowiedział na nasze maile z pytaniami dotyczącymi konfliktu.

W tym roku na spotkanie wielkanocne łowczy krajowy Paweł Lisiak zaprosił wiceministra Siarkę. Było bardzo miło, ale do czasu. Na schodach ministra złapali poirytowani członkowie PZŁ. W emocjonalnych wypowiedziach zarzucali Siarce narzucanie partyjnych nominacji i chronienie Lisiaka. Siarka się zdenerwował i zagroził, że rozwiąże koła łowieckie protestujących. To wywołało kolejną falę irytacji. Wezwano policję. Portale łowieckie, niezależne od zarządu PZŁ, były oburzone groźbami ministra. Zresztą na filmie dostępnym w sieci (myśliwi nagrywali te wydarzenia) widać,

że uczestnicy protestu domagali się przede wszystkim spotkania z ministrem w dogodnych warunkach.

Myśliwych bulwersuje też inna nominacja. Do zarządu PZŁ weszła prokurator Ewa Kraska, osoba ze środowiska Ziobry. Poseł Arkadiusz Iwaniak z Lewicy alarmował, że Kraska siłą rzeczy zajmuje się w PZŁ działalnością gospodarczą i jako prokurator nie może łączyć tych dwóch funkcji. Prokuratura w Katowicach uznała się za niekompetentną, aby odpowiedzieć na nasze pytania o to. – NIK stwierdził, że nie może zbadać tej sprawy – powiedział „Wyborczej” Iwaniak.

Lasy Państwowe, zdominowane przez Solidarną Polskę, oraz PZŁ łączy kancelaria prawna Aventus, w której partnerem jest dr Jakub Pokoj, kolega ministra Wosia ze studiów. Paweł Gdula relacjonuje, że już na początku 2020 roku w siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego pojawili się zupełnie nieznanymi w środowisku myśliwych Dominik Szary, szef sztabu wyborczego kandydata na prezydenta Radomia Wojciecha Skurkiewicza, który objął stanowisko wiceprezesa spółki Łowiec Polski, oraz właśnie dr Pokoj, który został członkiem rady nadzorczej spółki Łowiec Polski. Ta spółka została zlikwidowana, a Dominik Szary objął w zarządzie głównym PZŁ etat dyrektora wydziału medialno-wydawniczego.

Gdula za głoszone opinie na temat władz związku został pozwany do sądu, oczywiście pozew przysłała mu kancelaria Aven-

Morawiecki chciał sprawę Odry zwalić na Ziobrę, bo to jego ludzie obstawili ochronę środowiska

tum. – Postawili mi zarzuty naruszenia dóbr osobistych zarządu głównego PZŁ – mówi „Wyborczej” Gdula, który na swojej stronie Wildmen.pl krytykuje nieudolność nominowanych przez Solidarną Polskę komisarzy.

DOM ZA 5 PROCENT

Dr Pokoj pojawiał się już wcześniej w publikacjach w kontekście Lasów Państwowych, które także przejęła Solidarna Polska. Lasy są bogatą spółką, przychody idą w miliardy złotych. Onet opisywał przelewy, które płynęły z tej spółki właśnie do Aventus.

W zeszłym roku posłanka Małgorzata Tracz zapytała ministra Siarkę, ile regionalnych dyrekcji oraz nadleśnictw Lasów Państwowych obsługiwała w roku 2020 i 2021. Ile Aventus zarobiła w Lasach. I czy przeprowadzono przetarg na usługi prawne. Siarka stwierdził, że nie odpowie, bo to informacje poufne, a przetarg był niepotrzebny.

Wśród osób związanych z Solidarną Polską, które znalazły się w Lasach, wymienia się byłego dyrektora generalnego Andrzeja Koniecznego, który został odwołany, gdy kupił od Lasów Państwowych dom za 5 proc. jego wartości, czyli – według One-

tu – za niecałe 10 tys. zł. Konieczny stracił co prawda stanowisko, ale szybko został mianowany dyrektorem regionalnym w Poznaniu.

Potem dyrektorem generalnym LP został Józef Kubica, także działacz Solidarnej Polski. Wcześniej na stanowisko dyrektora regionalnego w Katowicach mianował go... Andrzej Konieczny. Kubica, idąc śladem poprzednika, kupił od Lasów dom – również za 5 proc. wartości – płacąc za niego blisko 10 tys. zł. Jednak zachował posesję. W zeszłym roku Kubica zasłynął wypowiedziami antyunijnymi na spotkaniu u ojca Tadeusza Rydyka. – Lewactwo atakuje. Dajmy temu odpór – wzywał.

Głośna była też sprawa byłego dyrektora regionalnego w Krakowie Jana Kosiorowskiego, który zakładał fundację Dla Niepodległej. W czasie kiedy był dyrektorem regionalnym, na konto fundacji wpłynęło ponad 700 tys. zł. Pieniądże przelewali nadleśniczowie podlegli Kosiorowskiemu – podał Onet.

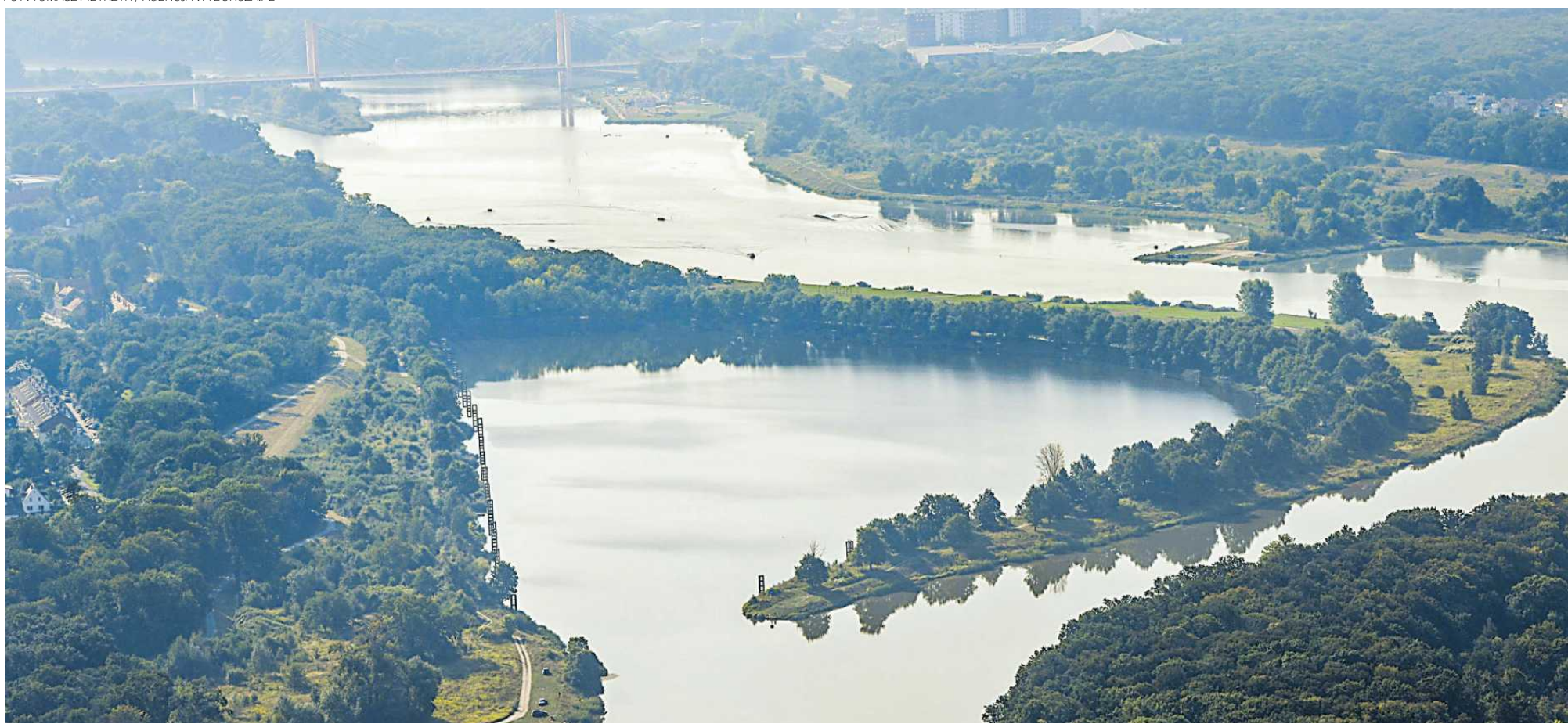
– Współorganizacja konferencji o polityce klimatycznej z udziałem czołowych polityków Solidarnej Polski czy asystowanie szefowi lokalnych struktur partii podczas różnego rodzaju uroczystości. Takie sytuacje stają się normą, odkąd szefem Nadleśnictwa Biłgoraj został Andrzej Borowiec. Miejscowi politycy mówią wprost o wykorzystywaniu leśników do promocji ugrupowania Zbigniewa Ziobry – donosił z kolei „Dziennik Wschodni”.

Andrzej Borowiec to prywatnie brat byłej posłanki PiS Agaty Borowiec i siostrzeniec żony dyrektora Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie Zygmunta Byry. To także wiceprzewodniczący okręgowych struktur Solidarnej Polski. Ostatnio podsumowaliśmy korzyści środowiska Ziobry w związku z przejęciem Lasów Państwowych. Największym beneficjentem jest Kubica, zaraz za nim Borowiec.

Z kolei Michał Gzowski, polityk Solidarnej Polski spod Elbląga, a także rzecznik prasowy Lasów Państwowych, został redaktorem naczelnym magazynu wydawanego przez Lasy – „Echa Leśne”. W Tolkmicku, które jest rodzinnym miastem Gzowskiego, a także jego okręgiem wyborczym, w 2018 roku startował z listy PiS do rady powiatu, ale mandatu nie zdobył. W parafii w Tolkmicku popularny jest kwartalnik „Apostoł Miłosierdzia Bożego” i w tegorocznych numerach sporo jest o działalności Lasów Państwowych. W środku znalazł się także dwukolumnowy wywiad z Michałem Gzowskim. Jednocześnie w latach 2020-22 Lasy Państwowe zapłaciły „Apostołowi...” ponad 80 tys. zł. W poprzednich numerach „Apostoła...” znaleźć można wywiady z Józefem Kubicą oraz Edwardem Siarką.

Lasy Państwowe są traktowane podobnie jak Fundusz Sprawiedliwości. Zauważyła to posłanka Koalicji Obywatelskiej Gabriela Lenartowicz przy okazji pikniku Ciapiek Racing 2021, XXVIII Dni Rydułtów i dożynek wiejskich w powiecie raciborskim, których bohaterami byli ludzie z Lasów Państwowych i poseł Michał Woś. Lenartowicz napisała w tej sprawie interpelację do ministra klimatu. Wosiowi na takich imprezach towarzyszą pracownicy Lasów Państwowych, którzy rozdają mieszkańcom sadzonki drzew z bilecikami z nazwiskiem i zdjęciem posła Solidarnej Polski. W ten sposób państwowa spółka promuje polityka SP. Lenartowicz pytała, ile kosztowała Lasy ta akcja z sadzonkami, ale wiceminister Siarka odpowiedział, że pracownicy Lasów Państwowych nie promują posła Wosia i nie oni rozdawali sadzonki. Na to Lenartowicz przedstawiła zdjęcia stoisk promocyjnych z napisem „Lasy Państwowe” i opatrzyła to takim komentarzem: „Czy Lasy okłamują ministra Siarkę, czy minister Siarka okłamuje Sejm?”. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie odpowiedziało też na inne nasze pytania dotyczące obsadzania stanowisk w Lasach Państwowych i Polskim Związku Łowieckim. ●

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL



JAK OŻYWIĆ ODRE?

TRZEBA NA TO WIELU LAT

O zarybianiu na razie nie myślimy. Najpierw musimy mieć pewność, że ryba będzie miała warunki do życia, a na razie nie ma.

Z PROF. **ROBERTEM CZERNIAWSKIM***, BIOLOGIEM,
ROZMAWIA **ADAM ZADWORNY**

Na brzegu ginącej Odry największe wrażenie robią olbrzymie, dwudziestoletnie sumy. Jak długo może potrwać przywrócenie Odry do stanu sprzed katastrofy ekologicznej?

– Myślę, że na początek potrzebujemy przynajmniej 10 lat, zaznaczam – na początek. Dwa, trzy pokolenia ryb muszą być samowystarczalne, aby utrzymać swoją populację. Aby zrozumieć, co się stało, trzeba spojrzeć na piramidę troficzną – powinna mieć kształt równoramiennego trójkąta, z idealnie wypełnionymi poziomami troficznymi. U podstawy piramidy mamy producentów pierwotnych, rośliny naczyniowe i glony, następnie konsumentów pierwszego rzędu, np. zooplankton, małże, a dwa poziomy wyżej konsumentów drugiego i trzeciego rzędu, to głównie ryby, na samym szczycie znajdują się ryby drapieżne, czyli w przypadku polskich rzek – szczupaki, sandacze czy sumy. Teraz ta piramida została zaburzona, u jej podstawy glony tworzące zakwit nie mieszczą się w polu przeznaczonym dla producentów pierwotnych, ponieważ jest ich stanowczo za dużo, natomiast szczytowe drapieżniki znacznie ograniczyły swoją liczebność, gdyż wyginęły i jest ich za mało. W takim wypadku brakuje organizmów, które od góry kontrolują stan piramidy troficznej, czyli drapieżników.

Glony to np. złote algi posiadające zdolność uwalniania silnej toksyny o nazwie prymnezyna, śmiertelnej dla ryb i mięczaków. To one odpowiadają za to, co widzimy na Odrze?

– Przede wszystkim stało się coś, co uruchomiło trwający obecnie proces, którego tak zwane złote algi są najprawdopodobniej tylko częścią, fakt, że ze znaczącym udziałem. Z pewnością te warunki zostały wykorzystane też przez inne glony. Nie ma organizmu, który zasiedla dane środowisko, nie mając pewności, że to środowisko zapewni mu warunki do rozwoju. Ta tzw. złota alga miała bardzo korzystne warunki, bo preferuje słone środowisko. Zakwit wody, jaki spowodował ten gatunek, musiał być związany ze zbytnim zasoleniem w południowej części Odry, a to najpewniej jest spowodowane zrzutami przemysłowymi, np. kopalnianymi, lub rozpuszczeniem w wodzie wielu różnych substancji, określonych pierwiastkami z całej tablicy Mendelejewa. Tak więc w wyniku działalności człowieka złota alga zwiększyła swoje zagęszczenie tak, że w dwa tygodnie, przy współudziale innych korzystnych dla niej czynników, w naszym rozumieniu zniszczyła, a w znaczeniu przyrodniczym zmieniła nam rzekę na wiele lat.

Jakie są te inne czynniki?

– Glonom powodującym intensywne zakwity wody sprzyja wysoka temperatura, do tego mamy niski stan wody w Odrze, co zwiększa stężenie korzystnych dla nich składników pokarmowych. Dodajmy do tego prace regulacyjne w wielu miejscach na Odrze, czyli koparki naruszające osady i uwalniające w ten sposób kolejne do zagospodarowania związki biogenne. Dalej mamy do czynienia z efektem domina – tak intensywny zakwit wody powoduje przetlenienie w dzień i odtlenienie wody w nocy, szkodliwe dla organizmów oddychających skrzelami. Glony, jak każdy organizm, giną i zaczynają się rozkładać, a tlen zużywany jest też do ich rozkładu – w efekcie jest go

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



* Robert Czerniawski

• profesor zwyczajny nauk ścisłych i przyrodniczych, hydrobiolog i ekolog wód. Dyrektor Instytutu Biologii Uniwersytetu Szczecińskiego. Bada występowanie organizmów kręgowych i bezkręgowych w rzekach i jeziorach w zależności od warunków środowiskowych

w wodzie coraz mniej. W wyniku tego efektu domina w dolnym odcinku Odra jest prawie zupełnie pozbawiona możliwości życiowych dla zwierząt żyjących pod wodą – nie ma tlenu, nie ma życia.

Czy ryby uciekają przed „złą wodą”? Na przykład rybak ze Stepnicy opowiadał o ogromnych ilościach okoni, które pojawiły się nagle w części Zalewu Szczecińskiego.

– Jak każdy organizm uciekają od tego, co zagraża ich życiu – np. do dopływów, do kanałów Międzyodrza, są sygnały od rybaków, że w Szczecinie także do jeziora Dąbie. Być może uciekają przed toksyną ze złotych alg, ale moim zdaniem bardziej od wody bez tlenu, bo to brak tlenu jest teraz chyba głównym czynnikiem śnięcia ryb.

Z Odry, na zachodniopomorskim odcinku, wydobyto ich do poniedziałku 22 sierpnia ponad 130 ton. Czy da się w ogóle oszacować straty?

– To bardzo trudne. Z Odry wylądowane są tylko te ryby, które wypłynęły na powierzchnię, znacznie więcej może zalegać na dnie. Trzeba jednak spróbować to oszacować, żeby wiedzieć, jaki procent ryb zginął. Można to zrobić, obliczając tzw. wydajność rybacką Odry, przyjmując np. 200 kg ryb na jeden hektar rzeki. Nie tylko rybom zaszkodziła ta katastrofa – widzimy martwe małże i ślimaki – w ogromnych ilościach. Nie widzimy natomiast takich mas skorupiaków wyższych – trzeba by zbadać, czy giną masowo, czy nie, natomiast wiele wskazuje na to, że te najmniejsze, skorupki planktonowe, przeżyły, co w swoich badaniach zaobserwował dr Łukasz Sługocki z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Słyszałem, że jest np. ryba różanka, która ikrę składa właśnie w małży. A ta najwyraźniej została wybita.

– To jeden z wielu gatunków, które zostały tym kataklizmem dotknięte. Różanka podwójnie. Jako ryba ostrakofila, składająca ikrę do jamy płaszczowej małża, nie dość, że znaczna jej liczba wyginęła, to jeszcze została pozbawiona miejsca do składania ikry, czyli dojrzałych osobników szczeżuj lub skójek. Oczywiście jest już po tarle, ale tak czy inaczej blisko jej do uzyskania statusu gatunku krytycznie zagrożonego.

Martwe ryby zalegające na dnie w nieznanym ilościach i te małże, ślimaki,



których się z rzeki nie zbiera. Na ile ich rozkład jest groźny dla ekosystemu? – Jest bardzo groźny, bo potęguje wspomniany efekt domina. Szczątki organiczne ryb, które będą rozkładały się w osadach dennych Odry, będą fermentować, co wiąże się z dużą ilością siarkowodoru i amoniaku, a te są szkodliwe dla wszystkich organizmów.

A Zalew Szczeciński i Bałtyk, do których wpływa Odra? – Przez wiele lat już w formie rozpuszczonej te martwe organizmy, a właściwie ich szczątki, dostaną się z osadów najpierw do wody Odry, dalej do zalewu i w końcu morza. To normalny proces każdej rzeki, tzw. proces spiralnego obiegu materii w rzece.

A jakieś dobre wiadomości? – Na wysokości Ślubic i powyżej jakość wody zaczyna się poprawiać, przynajmniej jeśli chodzi o stężenie tlenu. „Świeża” woda z górnego odcinka wciąż płynie, wymieniając, czy raczej rozcieńczając, tę złą. Temperatura wkrótce spadnie, więc zakwit wody będzie mniejszy. Przejrzystość i skład chemiczny wody już wkrótce się poprawią. Ale to nie znaczy, że czas na optymizm, bo wszystko zostanie uwięzione w osadach, na dnie. Na wiosnę, kiedy temperatura wody wzrośnie, rozpuszczające się osady znów, uwalniając związki biogenne do wody, wtórnie będą powodowały rozwój glonów i dalej zakwity wody i obecna sytuacja może się powtórzyć. Zależy to jednak od wielu innych warunków środowiskowych, głównie klimatycznych i hydrologicznych.

Ile czasu potrzeba, żeby pozostałości tej katastrofy zniknęły z Odry? – Związki z osadów będą się uwalniały latami aż do momentu, kiedy osady się wysycą, ale... nie wysycą się nigdy. To, po pierwsze, naturalny obszar, ekosystem, a po drugie, człowiek zaburzył środowisko rzeki i pewnie dalej będzie zaburzał, więc ta obecna sytuacja będzie się jeszcze powtarzać.

To co musimy zrobić, żeby takie sytuacje jak obecna nie powtarzały się? – Musimy przede wszystkim zmienić myślenie o rzece. Zwróćmy uwagę na to, że zarządzanie rzekami w Polsce przeniesiono do Ministerstwa Infrastruktury – rzeki są więc traktowane jak infrastruktura drogowa, a nie jak ekosystem. To droga wodna, więc prowadzi się w niej prace drogowe. Pomyślmy więc, czy chcemy, żeby Odra była rzeką czy drogą wodną? Oczywiście dzisiejszy model ma swoje korzenie w poprzednich dekadach – żaden rząd go nie

Zatruta Odra – kalendarium

• **26 lipca**
W Oławie w województwie dolnośląskim wędkarze znajdują pierwszą martwą rybę.

• **28 lipca**
Wrocławski Wojewódzki Inspektor Ochrony Środowiska po badaniu Odry niedaleko Oławy nie stwierdza braku tlenu ani martwych ryb.

• **31 lipca**
Rybacy zbierają z brzegów Odry prawie 8 ton martwych ryb.

• **1 sierpnia**
Burmistrz Oławy informuje wojewodę dolnośląskiego Jarosława Obremskiego o martwych rybach i zanieczyszczeniu.

• **3 sierpnia**
Wrocławski WIOŚ stwierdził mezytylen w śluzie Lipka i Oławie.

• **9 sierpnia**
Martwe ryby we Wrocławiu, Nowej Soli, Krośnie Odrzańskim i Cigacicach (Lubuskie), a następnego dnia docierają do Pomorza Zachodniego.

• **10 sierpnia**
Wojewoda lubuski informuje, że w lubuskiej części Odry nie stwierdzono nadmiernej ilości toksyn.

• **11 sierpnia**
WIOŚ we Wrocławiu zgłosił do prokuratury zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przeciwko środowisku.

Niemieckie gazety ostrzegają mieszkańców przed zbliżaniem się do Odry i jedzeniem ryb. Taki sam komunikat publikuje WIOŚ w Zielonej Górze.

Na dolnośląskiej części Odry wprowadzony zostaje zakaz połowów.

Niemiecka rozgłośnia Berlin-Brandenburg informuje o rtęci w próbkach z Odry.

• **12 sierpnia**
Koło Krosna Odrzańskiego strażacy wywożą z rzeki ponad 3 tony martwych ryb.

WIOŚ stwierdza, że próbki z Odry z województwa lubuskiego, zachodniopomorskiego i dolnośląskiego nie zawierają rtęci.

Mateusz Morawiecki odwołuje głównego inspektora ochrony środowiska i szefa Wód Polskich.

Władze Brandenburgii informują, że ryby mogły zginąć z powodu dużego zasolenia.

• **13 sierpnia**
Policja wyznacza 1 mln zł nagrody za pomoc w ujęciu sprawcy zanieczyszczenia.

• **14 sierpnia**
Pierwsze polsko-niemieckie spotkanie w sprawie kryzysu.

• **15 sierpnia**
Lodołamacze Wód Polskich wytwarzają fale, które mają podnieść zwłoki ryb z dna rzeki.

Pierwsze zwolnienia w firmach rybackich i turystycznych w rejonach nadodrzańskich.

Zieloni składają wniosek o odwołanie wszystkich wojewodów z rejonów dotkniętych katastrofą.

• **16 sierpnia**
Ustawiono bariery uniemożliwiające przedostanie się martwych ryb do Parku Krajobrazowego Doliny Dolnej Odry.

Minister klimatu i środowiska Anna Moskwa przedstawia trzy hipotezy dotyczące przyczyn katastrofy: 1. substancje toksyczne pochodzące z nielegalnych zrzutów; 2. naturalne warunki; 3. zrzucanie silnie zasolonych wód przemysłowych. Moskwa zapowiada budowę nowego systemu monitoringu wód.

Przedsiębiorcy z dorzecza Odry tworzą Koalicję Mostów Odrzańskich i ogłaszają blokady mostów do czasu, aż rząd wyjaśni, co spowodowało zatrucie i kto jest winny.

• **17 sierpnia**
Toksyna dociera do Parku Doliny Dolnej Odry. Bariery nie radzą sobie z napływem martwych ryb.

GIOŚ informuje, że zasolenie w najbardziej dotkniętych obszarach Odry przekracza normę 5-6 razy.

• **18 sierpnia**
Polscy i niemieccy badacze stwierdzają w próbkach złote algi - inwazyjny gatunek mikroorganizmu *Prymnesium parvum*, nigdy dotąd nienotowany w Polsce. Mogą wytwarzać toksynę zdolną do zabijania ryb i małży, ale tylko w warunkach wysokiego zasolenia wody.

Do podwyższonego zasolenia prawdopodobnie

doszło z powodu przemysłowych zrzutów i zbyt niskiego poziomu wody.

Okazało się, że GIOŚ już 3 sierpnia wiedział o wymieraniu ryb w trzech województwach, ale informacja dotarła do premiera dopiero tydzień później.

• **19 sierpnia**
Przedłużone zostają zakazy korzystania z Odry: do 22 sierpnia w województwie lubuskim i 25 sierpnia w województwie zachodniopomorskim.

Minister Moskwa zobowiązuje się do zbadania, jakie warunki umożliwiły rozwój złotych alg w Odrze.

Wojewoda dolnośląski Jarosław Obremski informuje, że nie ma sobie nic do zarzucenia, gdyż jego biuro alarmowało GIOŚ o kryzysie już 3 sierpnia. Hipotezę, że przemysłowe zrzuty wód przyczyniły się do katastrofy, nazwał „najmniej prawdopodobną”.

Donald Tusk spotyka się z mieszkańcami Krosna Odrzańskiego.

• **20 sierpnia**
Mieszkańcy Siadła Dolnego i Moczyły pod Szczecinem organizują akcję natlenienia Odry Zachodniej.

• **21 sierpnia**
Krytycznie niski poziom tlenu utrzymuje się w Odrze na Pomorzu Zachodnim. W centrum Szczecina strażacy zainstalowali pompy do natleniania rzeki.

• **22 sierpnia**
Zdjęcia satelitarne potwierdzają masowy zakwit złotych alg w Odrze.

Mnóstwo martwych ryb płynie Odrą w Szczecinie, w wodzie nie ma od kilku dni tlenu. Odór roznosi się na miejskie bulwary.

• **23 sierpnia**
Szef Wód Polskich Krzysztof Woś wyliczył, że od 2021 r. na polskich rzekach skontrolowano 17 tys. wylotów ścieków, z których około 1,4 tys. nie miało aktualnych pozwoleń.

Podczas obrad sejmowej komisji administracji i spraw wewnętrznych poseł PO Bartłomiej Sienkiewicz poinformował, że przez wiele dni Rządowe Centrum Bezpieczeństwa nie miało pojęcia o katastrofie na Odrze.

zmienił – i jeszcze w czasach PRL. Budowle hydrotechniczne, prostowanie rzek, betonowanie ich – to też nie polski wymysł – to działo się i miało fatalne skutki także w innych krajach.

Co w sprawie obecnej katastrofy ekologicznej Odry może zrobić człowiek, a co przyroda załatwi sama?

– Przyroda rzeczywiście wiele potrafi załatwić sama. Ale aby tak się stało, trzeba ograniczyć przede wszystkim przemysłowe zrzuty ścieków, nawet oczyszczonych, zmodernizować oczyszczalnie ścieków, których znaczna część jest w fatalnym stanie i ma wydajność dobrą dla czasu, kiedy zostały wybudowane, czyli 30 lat temu. Więc kiedy takie oczyszczalnie dostają więcej ścieków i nie potrafią ich oczyścić, spuszczają do rzeki ich nadmiar. Inny problem to zbiorniki retencyjne lub spiętrzenia powodowane przez progi wodne, w których rozwijają się glony. Nie można mówić, że budowa zbiorników, piętrzeń spowoduje większą ilość wody w rzece, to manipulacja. Zwiększy tylko głębokość na piętrzonych odcinkach, jednak nie zwiększy przepływu rzeki, podstawowej jednostki, która świadczy o objętości wody pokonującej w określonym czasie dany odcinek rzeki. Piętrzenia powodują wzmożenie parowania wody i pogorszenie warunków sanitarnych, zmniejszając naturalną bioróżnorodność rzeki. Zmieniają wodę płynącą w wodę stojącą. To niepodważalne fakty. Trzeba nie tylko zaprzestać regulowania Odry, ale jednocześnie należy wprowadzić inne działania w korycie rzeki – gdzieś zawęzić, gdzieś poszerzyć, pogłębić, wypłycić, włączyć starorzecza, aby zdolność samooczyszczania się rzeki była większa. Rzeka musi być zróżnicowana.

Rzeka szeroka i płytka jest przezroczysta, są w niej rośliny, które biorą udział w oczyszczaniu, absorbując jeszcze związki biogenne. Rzeka wąska i głęboka wygląda zupełnie odwrotnie. Samooczyszczanie rzeki polega na przechwytywaniu dryfującej materii przez naturalne elementy rzeki i odkładanie jej na brzegu, w przegłębieniach. Jednak aby do tego doszło, rzeka nie może być wyprostowana i pozbawiona naturalnych dla niej elementów. Na przykład zachodniopomorska Drawa w Drawieńskim Parku Narodowym, gdzie nie wolno wykonywać jakichkolwiek prac regulujących, gdzie nie usuwa się nawet zwalonych do koryta rzeki drzew, jest z tych właśnie powodów czysta i ma wysoką bioróżnorodność. Trzeba też odtwarzać lasy nad rzekami. Wycinając je, spowodowaliśmy obniżenie poziomu wód gruntowych, które przede wszystkim zasilają rzeki. Elementem gospodarki wodnej powinno być więc zalesianie terenów przy rzekach. W niektórych nadleśnictwach to już się dzieje i tam wody wyglądają całkiem dobrze. Należy też zaprzestać osuszać grunty. Nie ma jednego elementu, który by naprawił Odrę. To musi być bardzo wiele zmian, diametralnych zmian.

Kiedy będzie można myśleć o zarybieniu Odry?

– Raczej nieprędko, ale to zależy od kilku czynników. Najpierw musimy mieć pewność, że ryba ma warunki do życia, nie tylko warunki fizykochemiczne wody, ale jeszcze pokarm. Zarybienia trzeba dopasować do możliwości życiowych, preferencji poszczególnych gatunków. Obserwować zmiany rzeki w czasie. To nie będzie łatwy zabieg. Uważam, że jeszcze długo nie będzie można w Odrze łowić drapieżników, przynajmniej bez ograniczeń, bez limitów. Najważniejsze jednak to zmiana myślenia o rzece, a później zarządzanie nią, w tym zarybianie. Myśląc o kompromisie między gospodarką a przyrodą, trzeba też pamiętać, że przyroda nie idzie na kompromis. Kompromis zawierany jest między zwolnikami a przeciwnikami inwestycji, przyroda pozbawiona jest tutaj głosu. ●

Napad Rosji na Ukrainę w ostatnich dniach lutego – wydarzenie zmieniające cały porządek światowy – skutkowało w Polsce przybyciem milionów uchodźców wojennych i drożyną. Przy okazji odnowił ciekawą dyskusję na temat używania przyimków „na” i „w” w odniesieniu do państw graniczących z Polską. Przyimek „na” ma uwłaczać godności ich mieszkańców, twierdzą niektórzy z przekonaniem i zastępują go przyimkiem „w”, mającym podkreślać państwową niezawisłość. Kto szanuje Ukraińców, by pozostać w tym miejscu przy najczęściej przywoływanym dziś przykładzie, nie będzie mówił „na Ukrainie”, lecz „w Ukrainie”.

ORTOGRAFIA RĘKOPISU

Wbrew wielu opiniom debata ta nie jest nowa, a samo używanie przyimków „na” i „w” nigdy nie było w polszczyźnie konsekwentne w podobnych kontekstach. Przywołajmy kilka przykładów z lat zaraz po 1989 roku, okresu kluczowego dla kształtowania się polskiej nowoczesności, także w podejściu do języka. Wytrawny publicysta „Gazety Wyborczej” Andrzej Osęka posługiwał się nieprzerwanie przyimkiem „w”. Podobnie bibliotekoznawca prof. Ra-

Wojtkowski w pierwszej monografii dziejów PTPN. Książd Kozierowski i inni oponenci ujednolicania polszczyzny mieli po swojej stronie w Towarzystwie długą tradycję. Już Tytus Działyński, jeden z jego wielkich ojców założycieli, żądał pełnej swobody dla autorów. Nie mniej zasłużony pierwszy główny redaktor wydawnictwa PTPN Władysław Niegolewski, bardziej praktyk niż teoretyk, szukał formuły kompromisowej. Zasady pisowni miała ustalić specjalna międzywydziałowa komisja, jednak „pisarze” otrzymaliby prawo odstępstwa na życzenie. Koniec końców uchwala Towarzystwa podjęta w 1858 roku zobowiązała wydawnictwo do stosowania „ortografii rękopisu”.

Półtora wieku później niemal wszystko w zakresie podejścia do polszczyzny i pracy redakcyjnej się zmieniło (powiedziałbym, że wahadło odchyliło się zdecydowanie za bardzo w przeciwną stronę), ale w sam raz w kwestii użycia przyimków „na” i „w” względem państw graniczących z Polską od wschodu, bo do nich w praktyce sprowadza się ta kontrowersja, Rada Języka Polskiego pozostaje otwarta. Dopuszcza obie formy, preferuje raczej uważaną za tradycyjną postać „na”, lecz nie walczy z przyimkiem „w”, wiedząc, że ryzyko przegranej byłoby bardzo poważne. Od lat obserwujemy wśród młodzieży wyraźną tendencję do zmiany „na”, stosowanego w odniesieniu do znaczącej liczby państw, na używany częściej przyimek „w”. Proces zanikania form rzadszych, mniej typowych, jest dobrze znany każdemu językowi. Dotyczy nie

»na« łączy się z »poczuciem posiadania«, to nasz domniemany i grubo spóźniony, bo XIX-wieczny, imperializm językowy nieźle by wybujał ponad Jagiellońskie zapędy”.

Kontrargumenty Rostworowskiego mijają się w sposób oczywisty z rzeczywistością. W podanych przez niego przykładach chodzi albo o wyspy, albo o krainy geograficzne, względem których język polski stosuje niemal zawsze przyimek „na”, niezależnie od ich statusu prawnopolitycznego: na Wolinie, na Gotlandii, na Madagaskarze oraz na Polesiu, na Alasce, na Saharze. Ciekawym przykładem pozostaje przywołana przez Rostworowskiego Syberia, którą udomowiono przyimkiem „na” zapewne dopiero po fali zsyłek. Wcześniej pisać miano częściej, choć niekonsekwentnie – w Syberii, jak gdyby stanowiła organizm niezależny. Dlaczego – nie jestem w stanie powiedzieć. Zjawiska językowe mają własną dynamikę i nie wszystkie da się logicznie wytłumaczyć.

Generalnej zasadzie, w myśl której przyimek „na” w połączeniu z nazwami państw łączy się z poczuciem bliskości, nie przeczy nawet zestawienie „na Węgrzech”, ponieważ królestwo węgierskie należało długi czas do polskolitewskich Jagiellonów. Pod ich panowaniem znajdowała się też węgierska wówczas Słowacja – stąd zapewne „na Słowacji”, aczkolwiek w jej wypadku połączenie „w Słowacji” zdobyło sobie nieomal równorzędną pozycję. Z wahaniami form językowych mamy do czynienia także w odniesieniu do węgierskiego naonczas Siedmiogrodu, skąd po-

GODNOŚĆ ZAMKNIĘTA W PRZYIMKU

W Litwie czy na Litwie, w Ukrainie czy na Ukrainie?
To opowieść o wspólnocie historycznych losów i nacjonalizmie językowym

Jan M. Piskorski*

dosław Cybulski. Z kolei wybitny dziennikarz, eseista i wydawca Ryszard Wasita, jak najbardziej odległy od pogardzania jakimkolwiek narodem, skłaniał się w podobnych kontekstach ku przyimkowi „na”. Nie inaczej niż zasłużony dla kultury polskiej humanista i działacz w jednej osobie Bohdan Cywiński, jak zaświadcza jego bogata publicystyka na łamach „Rzeczpospolitej”. W tym samym czasie pochodząca z Wilna pracowniczka warszawskich bibliotek i Uniwersytetu Warszawskiego dr Aleksandra Niemczykowa używa w jednym krótkim tekście w „Plusie Minusie” (21-22.02.1998) naprzemiennie obu przyimków. Nie robi bynajmniej błędów, może się powołać na samego Adama Mickiewicza, który również stosuje je zamiennie, idąc śladem wcześniejszych praktyk językowych.

Podobnie dzieje się przez cały wiek XIX i jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach stulecia XX. Redaktorów w dzisiejszym tego słowa znaczeniu nie było i jak kto pisał, tak szło do druku, dzięki czemu możemy przyglądać się żywemu językowi sprzed wieków. Co więcej, sama myśl o redagowaniu – czytaj: poprawianiu – tekstów dostarczanych do wydawnictw budziła mieszane uczucia, a nawet spory międzydzielnicowe, na przykład między bardziej skłoną do ujednolicenia Polską Akademią Umiejętności (PAU) w Krakowie a Poznańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk (PTPN), w którym obawiano się językowej urawniłowki i związanej z nią utraty regionalnych i indywidualnych cech naszej mowy. W opozycji do idei oczyszczania języka, jak wówczas mówiono, znalazł się między innymi wybitny językoznawca ks. Stanisław Kozierowski, niebawem profesor Uniwersytetu Poznańskiego i długoletni główny redaktor wydawnictwa PTPN. Powstała w 1917 roku odpowiednia Komisja Językowa w ramach Wydziału Historyczno-Literackiego została rok później rozwiązana, a jej członków wezwano do przeniesienia się do Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów. „Był to afront niebawem wręcz w dziejach Towarzystwa” – stwierdzał Andrzej

tylko przyimków, ale i słowotwórstwa, w tym zapożyczeń. Pamiętam, jak jedna z pierwszych pizzerii na poznańskich Ratajach nosiła dumnie nazwę „pizzernia”, bez żadnych dodatków, nawiązując tym samym do pospolitych cukierni i piekarni. Dopasowywanie odbywa się poza polityczną świadomością i samoczynnie. Skoro w odniesieniu do większości państw używamy przyimka „w”, następuje jego rozszerzenie na nieliczne kraje, które łączymy tradycyjnie z przyimkiem „na”. Tu i ówdzie pojawia się nawet – zwłaszcza w mediach, które konsekwentnie wprowadziły po 24 lutego przyimek „w” – „w pograniczu”, zamiast „na pograniczu”. Świetny przykład dopasowania mechanicznego, który tylko omyłkowego, a może wynikającego z pośpiechu i braku głębszej refleksji dotyczącej sedna sprawy.

SANDAUER MÓWI „W”, ROSTWOROWSKI „NA”

Jeśli się nie mylę, do pierwszego poważnego starcia wokół używania przyimków „na” oraz „w” względem krain i krajów doszło w 1983 roku pomiędzy Arturem Sandauerem na łamach „Gazety Krakowskiej” a Emanuelem Rostworowskim w „Tygodniku Powszechnym”. Według Sandauera, wywodzącego się z Sambora krytyka literackiego, eseisty i tłumacza, związanego po wojnie z Uniwersyteciem Warszawskim, przyimka „na” używają Polacy na ogół w odniesieniu do ziem uważanych za własne, które stanowią albo niegdyś stanowiły część Rzeczypospolitej. Stąd piszemy na Litwie, na Rusi, na Ukrainie, ale w Niemczech, w Rosji, w Czechach. Sandauer, trzeba podkreślić, nawiązał do stanowiska wybitnego historyka warszawskiego Tadeusza Łepkowskiego. Tymczasem Rostworowski, krakowski historyk XVIII stulecia, przywołał w polemice przykłady w rodzaju „na Sycylii, na Kubie, na Antarktydzie, na Syberii” i dodał z wyczulwalną nutą drwiny, że „jeśli forma

chodził król Stefan Batory. Częstsze „w” mocuje się w tym wypadku do dzisiaj z rzadszym „na”, które dominowało, jak się zdaje, przynajmniej po początki XX wieku. Przez pewien czas należały do Rzeczypospolitej Obojga Narodów również Kurlandia i Inflanty, późniejsza Łotwa, i dlatego mówimy regularnie „na Łotwie”, podczas gdy w odniesieniu do Estonii wygrywa przyimek „w”, jako że była ona związana z państwem polskolitewskim stosunkowo krótko i tylko częścią południową. Okolicami Dorpatu, obecnego Tartu.

Ciekawą prawidłowość zauważył językoznawca prof. Mirosław Bańko. Nazwy krain i krajów związane trwale z przyimkiem „na”, jeśli uzupełnić je przymiotnikiem, zaczynają traktować obydwa interesujące nas przyimki niejako obocznie. Piszemy więc „na Węgrzech”, ale już raczej „we wschodnich Węgrzech”. Zwrot „na Syberii” przejdzie nierzadko w wyrażenie „w zachodniej Syberii”.

Podsumowując, przyimek „na” użyty w polszczyźnie w kontekście jakiegoś kraju czy krainy historycznej wiąże się najczęściej z poczuciem bliskości. Co do tego Tadeusz Łepkowski i Artur Sandauer mieli rację. Nie zawsze natomiast świadomość bliskości oznacza poczucie własności czy tym bardziej pretensje terytorialne. Dobrze to pokazuje stosowanie przyimka „na” wobec krain związanych historycznie z państwem czeskim, aczkolwiek już nie w odniesieniu do samych Czech. Z jakichś nieznanых powodów mówimy „na Łużykach” i „na Morawach”, stanowiących odrębne margrabstwa, ale już „w Czechach”, mimo że na czeskim tronie zasiadali Jagiellonowie i mimo że polszczyzna preferuje przyimek „w” wobec terytoriów cieszących się w przeszłości niezależnością lub dużą autonomią: w Bawarii, w Tyrolu, w Lombardii, a nawet – o dziwo – w Saksonii, choć tutaj aż by się prosiło o przyimek „na”. Wszak za sprawą Wettinów Litwę, Polskę i Saksonię łączyła unia personalna. Przyimek „na” nie musi być jednak wraz z nacjonalizmem językowym, wynikiem przekonania

o przewadze nad innymi narodami. W tym punkcie słuszość pozostaje po stronie Emanuela Rostworowskiego, nawet jeśli przywołał błędne przykłady i niepotrzebnie zadzwili z rzekomo spóźnionego polskiego „imperializmu językowego”. Megalomania narodowa, jak wiemy przynajmniej od badań Jana Stanisława Bystronia, znajduje najlepszą pożywkę właśnie u narodów z poczuciem doznanej krzywdy, jak u Żydów po zburzeniu Jerozolimy, Polaków pod zaborami czy Litwinów po odbiciu im Wilna w 1920 roku.

BRAT JEDEN Z RUSI WASZ

W odniesieniu do ziem staropolskich czy też polskich w sensie historycznym polszczyzna używa przyimka „w” naprawdę konsekwentnie w zasadzie tylko wobec Wielkopolski i Małopolski, dwóch piastowskich kolebek państwa polskiego. Wszystkie ziemie włączone do Polski później, czasami niewiele później, obsługiwane są już przez przyimek „na”: na Śląsku, na Pomorzu, na Kujawach, na Mazowszu. I potem odpowiednio: na Litwie, na Rusi, na Ukrainie. Przyimek „na” nie jest w tym wypadku wyrazem lekceważenia, raczej braterstwa, poczucia głębokiego związku w ramach kształtującej się od wieków wielkiej wspólnoty wyobrażonej. „Ktoś ty jest?” – pyta siebie w XVI wieku frazją włożoną w usta posłów na sejm Rzeczypospolitej wybitny publicysta kontrreformacyjny spod Przemysła ks. Stanisław Orzechowski. Sam przedstawia się jako Rusin – katolik, który, jak wiemy, na sposób ortodoksów złamał celibat, z czego tłumaczył się (dzięki Bogu, bo nikt poza nim nie przemysliwał w tym czasie więcej o polskiej tożsamości) do końca życia. I odpowiada: „Brat jeden z Rusi wasz”. Oczywiście ksiądz Orzechowski odwołuje się „hardo” – z poczuciem polsko-szlacheckiej megalomanii – do wspólnoty braci szlacheckiej, lecz szlachta bojarsko-ruskiego pochodzenia mieściła się w zbiorze szlachty polskiej. Tym bardziej mieściła się w nim szlachta pochodzenia litewsko-białoruskiego. Cała szlachta, jakiegokolwiek by była pochodzenia, miała do spełnienia misję dziejową – krzewienie idei wolności.

Polacy, zauważył Norman Davies, nie wynaleźli zbiorego słowa typu „Brytyjczycy”, określającego wszystkich poddanych króla, niezależnie od tego, czy byli Anglikami, Irlandczykami, Szkotami, czy Walijszymi. Dlatego po dziś dzień mają kłopot ze zrozumieniem znaczenia słów „Polska” i „Polacy” w odniesieniu do realiów Rzeczypospolitej wielonarodowej, myląc Polskę polityczną z Polską etniczną.

Trudno mieć pretensje do księdza Orzechowskiego, że nie zajął się chłopami, stanowiącymi przytłaczającą większość mieszkańców kraju. Prawie nikt się wtedy nimi nie zajmował. Ich faktyczna niewola mało na kim robiła wrażenie, ich język niewiele obchodził. Ale takie to były czasy, przecież nie tylko u nas. Naszym problemem pozostaje, że utrwaliłyśmy tę strukturę społeczną na stulecia, nie po-

kutuje, pojawia się ważna konstatacja, że należy brać pod uwagę opinię samych sąsiadów. W zasadzie można by się z tym postulatem zgodzić, gdybyśmy przeprowadzili na terenach dawnej Rzeczypospolitej powszechną debatę nad znaczeniem przyimka „na” w polszczyźnie, co samo w sobie zdaje się mało prawdopodobne, i dopiero wtedy zapytali, co sądzą o tym sąsiedzi. W rodzinie, nawet skłóconej, mawia się do siebie z zasady inaczej, mniej oficjalnie, i świadczy to o bliskości, a nawet zażyłości, aczkolwiek nie zawsze o szacunku. Przed domem, z którego wyszliśmy, nie da się w zasadzie uciec – pouczał nieprzerwanie w swoich powieściach Sándor Márai. W naszej „rodzinnej Europie” jest podobnie. Do jednych zwracamy się bardziej poufale, do innych z dystansem, jeszcze innych, co najgorsze, bagatelizujemy – „olewamy” w potocznym i dośladnym, lecz trafiającym w samo sedno określeniu Piotra Lachmanna. Bez odwołania się, niechby najbardziej krytycznego, do rodziny zamieszkującej dawną Rzeczypospolitą nie zrozumiemy nic z naszej części Europy, a może nawet Europy jako całości, bo i ona jest rodziną, a – jak wiadomo – nic gorszego niż konflikty bratobójcze.

Czy nie lepiej związek ukształtowany historycznie pielęgnować, niż się go wypierać nawet na gruncie języka? Jak pokazuje obecne zagrożenie rosyjskie, wciąż więcej nas łączy, niż dzieli. Żadne z tutejszych państw w pojedynkę nie wydobędzie się ze strefy cienia na trudnym od XVIII wieku pograniczu niemiecko-rosyjskim. Razem możemy nieporównywalnie więcej, razem moglibyśmy zapewne nie dopuścić do konfliktu, z jakim mamy obecnie do czynienia na pograniczu rosyjsko-ukraińskim. Czy nie brakuje w Polsce innych pól, na których powinniśmy poprawić stosunki z sąsiadami niż problematyczne interwencje w sferze języka? Myślę głównie o skandalicznej Karcie Polaka, arcyprzykładzie polityki dzielenia zamiast spajania.

NACJONALIŚCI NIE ZAJMUJĄ SIĘ PRZYIMKAMI

Chcę być dobrze zrozumiany. Nie walczę z tymi, którzy – jak niektóre media opiniotwórcze – mówią „w Litwie” czy „w Ukrainie”. Tym bardziej nie będę kruszył kopii przeciw młodym ludziom ani motywowanym bieżącą sytuacją polityczną trendom językowym. Raczej myślę o szerszym uświadczeniu sobie, co tracimy. Błędne przesłanki historyczne prowadzą na bezdroża raczej niż ku przyjaźni. Ją trzeba oprzeć na pamięci, choćby tak odmiennej jak polska i ukraińska. Język rozwija się własnymi drogami, jest poniekąd nieobliczalny. Tym bardziej nie należy wkraczać w tę delikatną sferę odgórnie i bez odpowiedniej wiedzy. W kwestii przyimków „na” i „w” preferowałbym podejście ostrożniejsze, zdając się w tej sprawie na samych autorów. Wiem, że nie jest to droga jedyna, ale w odniesieniu do tej konkretnej sprawy na pewno najlepsza. Nie dezawuuje nikogo, pozostawiając rozstrzygnięcie językowi i czasowi. Wielkie wydawnictwa anglosaskie narzuca-

NAJKRÓCEJ

Jonasz

Ryby i ludzie

Nie, ja nie narzekam na bezduszość ludzką dzisiejszą: tony ryb... Jeżeli, to na moją własną, jeżeli jest to rachunek sumienia, to mój własny.

Czy bowiem przyszło mi do głowy, serca raczej, że mamy do czynienia z tragedią. Ryba, dusząc się, cierpi. Mniej niż duszący się homo sapiens? Gdyby te zwierzęta umiały jakoś piszczeć, rozmawialibyśmy także i o tym. Ale „ryby i dzieci głosu nie mają”.

Zanim wysłałem ów tekst do redakcji, usłyszałem, chyba w Radiu TOK FM, że woda też ma swoje prawa. W każdym razie jednak nie cierpi. ●

dz”, będą mieli i tak sto innych powodów do rozgoryczenia: sprawę zdrajcy Jagielly, problem tchórzostwa Witolda pod Grunwaldem, kwestię wileńskiej AK, obrazek „niewłaściwej” Matki Boskiej zauważony w „niewłaściwym” domu (na przykład Matki Boskiej Ostrobramskiej w Polsce albo Matki Boskiej Częstochowskiej w Niemczech, co zdaniem niektórych ma świadczyć o rewanżyzmie) czy wreszcie używanie polskiej nazwy Wilna, której dźwięk wywoływał jeszcze niedawno u wielu Litwinów objawy „alergii”. Notabene objawy podobne do tych, jakie były udziałem niejednego z nas, gdy słyszał niemieckie nazwy Szczecina czy Wrocławia. Mój ojciec, autor przewodników z pogranicza polsko-niemieckiego, już na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, gdy pojawili się u nas masowo niemieccy turyści, zadziwił mnie niespodziewanym stwierdzeniem, że różnorodność nazewnictwa świadczy tylko o sławie, niczym więcej. ●



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA GAZETA

*Jan M. Piskorski

• jest profesorem studiów porównawczych na Uniwersytecie Szczecińskim. Był wiele lat głównym redaktorem wydawnictw PTPN, członkiem Rady Naukowej Instytutu Historycznego na litewskim Uniwersytecie Kłajpedzkim, wykładał też w Canadian Institute of Ukrainian Studies na Uniwersytecie w Edmonton. Niniejszy tekst stanowi fragment wstępu do jego najnowszej książki pt. „Bitwy o przeszłość. Nauka, polityka, media, edukacja”, która ukaże się jesienią w wydawnictwie Bellona

na

trafić się sami unowocześnić. Do modernizacji potrzeba było upodmiotowienia – „uobywatelnienia” w języku Jochima Lelewela – warstwy mieszczańskiej i chłopskiej, co zrobili za nas zaborcy.

PRZED DOMEM, Z KTÓREGO WYSZLIŚMY, NIE DA SIĘ W ZASADZIE UCIEC

Wśród argumentów na rzecz konsekwentnego odejścia od przyimka „na” względem państw graniczących z nami od wschodu, bo tylko o nich się w tym kontekście dys-

ją nierzadko autorom określone sposoby pisania spornych słów czy zwrotów dotyczących najczęściej nazewnictwa, odniesień religijnych, ale i takich „drobiazgów” jak pisownia słowa „ojczyzna”. Mimo globalizującej się angielszczyzny Stany Zjednoczone postawią na małą literę, podczas gdy większość brytyjskich oficyn wydawniczych użyje litery dużej. Wydawnictwa naukowe pozostawiają wybór samym autorom, zwłaszcza jeśli świadomie preferują jeden z wariantów.

Przeciętny Białorusin, Litwin czy Ukrainiec oceniać nas będzie nie po takim czy innym użyciu przyimków, nawet jeśli megalomańsko założymy, że się o zmianie dowie. Tamtejsi nacjonaliści, nie inaczej niż ich polscy „kole-

NASZA EUROPA

MOŁDAWIA

NA SKRAJU IMPERIÓW

Przed Maią Sandu krajem najczęściej rządzili faceci z kwadratową szczęką
w źle dopasowanych garniturach



Anne Applebaum

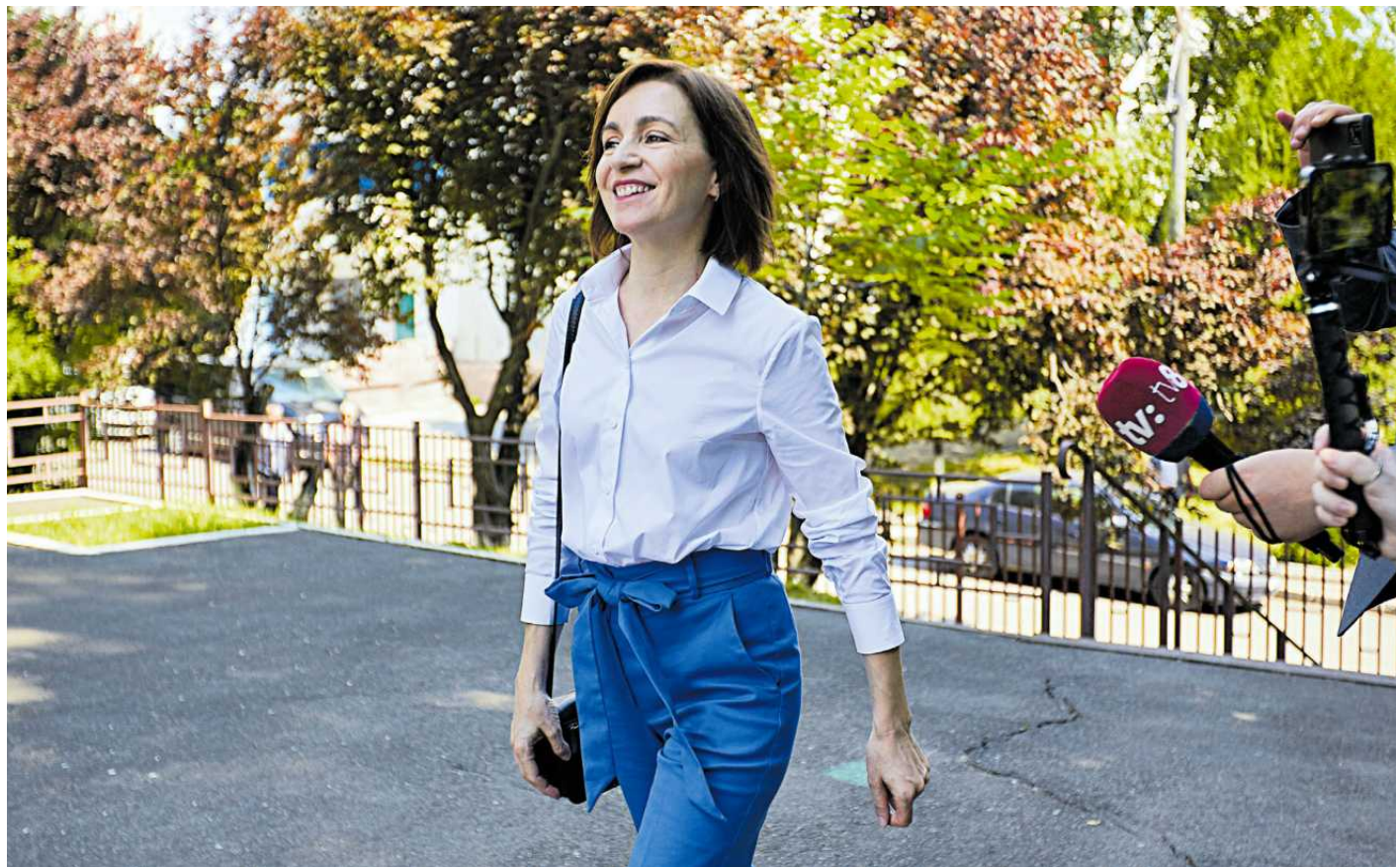
The Atlantic

Przez 30 lat, odkąd Mołdawia odzyskała niepodległość, Rosja wydała miliardy, może biliony rubli, by unicestwić ten mały, wciśnięty między Rumunię a Ukrainę kraj. W różnych okresach, zmieniając taktykę, rosyjskie służby specjalne wspólnie tworzyły i wspierały prorosyjskie partie polityczne, prorosyjskie media i prorosyjskie kampanie w moldawskich mediach społecznościowych. Rosyjscy „przedsiębiorcy” budowali także w Mołdawii sieć korupcyjną, której zwieńczeniem był imponujący system znany jako „moldawska pralnia samoobsługowa”. Umożliwił on grupie moldawskich banków wspieranych przez kilku ważnych miejscowych polityków wypranie w latach 2010-14 ponad 20 mld dol. trefnych rosyjskich pieniędzy.

NADDNIESTRZA
NIE UZNAJE NAWET ROSJA

Cokolwiek wymyśla Rosja dla postradzieckiego świata – korupcja, wroga propaganda czy jak teraz, o zgrozo, inwazja – jedną z pierwszych ofiar jest zwykle Mołdawia. Już w latach 90. Rosja pomogła separatystom oderwać kawałek kraju – w tym drugie co do wielkości miasto, Tyraspol, sporo zakładów przemysłowych i większość dawnego szlaku ze stolicy do ukraińskiego portu w Odessie – przez sprowokowanie starć zbrojnych i pomoc w proklamowaniu Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej nieuznawanej przez żadne państwo członkowskie ONZ, w tym samą Rosję.

Naddniestrze to pierwsze z kilku w większości nieuznawanych państewek powstałych w republikach radzieckich – potem doszły Osetia Południowa i Abchazja w Gruzji oraz „republiki ludowe” Doniecka i Ługańska w Ukrainie. Terytoria te, zaopatrywane i wspierane przez rosyjskie wojsko, służyły destabilizacji niepodległych krajów, które mogłyby wyrwać się z orbity Moskwy. Oddziały rosyjskie atakujące obecnie Ukrainę uderzyły m.in. z Doniecka i Ługańska. Pierwszym „prezydentem” Naddniestrza był były radziecki dygnitarz wątpliwej proweniencji, którego poprzednim obszarem zainteresowania były Kuba i Nikaragua, tak mi w każdym razie powie-



• Maia Sandu sprawuje urząd prezydentki Mołdawii od 2020 roku. W czerwcu odniosła swój największy sukces, gdy Mołdawia wraz z Ukrainą uzyskała status kraju kandydującego do Unii Europejskiej FOT. PIERRE CROM/GETTY IMAGES

dział w 1991 roku. Naddniestrze, w którym nadal stacjonuje około 1,5 tys. rosyjskich żołnierzy, stało się odtąd siedliskiem kontrabandy i przemytu.

TYGIEL NARODÓW
NA PERYFERII

Była to zawsze nieuczciwa rywalizacja. Mołdawia liczy ledwie 2,6 mln mieszkańców i nie ma armii z prawdziwego zdarzenia. Jej granice odpowiadają z grubsza terytorium niegdyś znanemu jako Besarabia, skrawek ziemi, którym przez ostatnie parę set lat wymieniali się strony radziecko-rosyjska i rumuńska.

Większość mieszkańców mówi po rumuńsku, ale jest też duża, blisko 25-proc., rosyjskojęzyczna mniejszość, która czerpie często wiedzę z obfitego strumienia antyzachodniej i antyeuropejskiej propagandy, dostępnej od ręki w rosyjskiej telewizji państwowej. Gospodarka jest jedną z najsłabszych w Europie. Stolica Chişinău – niektórzy wolą starszą pisownię Kiszyniów – była od dawna peryferiami państw i imperiów, i tak się nadal czuje. W zaułkach zalega zakurzona senna prowincjonalnego miasteczka.

Ale letnia cisza też bywa zwodnicza. Mimo rosyjskich pralni pieniędzy, rosyjskiej propagandy i wytrwałości rosyjskich służb specjalnych, a także łatwości, z jaką Mołdawianie mogą dostać rumuńskie paszporty i zwyczajnie wyjechać, i mimo niedostatku narodowej tradycji walki zbrojnej, jaką mają Ukraińcy i Gruzini – wielu Mołdawian walczyło dzielnie o to, by ich kraj stał się europejską demokracją. I nikt chyba nie walczył dzielniej niż prezydentka Maia Sandu.

PREZYDENTKA
NIE Z TEJ ZIEMI

Spotkałam ją niedawno w pałacu prezydenckim, zwalistym gmaszysku z lat 80., dawniej siedzibie Rady Najwyższej Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, do którego nie za bardzo pasowała. Przed nią, za władzy radzieckiej i potem, przywódcami narodu byli najczęściej faceci z kwadratową szczęką w źle dopasowanych szarych garniturach. Sandu nie miała kwadratowej szczęki ani nie była facetem, nosiła też dobrze skrojoną suknię w kwiaty. Jako absolwentka Harvardu zatrudniona swego czasu w Banku Światowym mówi świetnie po angielsku, ale też w ojczystym rumuńskim i po rosyjsku. Rumuńskim i rosyjskim posłużyła się w przemówieniu inauguracyjnym, podobnie jak językami mniejszości – ukraińskim, bułgarskim i używanym na południu gagauskim z rodziny języków tureckich.

Sandu jest obecna w mołdawskiej polityce od lat i ostatecznie założyła własną partię, podkreślając, że nie polegała na biznesowych układach. Jej ugrupowanie, jak mówi, oparło się na małych darowiznach i wolontariacie. Urząd objęła w grudniu 2020 roku po bezapelacyjnym zwycięstwie, obiecując „uczciwość i przejrzystość”. Wezwała swój rząd do „wspierania rządów prawa, reform demokratycznych i sprawnej gospodarki”. Jak mi powiedziała, chce odnieść sukces nie tylko polityczny, ale też ekonomiczny, udowodnić, że „demokracji nie można winić za korupcję i ubóstwo”.

– To moje największe marzenie – mówi. – Móc skupić się na problemach kraju, bez żadnych komplikacji wokół nas i w regionie.

ILE LEI
ZA METR GAZU?

Niestety, komplikacje wokół i w regionie są. Prawda jest taka, że poza samą Ukrainą krajem najbardziej dotkniętym rosyjską inwazją jest właśnie Mołdawia. „Dotknięty” to chyba nie najlepsze słowo – lepiej powiedzieć, że wojna Rosji z Ukrainą zaskoczyła, zdumiała, wstrząsnęła Mołdawią.

Na kraj spadły oczywiste problemy – napływający przez granicę uchodźcy, zerwane biznesowe i handlowe ścieżki. Co więcej, Mołdawię, która nie jest w NATO, można łatwo uwikłać w bezpośredni konflikt. Rosjanie stacjonujący w Naddniestrzu mogą nagle uznać, że są atakowani z Ukrainy, i zdecydować się na otwarcie drugiego frontu – do Odessy stamtąd ledwie parę godzin. W kwietniu w Tyraspolu odnotowano serię eksplozji. Prezydent Naddniestrza bez wahania obwiniał Ukrainę, która wyjaśniła, że były to operacje pod fałszywą flagą, pretekst do włączenia Naddniestrza do działań wojennych.

Nic z tego nie wyszło, co więcej, są inne groźne scenariusze, na przykład organizowane przez Rosję powstanie obliczone na wykorzystanie niezadowolonych do pozbycia się młodej, energicznej i proeuropejskiej prezydentki i zastąpienia jej kolejnym starcem z moskiewskiego nadania, przydatnym dla militarnych celów Moskwy. Inny scenariusz to odcięcie Mołdawii gazu w oczekiwaniu na społeczne niepokoje.

Jak powiedziała mi Sandu, jej kraj może kupować gaz zewsząd, „ale bardzo trudno o dostawców teraz, kiedy rynek oszalał i wszyscy szukają gazu”. Problemem jest cena, nie dostępność. Inny moł-

NASZA EUROPA

MADE IN CHINA

Złość się wypala

Czy zatruta Odra zmieni wynik wyborów? Porzućcie nadzieje!

W PRZEDSIONKU EUROPY

Sandu nie popada w te apokaliptyczne klimaty, ale przypomina, że partie prorosyjskie obiecują po dojściu do władzy niższe ceny energii. Wszyscy wiedzą, że możliwy jest szantaż – Rosjanie przetrzymają nas, póki gospodarka kraju nie upadnie, ludzie nie zamrzną w zimowe mrozy i rząd nie upadnie. Sondaże dowodzą, że ceny, zwłaszcza energii, mocno uderzyły w Sandu i jej partię.

Jak na ironię, powinien to być moment jej wielkiego triumfu. Właśnie zrealizowała jedną ze swoich najważniejszych obietnic wyborczych – jej wielkie życiowe marzenie, które bardzo długo wydawało się nierealne. W czerwcu Ukraina i Mołdawia uzyskały status krajów kandydujących do Unii Europejskiej. Gdyby nie wojna mniejsza Mołdawia miałaby szanse na szybsze członkostwo niż Ukraina. Zdaniem Sandu Mołdawianie rozumieją, że nie będzie to jutro, że „muszą ciężko pracować”, ale wierzą, że w końcu wejdą do Europy. – To przede wszystkim daje nam nadzieję.

Ale oprócz podboju wschodniej Ukrainy głównym celem rosyjskiej wojny jest też zniweczenie nadziei. Władimir Putin walczy nie tylko o odtworzenie Związku Radzieckiego, chce także podkopać wiarę w możliwość demokratycznych przemian, w szansę na ucieczkę od samodzierżawia i lepszy los. Chce, żeby nie tylko Ukraińcy porzucili rojenia o normalności, stabilizacji i wejściu do Europy. Chce, żeby porzucili je także Mołdawianie, Gruzini, Kazachowie, Bałtowie i wielu innych.

LOS MOŁDAWII DECYDUJE SIĘ W UKRAINIE

A przede wszystkim chce, żeby Rosjanie porzucili swoje marzenia, zaakceptowali okrucieństwo i kleptokrację jako swoją normalność. Zamierza rzucić dożgonnie i nie chce, żeby ktokolwiek rzucił mu wyzwanie. Najważniejsza wyborcza obietnica Sandu – pokazać Mołdawianom, że demokracja to dobre rządy, dobre wyniki gospodarcze i wyższy standard życia – jest tym właśnie, co Putin chce im odebrać.

Zdaniem Sandu to ideologiczne wyzwanie dla regionu jest oczywistym celem tej wojny. Robi więc wszystko, by mu przeciwdziałać. Wiedząc, że stawką jest jej prezydentura, poprosiła Unię Europejską o pomoc w zakupach gazu, choć wiele innych większych krajów o dłuższym unijnym stażu, zwłaszcza Niemcy i Włochy, może mieć zimą podobne problemy. Ale najlepsze, co mogą zrobić Amerykanie, żeby jej pomóc i pomóc Mołdawii, to pójść drogą, co do której nadal nie jesteśmy całkiem przekonani – sprawić, by Ukraina wygrała tę wojnę, by Rosjanie się wycofali, by Kreml przemyślał swoją bandycką imperialną filozofię, którą od tak dawna straszy sąsiadów. ●

Tłum. Sergiusz Kowalski

Tytuł, lead i śródtytuły od redakcji.
© 2021/2022 The Atlantic Media Co., as first published in The Atlantic. All rights reserved.
Distributed by Tribune Content Agency



Robert Stefanicki

Z badań nad wpływem katastrof naturalnych na nastroje społeczne wynika, że jest on lokalny, krótkotrwały i uzależniony od przekazu medialnego.

W listopadzie 1970 r. cyklon „Bhola” spowodował śmierć pół miliona mieszkańców Pakistanu Wschodniego. Rząd centralny, rezydujący w odległej zachodniej części kraju, długo nie reagował. Pomoc poszkodowanym niosły zagraniczne organizacje i rządy. Aktywna była też opozycyjna Liga Ludowa. Jej szef Mujibur Rahman ogłosił, że rząd Pakistanu jest winny zbrodni: „Mają olbrzymią armię, ale to brytyjscy żołnierze grzebią naszych zmarłych”.

Zaraz były wybory. Liga odniosła miażdżące zwycięstwo w Pakistanie Wschodnim, a gdy prezydent gen. Yahya Khan odmówił mianowania Mujibura premierem, wybuchła wojna domowa. W rezultacie na wschodzie powstał niepodległy Bangladesz. Chyba żadna inna katastrofa naturalna nie miała tak doniosłych konsekwencji politycznych.

Po zatruciu Odry po stronie antyrządowej pojawiły się nadzieje, że może tony martwych ryb będą kroplą, która przepełni czarę cierpliwości elektoratu PiS, mimo że nie dokonały tego pokazy chciwości, niekompetencji i nienawiści w wykonaniu rządzących.

Czy nadzieje są uzasadnione? Sprawdźmy, co mówią o tym badania naukowe.

W pracy „Społeczny i polityczny wpływ katastrof naturalnych” Frederike Albrecht z Uniwersytetu w Uppsali przeanalizowała różne badania na temat klęsk żywiołowych w Europie w XXI w. Wnioski są następujące: te wydarzenia mogą mieć wpływ na zaufanie do władzy, lecz niewielki i przejściowy. Aprobata dla rządu znacząco spada dopiero, gdy katastrofy powodują co najmniej dziewięć

ofiar śmiertelnych lub problem dotyka całego kraju, a nie jednego regionu.

Nie jest to przypadek Odry: kryzys jest lokalny, w dodatku w regionach z niskim poparciem dla PiS. Nie ma ofiar śmiertelnych, a wyborcy prawicy są zasadniczo mniej wrażliwi na cierpienie ryb niż wyborcy opozycji.

„Poziom zaufania do rządu jest pochodną szybkości i skuteczności jego reakcji”, pisze szwedzka badaczka. To oczywiste. Jednak nie ma dowodów na to, że wpływ katastrof naturalnych na sympatie polityczne jest trwały. Są to „kryzysy szybko się wypalające”. Gniewne nastroje zaraz po wydarzeniu nie muszą mieć przełożenia na wybory, które rzadko następują tuż potem, jak w Bangladeszu pół wieku temu.

Przeanalizujemy konkretne przykłady.

Kiedy w marcu 2011 r. Japonię dotknęły trzęsienie ziemi, tsunami i awaria elektrowni atomowej w Fukushima, notowania rządu spadły. W następnych wyborach do władzy powróciła Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP), która pokonała rządzącą Partię De-

to tym, że mieszkańcy za nieudolność obwiniali raczej rządzących lokalnie Demokratów, poza tym po kataklizmie wielu demokratycznych wyborców zostało przesiedlonych poza granice stanu.

Są też przypadki udanego zarządzania katastrofami, co przyniosło rządzącym wzrost poparcia: po powodziach w Niemczech, po pożarach w Rosji czy po trzęsieniu ziemi w Chinach. Tylko czy można wrzucać do jednego worka kraje demokratyczne i autorytarne? Z wolnymi mediami i bez?

Z badań wynika, że decyduje obraz kształtowany przez media. „Porażka czy sukces są pojęciami konstruowanymi przez tych, którzy dominują w dyskursie politycznym – pisze Albrecht. – Media nie są tylko tłem, lecz stanowią najważniejszą arenę”.

Katastrofa bezpośrednio dotyka niewielu, reszta obywateli czerpie o niej informacje z telewizji lub portali. A relacje przychylne rządowi są bardziej prawdopodobne w krajach, w których media są kontrolowane przez mniej demokratyczne reżimy.

Katastrofa bezpośrednio dotyka niewielu, reszta obywateli czerpie o niej informacje z telewizji lub portali. A relacje przychylne rządowi są bardziej prawdopodobne w krajach, gdzie media kontrolują reżimy

mokratyczną (DP). W okręgu Fukushima DP utraciła cztery z pięciu mandatów. W całym kraju odnotowano wzrost frekwencji. Ale trudno być pewnym, że bez katastrofy nie byłoby zmiany rządu – wybory odbyły się dopiero 20 miesięcy później, a LDP od blisko siedmiu dekad jest domyslną partią władzy, żadne inne ugrupowanie nie zdołało jej utrzymać dłużej niż przez parę lat.

W 2005 r. potężny huragan „Katrina” w amerykańskiej Luizjanie też spowodował spadek aprobaty dla rządu George’a W. Busha, który słabo sobie radził z jego skutkami. Jednak w wyborach z 2008 r. Luizjana przeszła na stronę Republikanów. Aprobata dla Busha była tam o 20 pkt proc. wyższa niż średnia krajowa. Badacze tłumaczą

W Polsce w kanałach pro-rządowych zatrucie Odry jest przedstawiane jako katastrofa naturalna (dopust Boży), w antyrządowych – jako skutek zaniedbań i arogancji władzy. Nie spowoduje to przepływów elektoratu.

Trójka chińskich badaczy opublikowała w „Chinese Journal of Sociology” wyniki badań nastrojów po trzęsieniu ziemi z 2008 r. w Syczuanie, gdzie zginęło 90 tys. ludzi.

Stwierdzono, że zaufanie do urzędników państwowych na wszystkich szczeblach znacznie wzrosło, głównie z powodu „efektu flagi” (zwiększonego poparcia dla rządu w obliczu zagrożenia) oraz nagłośnienia tragedii w mediach. Im bardziej obywatel był podatny na oficjalne relacje medialne, tym bardziej

jego poparcie dla rządzących wzrastało. Najwięcej zyskały władze lokalne, bezpośrednio odpowiedzialne za akcje ratunkowe. Jednak i tu efekt był przejściowy.

W innej analizie porównano dwie powodzie w Wielkiej Brytanii, w latach 2005 i 2015. Po tej pierwszej zadowolenie z rządu wzrosło, po drugiej spadło, bo opozycja i dziennikarze w pierwszym przypadku byli neutralni, w drugim krytykowali władze. Nalożyła się na to „ogólnie napięta politycznie sytuacja” – w 2015 r. odbyły się wybory, które zawsze zwiększają polaryzację i chęć konfrontacji.

Andrew Healy i Neil Malhotra z Uniwersytetu Stanforda zbadali wpływ tornad na wybory prezydenckie w USA w latach 1952-2004.

Zasadniczo kataklizm prowadził do spadku poparcia dla rządzącej partii w dotkniętym okręgu. Ale zależało to głównie od tego, czy prezydent ogłosił stan klęski żywiołowej, co pociąga za sobą uruchomienie funduszy federalnych na pomoc ofiarom. Starający się o to gubernatorzy dostawali premię w postaci dodatkowych 4 pkt proc., natomiast prezydenci, którzy odrzucali wnioski, byli karani utratą 1 pkt proc.

Z badań Healy’ego i Malhotry wynika też, że wyborcy nagradzają władzę wyłączenie za wydatki na pomoc po wystąpieniu katastrofy, ale nie na prewencyjne zwiększanie gotowości. Mimo że takie inwestycje są nadzwyczaj opłacalne: każdy dolar wydany na przygotowania zmniejsza koszt późniejszych szkód o 15 dolarów.

Z kolei badania prowadzone przez Mehmeta Ulubasoglu z australijskiej Deakin Business School wykazały, że następstwem częstszego występowania huraganów i innych klęsk żywiołowych jest wzrost opresyjności rządów. Ten mechanizm widzieliśmy po pandemii COVID-19, która w wielu krajach dała pretekst do trwałego zwiększenia kontroli nad społeczeństwem. Przykładami „autokracji burzowych” są Haiti, Fidżi, Filipiny, Birma. Ulubasoglu zauważa, że ponieważ efekty zmian klimatycznych mogą być szczególnie dotkliwe dla małych krajów wyspiarskich, należy się tam spodziewać erozji demokracji. ●

Adam Michnik poleca **Po co Putinowi kultura**

• **Prezydent Putin ściska dłoń swemu dobremu znajomemu, dyrektorowi Ermitażu Michaiłowi Piotrowskiemu. Moskwa, czerwiec 2017 r.**

FOT. NATALIA
KOLESNIKOVA/
AFP/EAST NEWS

Iech wśród szczęku oręża nie milkną muzy. W tej odwróconej wersji klasyczna łacińska dewiza „Inter arma silent Musae” jest od początku wojny o Donbas mottem koncertów techno i kiermaszów w rosyjskich wsiach i miasteczkach. Pod tymże hasłem wywiadu rządowej „Rossijskiej Gaziecie” udzielił dyrektor petersburskiego Ermitażu Michaił Piotrowski. Tytuł brzmiał: „Dlaczego w dobie wyboru trzeba na historycznym zakręcie wesprzeć swój kraj”.

Michaił Borysowicz Piotrowski jest znany w Rosji i na świecie. Urodzony w 1944 r. w Erywaniu, arabista, w 1991 zastąpił [zmarłego] ojca na stanowisku dyrektora słynnego Ermitażu w Sankt Petersburgu. Był środkiem pierestrojki.

Piotrowski zaczął rządy od rozbudowy muzeum, dołączając neoklasykistyczny gmach Sztabu Głównego na pl. Pałacowym, po czym rozwinął działalność na arenie międzynarodowej, tworząc filie w Las Vegas, Londynie i Amsterdamie (projekt barceloński, jak się zdaje, utknął w martwym punkcie).

Jak powiedział o nim komentator polityczny radia Swoboda Siergiej Szelin, „dyrektor, następca tronu imperium kulturalnego, jego cesarz”. Jako intelektualista z ojca na syna nie jest mu obca pasja polityczna. Od początku petersburskiej kariery Władimira Putina był mu bliski. Stał się jego powiernikiem i podporą w dwóch kampaniach prezydenckich, był też członkiem komisji przygotowującej poprawki do konstytucji i komitetu zarządzającego pierwszego kanału telewizji.

KRYM NASZ. MATISSE TEŻ

Dyrektor Ermitażu organizuje w Paryżu wystawy malarstwa francuskiego. Jak to określa? Jako operację specjalną!

Ewa Zarzycka-Bérard*

W dowód uznania dla jego pozycji i wizerunku człowieka kultury, ba, pioniera cywilizacji, został uhonorowany za granicą jako członek paryskiej Akademii Inskrypcji i Literatury Pięknej, kawaler Legii Honorowej Republiki Francuskiej, laureat Orderu Zasługi Republiki Włoskiej czy nagrody waszyngtońskiego Woodrow Wilson Center.

Jednak mimo tych zaszczytnych wyróżnień wywiad dla „Rossijskiej Gaziety” wywołał niedowierzanie, oburzenie i złość współobywateli, które podsumować można jednym słowem: „faszysta”. „To nie jest jakiś propagandysta od Goebbelsa w rozmowie z »Völkischer Beobachter«”. Nie, to dyrektor Ermitażu we własnej osobie”, zżymał się, jak podało radio Swoboda, emigracyjny malarz Dmitrij Wrubel [zmarł 14 sierpnia].

Do kogo adresowany jest wywiad, który wywołał skandal? Do społeczeństwa rosyjskiego, które kierownictwo Ermitażu od lat bojkotuje, odmawiając „ze względów bezpieczeństwa” wypożyczenia swych skarbów prowincjonalnym

muzeom, czy też do publiczności zagranicznej, którą tak rozpieszczą? Jak powiada Piotrowski, jego obowiązkiem w godzinie próby jest praca „dla jednych i drugich”. W rzeczywistości jego słowa mieszczą się w nurcie „dyplomacji kulturalnej” Putina.

Zaczęła się ona wraz z programem modernizacji armii w 2012 r., w chwili powrotu Putina na fotel prezydenta. Ideologiczna ofensywa miała oferować zagubionemu światu zdrowe, tradycyjne rosyjskie wartości. Teoria miękkiej siły Amerykanina Josepha Nye’a ożywiła tęsknotę za radziecką doskonałością, skłaniając szefa MSZ Siergieja Ławrowa do przyznania, że w tej dziedzinie Rosja „nieza-przeczalnie pozostaje w tyle”.

Kreml podjął różne działania, uruchomił programy, ale nowej, adresowanej do Zachodu dyplomacji kulturalnej brakło zaangażowania. Co z niej zostało po dziesięciu latach?

Straciły swój urok, o ile miały go kiedykolwiek dla tych, których politolożka Lilia Szewcowa lubi traktować jak „pożytecznych idiotów”, doroczne spotkania Klubu Wałdajskiego, na których pre-

zydent gawędził z zaproszonymi intelektualistami. Przepisywanie historii przez ministra kultury do 2020 r. Władimira Medynskiego, którego tezy kwestionowali jako nienaukowe koledzy historycy, a Uniwersytet Wenecki obdarował honorowym doktoratem, nie miało tego blasku co inwestycję Romana Abramowicza w klub piłkarski Chelsea, z którego musiał zresztą zrezygnować w marcu tego roku.

Interwencje finansowe oligarchów w zagraniczne przedsięwzięcia kulturalne, jak np. warta półtora miliona euro kolekcja podarowana przez Władimira Potanina paryskiemu Centrum Pompidou, miały z pewnością korzystny efekt znieczulający, porównywalny ze skutkami dla Rosji, ale nie owocowały poparciem dla agresywnych działań Putina: takich jak akcja policji w Biesłanie, wojna w Czeczenii, Gruzji i Syrii. Jedy-nym przedsięwzięciem, które miało trwale skutki, był „ruski mir” – rosyjski ład i świat.

Projekt zainicjowany przez tzw. metodologów skupionych wokół Piotra Szczedrowickiego, filozofa i dyrektora Szkoły Polityki Kultu-

ralnej, zafascynowanego teoriami społecznej manipulacji, zrywał radykalnie z postacią emigranta jako sługi diabła, którym przez dziesiątki lat żywiła się radziecka propaganda. Ruski mir, rozciągający się początkowo na „bliską zagranicę”, czyli kraje, które odłączyły się od ZSRR, rozszerzał się szybko, obejmując postradziecką diasporę docenianą z racji jej zasięgu, potencjału ekonomicznego i łatwości pozyskiwania grup wpływów.

Filozof proponował budowanie nowego „społeczno-kulturowego mitu”; młody doradca prezydenta Władisław Surkow wyraził się jaśniej: „Musimy nauczyć się mówić o imperium, o naszym pragnieniu ekspansji, nie urażając społeczności międzynarodowej”.

Rozwiązanie nadeszło w 2005 r., wraz z uruchomieniem dwóch nadających za granicę politycznych tub propagandowych instytucji: międzynarodowego kanału informacyjnego RT, wcześniej Russia Today, i multimedialnej agencji informacyjnej Sputnik. W marcu 2022 r. Unia Europejska wypowiedziała obu koncesje.

Interwencja wojskowa w Ukrainie (podobnie jak w Czechosłowacji w 1968 r.) posilkuje się małym słownikiem propagandowym, którego kluczowym hasłem jest „denazyfikacja”. W Rosji ta skrajnie uproszczona fikcja była dość skuteczna, ale za granicą okazała się porażką. Kraj „kolektywnego Zachodu”, by użyć rosyjskiego określenia, szybko uzgodniły pakiet sankcji ekonomicznych, a opinia publiczna zachodnich krajów, pod wrażeniem zacieklego oporu napadniętego narodu, zabrała się z zapalem za odkrywanie ukraińskiej kultury. Siłą rzeczy przyjrzała się jednocześnie swojej tradycyjnej sympatii do kultury rosyjskiej.

Czy imperatyw moralny nakazujący bezwarunkowe potępienie inwazji da się pogodzić z konsumowaniem, jakby nigdy nic, wy-

tworów kultury agresora? Przyjęliśmy pewną wersję dewizy „Inter arma silent Musae”, zrywając międzynarodowe kontakty ze wszystkimi, którzy nie potępili jednoznacznie tej wojny.

W obliczu cierpień i zniszczeń zadawanych przez armię Putina kultura rosyjska objawiła nagle (sic!) swoje imperialne, aroganckie, agresywne oblicze. W końcu szeroki front odmowy zachwiał pewnością siebie proputinowskich kregów kulturalnych. Pigulka była dla nich tym bardziej gorzka, że to wyrównanie rachunków wydało im się podwójnie nieuczciwe i niedopuszczalne – dokonywane w imieniu kultury „gorszej”, bez porządnego fundamentu językowego, a do tego metodami cancel culture, w imię ideologii stworzonej przez narody, którymi gardzą nie mniej niż „nieistniejącym” narodem ukraińskim.

„Jak długo jeszcze będziemy musieli kajać się za ponoć nikczemny kolonializm, skoro te sprawy nie są już takie jasne? Albo kajać się za ten nieszczęsnny handel niewolnikami, który nie zaczął się przecież w Europie, tylko w Afryce”, irytuje się dyrektor Ermitażu.

Aby rozpocząć kontrofensywę – bo taką właśnie misję chce realizować – ma Piotrowski dobry atut, jakim są dwie wystawy zorganizowane ostatnio w Paryżu we współpracy z Fondation Louis Vuitton i odwiedzane przez miliony zwiedzających, zachwyconych arcydziełami współczesnego malarstwa francuskiego zgromadzonymi na przełomie XIX i XX wieku przez dwóch kolekcjonerów, moskiewskich kupców Siergieja Szczukina i Iwana Morozowa.

Jak deklaruje Piotrowski, wystawy te zostały pomyślane jako „rodzaj operacji specjalnej”, co jest oczywistym nawiązaniem do działań Putina w Ukrainie. Jego operacja wymierzona jest w Europę, bo nadrzędnym celem dyrektora Ermitażu jest odbudowanie wizerunku Rosji europejskiej nadwężonego przez jej prezydenta.

Tak więc „operację specjalną” w Paryżu przeprowadził Ermitaż. Słuchając jego dyrektora, można pomyśleć, że to zwykły termin techniczny oznaczający sposób działania Federacji Rosyjskiej – tak jak mówiło się „czystka” i „plan pięcioletni”. Co więc chciała osiągnąć Rosja, uruchamiając tę „operację specjalną”? Odpowiedź jest prosta – wszystko.

„To wybór, którego dokonaliśmy dawno temu. Jesteśmy nierozłącznie związani z kulturą europejską i z samą Europą. (...) Jesteśmy Europą, czasem jesteśmy nią nawet bardziej niż wiele krajów europejskich par excellence”.

Na czym opiera się przekonanie o europejskości Rosji? Pierwsza odpowiedź przywołana przez Piotrowskiego jest oczywista: Rosja to Europa, bo Ermitaż to „napisana po rosyjsku encyklopedia światowej kultury”. Obrazy Rembrandta pozyskane dawno temu przez muzeum „są rosyjskimi Rembrandtami”.

Ale jest też głębszy powód europejskości Rosji, związany z pewnymi subtelnymi okolicznościami aneksji ziem ukraińskich: „Mamy prawo być Europą, bo mamy w południowej Rosji starożytne dziedzictwo: Chersoniez, Kercz, Ta-mań. A ci, którzy mają starożytne dziedzictwo, to Europa. Np. w Norwegii nie ma starożytnego dziedzictwa, nie było tam żadnych greckich kolonii ani rzymskich legionów”. Waregowie won!

Ale tak naprawdę mówimy o Europie czy o UE? – zastanawia się dziennikarka czuwająca nad politycznym tonem wywiadu. Oboje rozmówcy systematycznie unikają nazwy „Unia Europejska”, ograniczając się po radziecku do inicjałów. Strażnik wartości europejskich w Ermitażu nie waha się:

UE „przekształca się obecnie w Związek Radziecki”. Cancel culture infekuje ją „radzieckim wirusem”. Ale bez paniki. Rosja „przejmując dziś inicjatywę na polu europejskiej kultury” i to ona ukształtuje jej wizerunek.

Michaił Piotrowski dobrze zna Francję i znakomicie mówi po francusku. Ale jego arogancja i nowomowa stronictwa wojny biorą górę, ośmieszają go. Matisse przez grzeczność lub oportunizm zapewniał, że bez zlecenia Szczukina nigdy nie namalowałby słynnego „Tańca”, ale dla Piotrowskiego była to okazja do obwieszczenia odkrycia w dziedzinie historii sztuki – dwaj kolekcjonerzy, „biznesmeni z kręgu staroobrzędowców, wyznaczyli w dużej mierze kierunki rozwoju europejskiej kultury”.

Po inwazji na Ukrainę europejscy muzealnicy zastanawiali się, czy mają zwracać wypożyczone z Ermitażu dzieła, ale zreflektowali się i respektują umowy spisane zgodnie z rosyjskimi wymogami, a zwłaszcza prawem spadkowym. A Piotrowski cieszy się: „Morozow i Szczukin kształtowali europejski gust, a my kształtujemy międzynarodowe prawo”. Triumfuje: „Wszystko to jest nasze, musimy rozporządzać tym jak naszym dobrem, nie zakładając, że jesteśmy w opozycji do Europy”.

Piotrowski, który zagarnia triumfalnie Europę – „rosyjska flaga powiewa nad Laskiem Bulońskim” – nastawia się na jedną grupę społeczną, „nowych przyjaciół” Ermitażu, którymi są ludzie biznesu. Tylko oni są mile wi-

**Dyrektor Ermitażu:
– Wojna to oczywiście
krew i śmierć,
ale jest potrzebna,
bo to autoafirmacja
narodu**

dziani – oczywiście Louis Vuitton, który ocalił honor Francji ubezwłasnowolnionej przez zsowietyzowaną Europę, oczywiście biznesmeni włoscy, którzy uratowali obrazy zatrzymane przez nadgorliwych fińskich celników, i oczywiście izraelskie Towarzystwo Przyjaciół Ermitażu.

Piotrowski, ze swą legendarną elegancją, uznał, że niezbyt wypada mu mówić o własnych sukcesach biznesowych (był uwikłany w kilka afer finansowych związanych ze sprawami Ermitażu), i robił, co mógł, żeby zamienić dwóch starowierów w ludzi biznesu, w nadziei, wolno sądzić, stworzenia kuszącej wizji Rosji nowoczesnej i przedsięwzięcej.

Cytowane dotąd wypowiedzi Piotrowskiego, choć prymitywne i agresywne, nie wydają się jawnie faszystowskie. Są co najwyżej przejawem chamstwa człowieka potężnego, bliskiego władzy i rozpieszczanego przez świat. Tylko że Piotrowski nie ogranicza się do muzealnych tematów. Zachęcony przez dziennikarkę, która wprowadza dyskretnie w zasadzie zakazane słowo „wojna”, Piotrowski bez najmniejszych oporów przybliża ideę operacji specjalnej.

I tak dochodzimy do drugiego celu wywiadu, jakim jest wprowadzenie wątku II wojny światowej, który mieści się w centrum propagandy Putina, i objęcie nim „operacji specjalnej” – niech ludzie zapomną o niewypale, jakim była „denazyfikacja”, zastępując ją bardziej chwalebnyimi określeniami: „blokada” (jak blokada Leningradu), koniec

odwrotu, ofensywa; mało brakowało, a Mariupol przemianowano by na Stalingrad.

W dziedzinie militarnej Piotrowski nie czuje się swobodnie, improwizuje, czasem brak mu słów, mówi nieśkładnie – w ten sposób zdradza, czyli po prostu wyraża, to, co w głębi duszy myśli.

A więc Rosja przeżywa „blokade”. Otoczona przez wrogów poradzi sobie, jak podczas tamtej wojny będzie czerpać z własnych zasobów, ożywi kulturę oblężonego kraju, nie tracąc z oczu tego, co dzieje się na zewnątrz. „Czas wojny scytyjskiej minął”. Wszystkim mieszkańcom Petersburga kojarzy się to natychmiast z poematem Aleksandra Błoka „Scytowie”. Ale dla Błoka Scytowie roku 1918 to „my”, rewolucjoniści. Dla Piotrowskiego to „oni”, inni. Neonaziści? Cywilizacja atlantycka? Ukraińcy? „Cofaliśmy się, cofaliśmy się, ale już się nie cofamy. To jest punkt zwrotny, dziś możemy powiedzieć, że definitywny. Wszystko zaczęło się w 2014 r. na Krymie”.

Czym był ten historyczny punkt zwrotny? „Nasz kraj zmienia dziś historię świata. Wszyscy uczestniczymy w tych przemianach, stoimy murem za naszym krajem. Spokojnie kontynuujemy naszą pracę, nie zmieniając naszych przyzwyczajeń. Tę chęć dorównania historii i misji swojego kraju nazywam historyczną godnością”.

Dziennikarka czuwa i przypomina, że w tym przypadku „historyczna godność” przybrała bardzo konkretną postać wojny. Tak, kontynuuje Piotrowski, „wszyscy wierzymy w militarystykę i imperium”. Dziennikarka, profesjonalna w każdym calu, dodaje komentarz: „śmiesz”.

Piotrowski kontynuuje rozważania. „Wojna to oczywiście krew i śmierć, ale jest przecież potrzebna”, bo to „autoafirmacja narodu”. Afirmacja czego? Rosji „poniżonej” – kolejny ulubiony temat Putina.

Przez Zachód? Afirmacja zyskana dzięki aktom barbarzyństwa, dziesiątkom tysięcy zabitych i rannych i całym miastom zrównanym z ziemią? Zdjęcia, które od 24 lutego 2022 r. obiegają świat, najwyraźniej nie mają znaczenia dla człowieka, który szczeni się tym, że obcuje z arcydziełami światowego malarstwa. Od sztuki i zniszczenia ważniejsze jest budowanie imperium.

„Cokolwiek byśmy powiedzieli, wychowaliśmy się wszyscy w tradycji imperialnej, a imperium łączy wiele narodów”, kontynuuje Piotrowski. Ale jakie imperium? Ten rozległy XIX-wieczny twór, dziś bezwładny, bez cesarza, bez korony, który tak desperacko stara się umocnić swoją pozycję, eksterminując i niszcząc, unicestwiając rakietami wszystko, co niezależne?

Czy próba dyplomacji kulturalnej w wykonaniu człowieka, którego niektórzy uważają za potężniejszego od ministra kultury, okazała się skuteczna? Za wcześniej na ocenę. Możemy co najwyżej mieć nadzieję, że wkrótce dowiemy się, czy Akademia Inskrypcji zajmie się wypowiedziami swego członka i czy Fondation Louis Vuitton rzuci światło na jego rolę w tej zaiste fascynującej „operacji specjalnej” przeprowadzonej właśnie w Lasku Bulońskim. ●

przeł. Sergiusz Kowalski

***Ewa Zarzycka-Bérard** – socjolożka, historyczka, zajmuje się historią i kulturą Rosji. Autorka m.in. książki „Burzliwe życie Ilii Erenburga. Rosyjski los, żydowskie szczęście” (2002). Mieszka w Paryżu

Tekst za poświęconym sprawom rosyjskim portalem Desk Russie (desk-russie.eu), gdzie ukazał się 15 lipca 2022 r.

WIER SZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Bogdan Tosza*

Wyjechać ze Lwowa

In memoriam Adam Zagajewski

Wyjechać ze Lwowa. Z jakiegokolwiek dworca na którym jeszcze sprzedają bilety. Pociągiem albo busem bądź czymkolwiek innym. Wyjechać ze Lwowa. Na jawie i nie śnić że będzie lepiej. Przestać marzyć o kanikule nad morzem.

Wyjechać, wyjechać ze Lwowa.

Zawieźć go tam, gdzie nikt już

na niego nie czeka i gdzie nie zrywa

po nocach niepokodzonych wygnańców.

Gdzie przestano tęsknić i do Lwowa

wracać. Gdzie w końcu rozpakowano

walizy z ćmielowską porcelaną,

książkami znanych matematyków,

poetów i proroków liżących rany,

a także nutami z muzyką Brucknera.

Zawieźć go tam gdzie dawno spleśniały

suknie sprzed pierwszej wojny

i apaszki przywiezione z poślubnej

podróży do Paryża, jedwabne

krawaty z Wenecji i ozdobne

fulary z naddunajskiej stolicy.

A teraz znowu wyjechać ze Lwowa.

Jeszcze raz w tym samym kierunku.

Następni uciekinierzy pakują się

bez tchu w pośpiechu do dwóch walizek,

nie wiedząc co zabrać, co zawieźć tamtym.

A może tylko odgłosy Stryjskiego Parku

wiosną i pozłożoną katedrę o wieczorze

w zachodzącym słońcu a może

jedynie zapach kawy u George’a

i aktualny repertuar opery

spakować czy zostawić ten

huculski kilim o którym nikt

w domu nie chciał mówić

skąd się wziął na naszej ścianie

skoro Huculów już od dawna

nie ma. Wyjechać ze Lwowa

który „zamienia się już w ogień

i burzę” i jeszcze tylko topole

stoją niewzruszone i buki które

siwieją coraz szybciej, umilkłe kosa,

bo „dzwony biją i drży powietrze”

i znowu ktoś pyta „dlaczego każde

miasto musi stać się Jerozolimą”

dlaczego wracają sny które nie są

nasze. Wyjechać, wyjechać ze Lwowa.

maj 2022



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Bogdan Tosza** – ur. w 1952 r., reżyser teatralny, publicysta, eseista, animator kultury. W latach 1992-2003 dyrektor Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, 2004-06 – Teatru Polskiego we Wrocławiu, 2012-20 – Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie

Z DR **MARTĄ DORĄ***, SEKSUOLOŻKĄ I PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Coraz więcej dzieci i nastolatków nie identyfikuje się ze swoją płcią biologiczną. Specjaliści mówią o kilkusetprocentowym wzroście zgłoszeń w ostatnich latach. Jak to rozumieć?

– Mogę odpowiedzieć na to pytanie na dwa sposoby. Po pierwsze – co mówią hipotezy. Po drugie – co widzę w swojej praktyce.

Zacznijmy od hipotez.

– W publicystyce naukowej jednym tchem wymienia się kilka przyczyn – to, że osoby transnastoletnie były zawsze, tylko kiedyś ujawniały się później, w trzeciej albo nawet czwartej dekadzie życia. To, że dziś dzieci mają znacznie większy dostęp do wiedzy. Znają pojęcia, rozumieją, że jest na nie słowo, a także odpowiedni specjaliści. Dzięki znajomości angielskiego znajdują osoby z podobnym doświadczeniem na całym świecie, co umacnia je w poczuciu, że nie są same. Inne hipotezy mówią o „modzie” na bycie trans, że jest to jakiś rodzaj historii grupowej, współczesna odpowiedź na kryzys wieku dojrzewania, który w ciągu ostatnich kilku lat miałby być z jakichś powodów dla młodzieży bardziej dokuczliwy. Szczególnie dla tych osób, które urodziły się z przypisaną płcią żeńską.

Jak się to próbuje tłumaczyć?

– Niektórzy specjaliści uważają, że to wyraz buntu dziewczynek przed posiadaniem ciała, które jest dziś tak mocno regulowane prawami reprodukcyjnymi. Bronią się przed tą radykalizacją, odrzucają kobiecość i przyjmują męską identyfikację. Ale nie ma tu jednej dobrej odpowiedzi.

A co mówi pani doświadczenie?

– Mimo że tych pacjentek i pacjentów mam zdecydowanie więcej niż, powiedzmy, pięć lat temu, nie zdobyłabym się na podanie upraszczającej hipotezy, bo jest to bardzo różnorodna grupa. Spotykam młodzież, która wcześniej potrafi się określić, jest w tym stabilna i podejmuje próbę dialogu z rodzicami, żeby móc wejść w dorosłość w takim ciełe, z takimi dokumentami, z jakimi chce. Ale widzę też dzieciaki, które przyjmują inną identyfikację niż ta wynikająca z płci przypisanej, nie wiem, na ile trwała, i są bardzo zacięte, żeby nie rozmawiać o niczym innym. Wtedy zapala mi się czerwona lampka. Zastanawiam się, co się pod tym kryje.

A co może się kryć?

– Masa różnych rzeczy. To może być silny lęk przed tym, że ich tożsamość zostanie unieważniona. Boją się, że ktoś znajdzie na nich jakiegoś „haka” i powie, że wcale nie są trans. Ale to mogą być też trudności z więzią, z poczuciem bycia niewidzianym, na przykład przez rodziców. Młodzież, która ma tu duże deficyty, może Ignąć do społeczności, w której jest się przyjętym takim, jakim się jest, a społeczność osób LGBT jest w tym dość wdzięczna.

Gdy przychodzi do mnie 15-, 16-letni pacjent, który zachowuje się, jakby był znacznie młodszy, i mam wrażenie, że swoją ekspresję wyjątkowo stara się zwrócić uwagę otoczenia, trudno mi powiedzieć, co się z nim stanie za kilka lat. Mogę mieć pewne obawy co do tego, czy obecny poziom dojrzałości kwalifikuje go do jakichkolwiek ingerencji innych niż społeczne, jak posługiwanie się wybranym imieniem i preferowany sposób ubierania się, ale nie mogę zakwestionować jego tożsamości i powiedzieć: „Nie jesteś tym, za kogo się uważasz”.

Bo?

– Bo tożsamość nie jest podstawą oceny klinicznej. Jest nią poziom dysforii płciowej, czyli cierpienia wynikającego z rozbieżności pomiędzy tym, jak się dana osoba określa, jakiej płci się czuje, a tym, jaka płeć została jej przypisana przy urodzeniu. A nie to, czy ktoś jest trans, niebinarny, queer, czy nie.

Rodzice mówią: „Zostawimy dziecko na diagnozę.

Będzie przychodziło tyle, ile trzeba, ale na końcu proszę nam powiedzieć:

JEST
CZY
NIE JEST
TRANS

To tak nie działa.

I jest grupa dzieciaków z dysforią, co do której mam spokój, kwalifikując je do dalszych ingerencji, na przykład hormonalnych. To znaczy, widzę u nich relatywnie małe ryzyko – bo nigdy nie mogę powiedzieć, że żadnego – że coś im się nagle zmieni albo że będą niezadowolone z transycji.

Jaki to procent osób, które pani konsultuje?

– Nie umiem tego powiedzieć. Bo zdarza się, że po wstępnych konsultacjach uznaję, że tyle się dzieje w życiu tej młodej osoby, że najpierw potrzebna jest jej psychoterapia, czasem terapia rodzinna, wsparcie psychiatryczne, a nie kwalifikacja pod kątem transpłciowości. Mogą to być powtarzające się próby samobójcze, masywne samookaleczenia. Coś, co pokazuje ogromną labilność, czyli trudność w utrzymaniu stanów emocjonalnych. Zaś do transycji, która wiąże się z dużymi zmianami i koniecznością wypracowania dojrzalszej komunikacji z otoczeniem, potrzebny jest jakiś poziom integracji oraz stabilności. Oczywiście, nie wymagamy, żeby była nieskazitelna, to byłoby nielogiczne. Jeśli ktoś ma dysfориę, to wiadomo, że może doświadczać stanów lękowo-depresyjnych, natomiast nie powinna do transycji podchodzić osoba, która takie decyzje podejmuje w chaosie, na szybko między kolejnymi kryzysowymi pobytami na oddziale psychiatrycznym.

Zdarza się też, że wokół tego tematu jest duży konflikt w rodzinie. Pierwsze konsultacje z rodzicami bywają tak przekrzyczane, że trudno rozsądzić – czy to coś, czego ci dorośli używają przeciwko sobie, wykorzystując dziecko, które cierpi z powodu dysforii? Czy też to dziecko cierpi raczej z powodu tego, co się dzieje pomiędzy dorosłymi? I taka sytuacja w pierwszej kolejności także wymaga opieki kilku specjalistów, a nie oceń pod kątem transycji. Co nie oznacza, że ja takiego nastolatka dyskwalifikuję, mówię tylko: „Jak się uspokoi, wróćcie”.

Wracają?

– Niektórzy po pół roku, inni po trzech latach, już jako osoby pełnoletnie. Mówią na przykład: „Wiem, dlaczego wtedy miała pa-

ni wątpliwości, jak się zachowywałem/zachowywałam. Ale od kilku lat jestem w terapii, ogarnąłem/ogarnęłam się i nadal chcę podjąć transycję”. Wracają też osoby, które przyszły do mnie, mając 14 lub 15 lat, a ja się zastanawiałam, czy za kilka lat w ogóle zostanie po tym ślad. Tymczasem dojrzałość umacnia w nich chęć transycji. No i są osoby, którym się to zmienia i po czasie mówią: „Nie, jednak nie”.

Przyrosty obserwuję w każdej z tych „podgrup”. Mam więcej pacjentów, którzy mówią: „Nie znam innych trans. Chcę po prostu przejść tę zmianę, wyprowadzić się do innego miasta i żyć jak zwykły człowiek”. Mam więcej takich, którzy mówią: „Trans to moja identyfikacja. Będę »open« przez resztę życia”. I więcej tych, którzy nie wiedzą. Wydaje się im, że to jest to, ale nie są pewni. Trochę się tego boją, a z drugiej strony mówią: „Już trzy osoby w szkole są trans, to może ja też?”. I one, moim zdaniem, potrzebują czegoś zupełnie innego.

Czego?

– Wsparcia terapeutycznego. To nie jest moment, żeby rozmawiać o transycji, tylko żeby przede wszystkim spróbować odpowiedzieć na pytanie, kim jestem. Nie uważam, żeby terapia była konieczna w każdym kryzysie tożsamości, natomiast w tym przypadku obecność dorosłego, który nie ocenia, nie

zakłada z góry, nie ma takich obciążeń jak rodzice, wydaje się dobrym pomysłem.

Kiedy dziecko nie wie, przymierza się, ale nie jest koniecznie nastawione na transycję, spokojnie można czekać. Inaczej jest, kiedy nastolatek twierdzi, że jest pewien, i na przykład podejmuje kolejne próby samobójcze. Wyobrażam sobie, że rodzice znajdują się wtedy pod ścianą.

– I takich przypadków też jest coraz więcej...

Co pani wtedy robi?

– To zależy od pacjenta. Czasami rodzice w dobrej wierze chcą podjąć interwencję szybciej, niż specjalista jest ją gotów zalecić, ale to nie jest kwestia tego, czego potrzebują rodzice. Najistotniejsze jest to, w jakim stanie i na jakim poziomie rozumienia tego, co się dzieje, jest młody człowiek. Problem polega na tym, że nie ma listy cech, które ten nastolatek powinien spełnić, żeby pięciu różnych specjalistów, rozmawiając z nim, mogło powiedzieć: „Ta osoba się kwalifikuje”. Ja bym nie zalecała nastolatkowi w masowym kryzysie działań prowadzących do nieodwracalnych konsekwencji, bo to by przeczyło standardom postępowania. Natomiast zdarza mi się, że mimo silnego kryzysu rozważam wprowadzenie rozwiązań odwracalnych, hamujących dojrzewanie płciowe. Bo już samo to, że ciało przestanie się rozwijać w kierunku niepożądanym przez dziecko, powinno sprawić, że dysforia się obniży. Czasem warto zaryzykować. Ale to nie jest popularny pogląd.

A jaki jest popularny?

– Zwykle uważa się, że kryteria do ingerencji odwracalnych i nieodwracalnych są takie same, czyli że najpierw, jak to się ładnie mówi, należy się zaopiekować problemami współistniejącymi. Dopiero po osiągnięciu pewnej równowagi psychicznej przez nastolatka możemy podjąć niektóre działania, co jest oczywiście bardzo zasadne. Tylko że... niekiedy dysforia trafia na nastolatka, który ma słabe strategie radzenia sobie i słabe wsparcie. Wtedy może przybrać dramatyczny przebieg, czasem porównywalny do traumy, i to takiej, która sprawia, że psychika się rozpada. Miałam takich pacjentów.

Co się z nimi działo?

– Byli w tak ciężkich stanach depresyjnych wynikających z dysforii, że pojawiały się u nich tzw. dekompensacje, nawet takie przypominające urojenia, halucynacje. Słyszeli głosy, tracili kontakt z rzeczywistością, czasem gubili kilka godzin w ciągu dnia. Z perspektywy psychiatry to wyglądało na początki psychozy, po czym po roku lub dwóch okazywało się, że to nie żadna psychoza, tylko dysforia płciowa, której ten nastolatek nie był w stanie udźwignąć.

Rozumiem, że pierwszym krokiem po diagnozie transpłciowości u dziecka jest właśnie ingerencja hormonalna odwracalna. Na czym ona dokładnie polega?

– Zanim to wyjaśnię, chcę podkreślić, że małym dzieciom nie podaje się żadnych środków medycznych. Hasła „killulatkom daję się zastrzyki” albo „zmienia płeć” są atrakcyjne, lecz nieprawdziwe, i służą wyłącznie manipulacji.

Hamowanie dojrzewania za pomocą hormonów można włączyć dopiero wtedy, kiedy ciało dziecka zaczyna dojrzewać. To jest bardzo indywidualne, ale średnio przyjada na mniej więcej 12. rok życia.

W przypadku młodszych dzieci wprowadza się wyłącznie transycję społeczną. Do tego część zespołów rekomenduje, żeby w przypadku tych najmłodszych nie robić pełnej transycji, czyli – od teraz zmieniamy ci imię, wszędzie funkcjonujesz, dajmy na to, jako dziewczynka i tematu transpłciowości nie ma. Chodzi o to, żeby podążać za dzieckiem, a jednocześnie żeby nie żyło ono w poczuciu, że jest taką samą dziewczynką albo takim samym chłopcem jak każdy inny. Bo nie jest. Ma inne doświadczenie tej dziewczęcości czy chło-

ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK



pięćości i co innego będzie się działo z jego ciałem dalej. Jedna z moich pacjentek, transdziewczynka, kiedy była młodsza, używała zamiennie form męskich i żeńskich. Ja też zwracałam się do niej raz tak, a raz tak. Myślę, że byłoby błędem, gdybym forsowała formy żeńskie, nie odnośząc się w ogóle do tego, co mówi.

Co się może wydarzyć, jeśli przyjmimy za absolutny pewnik, że pięcioletni chłopiec jest dziewczynką? I całą rzeczywistość wokół zbudujemy pod to?
– Musimy pamiętać, że dzieci mają pewien rodzaj nonkonformizmu płciowego i czasem doświadczają przejściowych niezgodności. W ogóle okres dziecięcy jest okresem masywnych zmian rozwojowych, dlatego trzeba dać sobie więcej czasu i uważności. Jeśli za bardzo dostosujemy świat do tego, co mówi kilkulatek, ryzykujemy, że jak za pół roku czy za rok mu się to zmieni, to będzie się bał z tego wycofać. Będzie się bał

ośmieszenia, wstydu. Natomiast jeśli dziecko ma 8 czy 9 lat i od kilku bezwzględnie identyfikuje się z inną płcią, chce się ubierać inaczej, ma specjalistyczną opiekę, to jaki jest sens, żeby funkcjonowało pod imieniem, którego nie lubi? Albo ubierało się inaczej, niż się czuje? Jeśli w szkole może istnieć jako osoba X (to są bardzo trudne decyzje i dla szkoły, i dla rodziców, i dla specjalistów, czy transpłciowość ma być jawna, czy nie), to dlaczego mielibyśmy go w tym nie wesprzeć? To, co ważne, to zapewnienie dziecka: „Słuchaj, gdyby coś się zmieniło, to my, dorośli, bierzemy to na siebie. Możesz zwątpić, potrzebować czegoś innego, my to wytłumaczymy nauczycielom, kolegom”.

Powiedzmy, że takie dziecko wchodzi w okres dojrzewania – jakie są możliwe te pierwsze ingerencje hormonalne?
– Niezależnie od płci przypisanej podaje się analogi gonadoliberyny. To hormon, który hamuje spontaniczną aktywność gonad,

czyli „pauzuje” ciało z produkcji hormonów płciowych, zarówno testosteronu, jak i estrogenu. Nastolatkom z przypisaną płcią żeńską przestają rosnąć piersi, zatrzymuje się miesiączka, inaczej rozkłada się tłuszcz. Przez to, że biodra się nie poszerzają, nie pojawia się charakterystyczne wcięcie w tali. U osób z przypisaną płcią męską zatrzymuje się rozwój jąder, mutacja, wzrost owłosienia, szczególnie na twarzy. Nie pojawia się jabłko Adama. Nie poszerzają się barki, przestają rosnąć stopy.

Rozumiem, że jest to wstęp do ewentualnych dalszych zmian chirurgicznych?
– Chirurgiczne zmiany to dużo dalsza perspektywa, w okolicach osiemnastki albo jeszcze później. Pomijając gotowość emocjonalną i psychiczną młodego człowieka, jest jeszcze realność prawna. W Polsce nie można zoperować narządów płciowych zewnętrznych i wewnętrznych, usunąć macicy czy jąder przed osiemnastką. A żeby to

zrobić, najpierw trzeba dokonać zmiany płci metrykalnej, czyli prawnie stać się kobietą albo mężczyzną. To długi i skomplikowany proces.

Bardzo ważne jest też to, że u młodszych osób, czyli u tych 12- czy 13-letnich, hamowanie dojrzewania włącza się zazwyczaj wtedy, kiedy od małego dziecka deklaruje, że czują się innej płci. Historycznie program takich działań zapoczątkowano w Holandii, stąd zwany jest protokołem holenderskim. Został wypracowany na grupie dzieci, które już w wieku 3, 4, 5 lat ujawniały się jako transpłciowe. W okresie dojrzewania się z tego nie wycofywały, co więcej, wraz ze zmieniającym się ciałem ich stan się ewidentnie pogorszył.

W tej chwili mam dwie takie pacjentki, które mają po 11 lat. Znam je od czwartego roku życia, kiedy rozpoznały, że jest coś takiego jak płeć, i uznały, że nie są chłopcami, choć taką płeć przypisano im po urodzeniu. Od dawna społecznie funkcjonują jako dziewczynki. Są w opiece pediatrycznej, endykronologicznej. A także w gotowości, że jak tylko zaczną dojrzewać, będą mogły, zgodnie z tym protokołem, przyjąć hormony hamujące dojrzewanie. Ale to są dzieci, które mają za sobą siedmioletnią historię trwałej identyfikacji z płcią żeńską. No i poza tym, że taka interwencja ma złagodzić dysfориę u dziecka, daje rodzicom, specjalistom, ale też i temu dziecku jeszcze jedną rzecz.

Co?

– Czas. Jeśli jakimś cudem po tylu latach ten nastolatek czy nastolatka powie: „Jednak nie”, środki hamujące dojrzewanie będzie można odstawić, a wtedy ciało spontanicznie wznowi produkcję hormonów zgodną z programem biologicznym. Natomiast jeśli dziecko stwierdzi: „Jest super, nie mogę się doczekać dojrzewania w zgodzie ze swoją identyfikacją”, będzie się adaptować społecznie, dobrze funkcjonować, wtedy można pomyśleć o kolejnym kroku, czyli o włączeniu hormonów zgodnych z płcią, z którą ten młody człowiek się identyfikuje. Ale to można przeprowadzić najwcześniej w wieku 15, 16 lat. Wtedy transchłopakom podaje się testosteron, a transdziewczynom – estrogeny.



Mam dwie jedenastoletnie pacjentki, które od czwartego roku życia czują się dziewczynkami i powoli wchodzą w skok wzrostu. Jedna z nich już teraz budzi się w nocy z koszmarami, że rośnie jej broda, biegnie przerażona do lustra, płacze

W wyniku ich obecności u transchłopaka pojawia się mutacja, wzrost tkanki mięśniowej, wzrost siły, a także trądzik. Transdziewczynom rośnie biust, skóra staje się bardziej miękka i nawilżona, włosy są w lepszej kondycji, zaokrągłają się biodra.

Czy ten drugi etap ingerencji hormonalnej też jest odwracalny?

– Pewne rzeczy są odwracalne, inne – nie. Wyobraźmy sobie, że transchłopak przyjmuje testosteron, po czym z jakichś powodów go odstawia. Miesiączka wróci, masa mięśniowa spadnie, tkanka tłuszczowa znowu będzie się bardziej magazynować w udach i na biodrach. Ale raz przebyta mutacja się nie cofnie, zarost nie wypadnie. Można go oczywiście usunąć za pomocą depilacji czy elektrolizy, ale z głosem nic się już nie zrobi. Z kolei po odstawieniu estrogenów przez transdziewczynę wrócą spontaniczne erekcje, zwiększy się masa mięśniowa, zarost będzie twardszy. A jeśli ktoś ma tenden-

cję do lysienia, to też wróci. Natomiast piersi mogą być mniejsze, ale zostaną.

Protokół holenderski wydaje się dość jasny w przypadku osób, które od małego identyfikują się z inną płcią, ale co kiedy taka osoba ujawnia się, mając 14, 16 lat?

– To jest realny kłopot, z którym coraz częściej się stykamy. Bo te nastolatki mają często taką narrację: „Wiem to od dwóch lat albo od czterech. Nikt mi nie wierzy, ale ja już trzy lata temu w grach komputerowych używałam awatarów kobiecych, tylko nikomu o tym nie mówiłam”. I ja im wierzę. Ale potem przychodzi rodzic i mówi: „Dla mnie to jest nowe. Dziecko powiedziało nam o tym miesiąc temu, wysyłając SMS-a z obozu”. Albo: „Dowiedzieliśmy się przy wypisie ze szpitala psychiatrycznego”. „Nauczycielka nas wezwała, bo syn zaczął się podpisywać innym imieniem”. I milion innych, podobnych scenariuszy, których wspólnym mianownikiem jest to, że rodzice mówią: „Jesteśmy zaskoczeni” albo „Jeszcze rok temu na ślubie wujka była w sukience, a teraz mówi, że czuje się chłopakiem”. I ja rozumiem ich pogubienie. Oni są w zupełnie innej sytuacji niż rodzice, którzy od przedszkola widzą, co się z ich dzieckiem dzieje. Mają wsparcie wielospecjalistyczne. Czytają. Często szukają kontaktu z innymi rodzicami, którzy przechodzą przez to samo. Najczęściej też już porzucili fantazje, że mają, dajmy na to, syna, bo od lat widzą, że mają córeczkę. Inną, ale jednak. Nie muszą już po tym przejść żaloby. No, a ci rodzice, którzy wiedzą od niedawna, są w szoku. I szukają różnych sposobów, żeby sobie z tym poradzić i zrozumieć, „skąd się to wzięło”. A że to może kryzys wieku dojrzewania albo internet, albo „teraz wszyscy są LGBT” itd. To wcale nie musi wynikać z transfobii. Oni po prostu bardzo chcą wrócić do momentu, kiedy było „normalnie”, i to jest jaoks zrozumiałe.

A specjaliści też są często pogubieni.

– Oczywiście, że tak.

Sama pani powiedziała, że nie ma jasnych procedur.

– Bo nie ma. A rodzice po nie przychodzą i wcale się im nie dziwią. Mówią: „Zostawić dziecko na diagnozę. Będzie przychodziło tyle, ile trzeba, ale na końcu proszę nam powiedzieć – jest czy nie jest trans”. Mają wyobrażenie, że proces oceny będzie przypominał badanie tomograficzne. Albo że mam jakiś kwestionariusz, który rozwieje wszelkie wątpliwości. Informacja, że dla mnie podstawowym narzędziem pracy jest wywiad, często frustruje. Czasami rodzice chcą zmierzyć dziecku poziom hormonów. Wierzą, że jak się okaże, że ich córka ma za dużo testosteronu, to będzie można go obniżyć i przestanie czuć się chłopcem. To tak nie działa. Ani badanie genetyczne, ani prześwietlenie mózgu niczego tu nie stwierdza. Kiedy tłumaczyć to rodzicom, mnie samej zdarza się zadawać sobie pytanie: właściwie na jakiej podstawie mówię: „To jest moment, żebyście włączyli do naszego zespołu pediatrę-endokrynologa” albo: „To nie jest ten moment”. Zaś specjalista X mówi: „Państwa 15-letnie dziecko na pewno jest trans. Możemy przepisać hormony”. A specjalista Y: „W Polsce przed 18. rokiem życia nie mogą państwo nic zrobić, nawet podać hormonów”.

Z czego wynikają te rozbieżności?

– Po pierwsze, z posiadanej wiedzy. Po drugie, z tego, jak się ją interpretuje. Po trzecie, z przekonani. Jeśli ktoś uważa, że osoba niepełnoletnia w ogóle nie może się określić jako transpłciowa, to będzie postępował w określony sposób. Ale to jest rozmyte nie tylko dlatego, że brakuje standardów, ale też dlatego, że to doświadczenie jest po prostu trudne do zobiektywizowania. I jako specjaliści musimy zaakceptować jakiś poziom niewiedzy, a także unieść to, że nie będziemy mieć całkowitej pewności.

Choć akurat tutaj wszyscy chcieliby mieć 200-procentową pewność, zwłaszcza jeśli zaczynamy rozmawiać o nieodwracalnych ingerencjach w ciało.

– W medycynie nigdy nie wiemy wszystkiego na 100 procent. Poza tym to nie jest tak, że my, specjaliści, kierujemy się wyłącznie intuicją. Mamy doświadczenie kliniczne, praktykę, wiedzę, no a do tego musimy podjąć dużo więcej wysiłku poznawczego i intelektualnego, żeby pracować indywidualnie z konkretnym pacjentem, mając świadomość, że nie ma szablonu.

Co wiemy o detranzycji? Jaki procent żałuje później korekty płci?

– Różne są badania, ale większość mówi, że to mniej niż jeden procent. Tyle że tu nie liczby są najważniejsze, ale to, żeby wiedzieć, dlaczego te osoby są niezadowolone. Czy jest tak, że jednak czują się kobietami i mężczyznami, którzy podjęli złą decyzję? Czy są rozczarowane operacją? Czy czują, że ich sprawność seksualna nie jest taka, jak ją sobie wyobrażały, i wołałyby mieć to ciało sprzed operacji, za to sprawne? Czy może żyły w przekonaniu, że tranzycja załatwi wszystkie ich problemy, ale tak się nie sta-

mknięcie i ograniczenie dostępu dla wszystkich, ponieważ cały czas mamy grupę pacjentów, dla których to są interwencje ratujące życie.

Ja rozumiem, że w każdym miejscu, które jest oblegane, popełnia się błędy. Natomiast nie spotkałam się z tym, żeby po kilku błędnych kwalifikacjach do kardiowersji zamknąć oddział kardiologiczny.

Tyle że przed chwilą do wcześniejszych pozwów przeciwko klinice Tavistock doszedł nowy, podpisany przez tysiąc rodziców, którzy twierdzą, że ich dzieciom niesłusznie podano blokery dojrzewania.

– Ten tysiąc to na razie są szacunki prawników. Ale nie ukrywam, że zmartwiła mnie ta skala, choć jeszcze nie wiem – skala czego? Braku akceptacji rodziców pacjentów, którzy dostali okazję do szukania zadośćuczynienia za „stratę córki/syna”? Czy błędu kliniki, która pod naporem zgłoszeń niebezpiecznie spłyciła diagnostykę? Tego się dopiero dowiemy. Niezależnie od tego moim zdaniem ruch sprzeciwiający się tranzycji medycznej osób niepełnoletnich wpisuje się w bardzo niebezpieczny trend ograniczania dostępu do świadczeń związanych z cia-

Ważne jest aby zapewnić dziecko, że jak będzie się chciało wycofać, to my, dorośli bierzemy to na siebie

ło? Oczywiście, zawsze ktoś może powiedzieć: „No dobrze, mniej niż jeden procent to są osoby, o których wiemy. Ale może są tacy, którzy robią to po cichu, we wstydzie. Albo w ogóle tego nie robią, bo mają w pamięci, ile ich to kosztowało”. No, ale gdyby ta skala była dużo większa, to myślę, że byśmy o tym wiedzieli.

Zapytałam o detranzycję, bo niedawno w atmosferze skandalu zamknięto Tavistock – największą w Wielkiej Brytanii klinikę, która od 1979 roku zajmowała się dziećmi i nastolatkami z dysforią.

– O ile dobrze pamiętam, już w 2018 r. jeden z pracujących tam specjalistów opublikował w raporcie, że leczenie hormonalne jest wdrażane zbyt pochopnie i że opieka w związku z gwałtownym wzrostem liczby pacjentów jest powierzchowna. Potem zebrała się większa grupa specjalistów, między innymi małżeństwo psychoterapeutów Marcus i Susan Evans, która to potwierdziła. Uruchomiono ścieżkę sądową. W międzyczasie zgłosili się byli pacjenci i ich rodzice, wśród nich Keira Bell, transpłciowa pacjentka, która stwierdziła, że w wieku 16 lat została poddana presji na korektę płci, na którą nie była gotowa. Proces zakończył się w 2020 r. wyrokiem, że osoba poniżej 16. roku życia nie jest w stanie świadomie wyrazić zgody na interwencje hamujące dojrzewanie. Ale po apelacji sąd się z niego wycofał. W tym roku w wyniku narastającej presji NHS, czyli brytyjski odpowiednik NFZ-u, postanowił klinikę zamknąć, rekomendując inny system opieki. Od tej pory młodzież z dysforią może być prowadzona w instytucjach ogólnopsychiatrycznych dla dzieci i młodzieży, które nie są wyspecjalizowane w opiece nad transpłciowymi pacjentami. Na marginesie, tak jest w Polsce.

Co pani o tym myśli?

– Myślę, że pod płaszczykiem ochrony dzieci rzuca się je pod autobus. Jeżeli problemem jest to, że tych zgłoszeń pojawia się za dużo, że są napięcia pomiędzy specjalistami, że nie rozumiemy, dlaczego tak się dzieje, a tak jest, to rozwiązaniem nie będzie za-

łem, płodnością, seksualnością, pod bardzo chwytliwym hasłem, że to jest ochrona i ratowanie życia. A jeszcze jak dorzucimy do tego słowo „dzieci”, to bardzo uderza w ludzkie niepokoje i lęki, natomiast nie przybliża zrozumienia problemu.

Polskie Towarzystwo Psychoterapii Psychodynamicznej zaprosiło wspomnianych Marcusa i Susan Evansów na wrześniową konferencję poświęconą między innymi dysforii płciowej wśród dzieci i młodzieży. W odpowiedzi na to zaproszenie powstał list podpisany przez wiele osób związanych między innymi ze środowiskiem osób LGBT, które domagają się odwołania ich przyjazdu. Zarzucają im, że to, co proponują, to terapia konwersyjna i że za wszelką cenę chcą odwieść młodych ludzi od decyzji o tranzycji. Z kolei zwolennicy ich też twierdzą, że to nieprawda i że Evansowie w swoich pracach i praktyce postulują po prostu dużą ostrożność. Jak pani to ocenia?

– Gdyby to była ostrożność i polikontekstualność, czyli wzięcie pod uwagę całościowego rozwoju młodego człowieka, to ja bym się z nimi zgodziła. Uważne przyjrzenie się wszystkim kontekstom – od rodzinnych po społeczne – jest bardzo ważne. Natomiast ich punkt wyjścia jest inny. A mianowicie taki, że tranzycja jest czymś niepożądanym i że w jakimś sensie, jeśli nie udało się jej zapobiec, to jest... Może „porażka” to za duże słowo, ale że jest to jakiś rodzaj niepowodzenia. Czym innym jest powiedzieć: „Tych dzieciaków jest naprawdę dużo. Musimy bardzo uważać, zindywidualizować opiekę, pracować interdyscyplinarnie, w zespołach – z psychologiem, psychoterapeutą, psychiatrą, pediatrą-endokrynologiem, nie ulegać jednoosobowej ocenie, prowadzić dialog z rodzicami, ze szkołą”. A czym innym jest podejście zakładające, że tranzycja jest czymś zagrażającym, niepokojącym. I uznanie, że „ta młodzież doświadcza tylu głębokich konfliktów wewnętrznych, że dopiero jak to wszystko wyeksplorujemy, możemy rozważyć jakieś interwencje. Już pewnie blisko dorosłości, bo przecież pogłębio-

na psychoterapia zajmuje czas. No, ale na tym etapie to my już nie będziemy zabierać głosu, bo to są osoby dorosłe, a my się przecież zajmujemy dziećmi i młodzieżą”. Z tego, co rozumiem, państwo Evans i terapeuci, którzy zgadzają się z ich punktem widzenia, krytykują model, który nadużywa środków hamujących dojrzewanie, proponując inny, który nadużywa pogłębionej psychoterapii.

W jakim sensie jest to nadużycie?

– Bo taka terapia dopiero po kilku latach może dać prowadzącemu ją odpowiedź, czy to jest osoba, która się kwalifikuje do interwencji. A to nie jest „środek”. To nie jest zachęta do namysłu, który by uwzględniał różne narzędzia w pracy z tym konkretnym pacjentem, tylko druga strona medalu. Robimy coś za szybko? Aha, to zrobmy to za wolno. To nie są osoby, które po prostu prezentują inny punkt widzenia, tylko w sposób uczony, wydawałoby się wyważony, podsycają niepokój już obecny w środowisku specjalistów, nie dając innych narzędzi w zamian. Mówią: „Trzeba poczekać, dogłębnie terapeutycznie sprawdzić. Uwaga, bo to może być zbiorowa histeria, dwadzieścia lat temu mieliśmy falę anoreksji, teraz mamy to”. I zamiast większego zrozumienia mamy wokół tego tematu klimat mroku i jeszcze większego strachu. Naprawdę rozumiem złożoność rozwoju psychoseksualnego, potrzebę ogromnej uważności. Natomiast wśród tej całej ogromnej grupy są dzieciaki, które nie potrzebują psychoterapii. One potrzebują tranzycji. Więc zamiast się panikę i ograniczać dostęp do świadczeń, powinniśmy się zastanowić, jak zredukować błędy, jak edukować kadrę, żeby więcej specjalistów chciało pracować z transpłciową młodzieżą, jak rozmawiać z rodzicami. A nie zamykać i zabraniać.

Weźmy te moje dwie jedenastoletnie pacjentki, które od czwartego roku życia czują się dziewczynkami i powoli wchodzą w skok wzrostu. Gdyby nie można im było podać środków blokujących dojrzewanie, to oczekiwałoby się od nich, że przez kolejne cztery, pięć lat będą znosić, że rośnie im owłosienie na całym ciele, że osiągają wzrost, który wybija je z tłumu, a ich stopy dobijają do rozmiaru 45. A to by oznaczało, że one tej szesnastki mogą nie dożyć. Jedna z nich już teraz budzi się w nocy z koszmarami, że rośnie jej broda, biegnie przerażona do lustra, płacze. Chciałabym zobaczyć, czy gdyby osoby, które chcą ograniczyć wszystko, siadły z tym rozpaczającym dzieckiem, które mówi, że się zabije, bo się boi, że pojawia się u niego cechy męskiego dojrzewania, utrzymałyby tę decyzję.

Rozumiem, że ważne jest, że to dziecko zgłasza pewne sygnały od siedmiu lat. Bo możemy mieć 11-letnie dziecko, które ma takie same koszmary od miesiąca i też płacze. Tyle że to chyba będzie trochę inny koszmar i inny płacz?

– Jasne, natomiast ograniczając dostęp do usług, nie różnicujemy tego w żaden sposób. Coraz bardziej awersyjnie działa na mnie pojęcie „neutralności”, którą część osób postuluje. Powstrzymywanie się od działania też jest działaniem. Decyzja o niewłączeniu jakiejś interwencji społecznej czy medycznej jest decyzją. Jeśli postanawiam nie włączyć na przykład terapii hormonalnych hamujących dojrzewanie, to też decyduję, że ciało tego młodego pacjenta czy pacjentki uruchomi zmiany zgodne ze swoim biologicznym oprogramowaniem, co w przypadku dziecka z dysforią może mieć określone konsekwencje. ●

*Marta Dora

• (ur. w 1986 r.) – doktor nauk społecznych, psycholożka, psychoterapeutka, seksuolożka kliniczna Polskiego Towarzystwa Seksuologicznego, specjalistka psychoseksuolog

CZUŁE SŁÓWKA

Zmyłka

Autorowi podręcznika nie wypadłoby pytać, kto będzie kochał dzieci poczęte metodą in vitro, felietonista ewentualnie mógłby zaryzykować wypowiadanie takich sądów – o ile nie obawia się śmieszności i żenady. A Wojciech Roszkowski ich się zdecydowanie nie obawia.

Michał Rusinek*



Amerykański teoretyk literatury Brian McHale pisał, że literaturę postmodernistyczną od modernistycznej odróżnia tzw. dominanta. W modernistycznej jest ona epistemologiczna, bo ta literatura każe nam zadawać pytania o to, czym jest świat, kim jesteśmy i jakie są granice poznania. W postmodernistycznej mamy do czynienia z dominantą ontologiczną, bo zamiast kwestii związanych z poznaniem mamy zagadnienia istnienia, w szczególności – samej literatury. Literatura postmodernistyczna zadaje pytanie o to, czym sama jest, o własny status językowy, tekstualny i gatunkowy. Podstawowym pytaniem, które zadaje sobie czytelnik, jest pytanie o to, co właściwie trzyma w rękach, czytając książkę. Autorzy postmodernistyczni wciągają czytelnika w grę, myślą tropy, co innego obiecują, a co innego dają. Książką postmodernistyczną par excellence jest „Historia i teraźniejszość” Wojciecha Roszkowskiego.

Zacznijmy od tego, że to wcale nie jest żaden podręcznik. Już po kilku stronach przyzwyczajony do ponowoczesnych gier czytelnik orientuje się, że znajdujący się na okładce podtytuł – „Podręcznik dla liceów i techników” – jest zmyłką. Mamy bowiem do czynienia z felietonem. W słownikach czytamy, że felieton to krótki utwór publicystyczno-literacki na tematy polityczne, społeczne, obyczajowe i kulturalne, napisany w sposób lekki i efektowny, wyrażający punkt widzenia autora. Wszystko się zgadza oprócz jednego: książka Roszkowskiego nie jest to utwór krótki, bo liczy ponad pięćset stron, co czyni go najdłuższym felietonem w historii (i teraźniejszości) polskiej felietonistyki.

Historia stanowi w tej książce nie tyle temat, ile pretekst do osobistych uwag autora, pisanych bardzo charakterystycznym stylem. Nie ma się więc co dziwić, że dowiemy się z niej więcej o autorze niż o przedmiocie jego rozważań: poznamy jego poglądy polityczne, upodobania muzyczne i literackie, stosunek do innych narodów (zwłaszcza Niemców), Unii Europejskiej, Kościoła katolickiego czy namiętność do wykrzykników. Już we wstępie czytamy, że

„to książka, którą z powodzeniem można przeczytać jako powieść historyczną” oraz że każdy może „po nią sięgnąć jako po dobrą lekturę”. To kolejny postmodernistyczny zabieg: podręcznik do historii czytany jako powieść, czyli gatunek fikcyjny, powoduje, że jego wartość merytoryczna zostaje podważona, i to przez samego autora; McHale nazywa to metafikcją historiograficzną.

Nie dostrzegł i nie docenił felietonowego charakteru książki Roszkowskiego recenzent tego utworu, prof. Grzegorz Ptaszek. Zauważył on, że autor, „opisując wydarzenia historyczne, wprowadza wątki współczesne luźno powiązane z treścią rozdziału”. Byłoby to niedopuszczalne w podręczniku, ale jest wysoce pożądane w felietonie. Podobnie jak wytykany Roszkowskiemu „potoczny styl”, który „razi kolokwialnością”. „Komuniści (...) wkręcili się do przemysłu filmowego” (s. 101), „takimi napisami pokryto całą Polskę” (s. 148), „Amerykanie porzucili zatem dotychczasowe niezdecydowanie” (s. 52; docenił rym) – to przecież frazy, które w felietonach czytamy bez zdziwienia. Mogą już za to nieco dziwić takie jak: „izolacja Moskwy na terenie międzynarodowym” (s. 111), bo prawdopodobnie autorowi chodziło o podobnie brzmiącą arenę międzynarodową; „słowa nabrały charakteru terrorystycznego” (s. 121), bo to daleko idąca, acz spotykana w literaturze pięknej, antropomorfizacja; „Mao Zedong stwierdził poetycznie, że naród chiński przypomina czystą kartkę papieru” (s. 242), bo raczej stwierdził poetycko; „symbolem propagandowego kłamstwa komunistów był tytuł partyjnego dziennika sowieckiego »Prawda«” (s. 121), bo raczej nie symbolem, ale przykładem; „Lenin drwił z nich [bolszewików] poza ich plecami” (s. 32), bo chyba miało być „za ich plecami”, ale nie można wykluczyć, że chodzi o to, że Lenin drwił ze wszystkich części ciała bolszewików oprócz ich pleców; „przywodzenie dzieci na świat” (s. 226), bo przywoździć można raczej na myśl, ale czymże jest świat, jak nie wymyślonym przez nas konstruktem? Tak przecież uważają postmoderniści.

Autor ma niebywały talent do kreślenia portretów postaci historycznych kilkoma szybkimi pociągnięciami pióra. Tadeusz Borowski to „były więzień Auschwitz, wybitny literat, ale zarazem od 1948 r. członek PPR, aktywny działacz komunistyczny i informator komunistycznego wywiadu wojskowego” (s. 263); George Bernard Shaw to „ręczny skądinąd dramaturg”, którego „można uznać za teoretyka-prekursora komór gazowych w Auschwitz” (s. 20); Brigitte Bardot była „europejskim symbolem kobiecego seksu”, która „w późniejszym wieku stała się wyznacznikiem poglądów konserwatywnych” (s. 224). Bezpruderyjny wydawca umieścił obok tego fragmentu jej zdjęcie w wieku wcześniejszym.

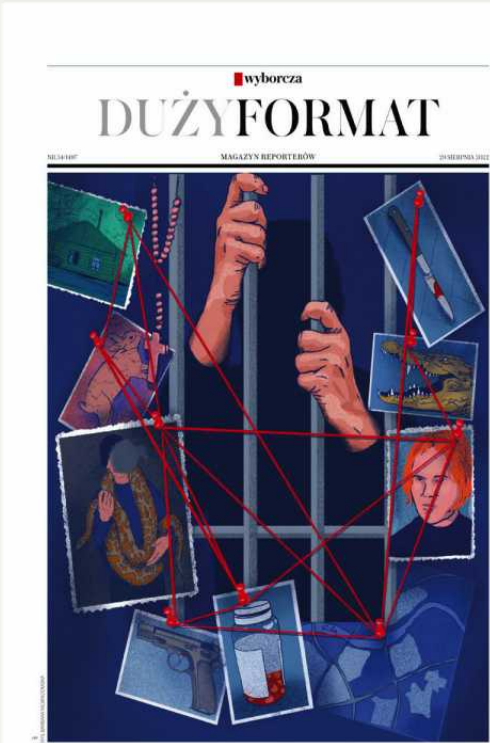
W postmodernizmie, zwłaszcza francuskim, znaleźć można tezę, że wiedza naukowa jest tylko formą przekonań. Teza ta jest szczególnie formą antyintelektualizmu. Roszkowski nie ma zaufania do nauki, poza naukami Kościoła. Ceni neorealistyczne kino włoskie:

„pełne autentyzmu, nie obarczone zbędnym intelektualizowaniem” (s. 228). Natomiast teatr awangardowy ma dla niego „trudną, często niezrozumiałą formę przekazu”. Ze zdziwieniem odnotowuje, że „awangarda z czasem stawała się coraz bardziej popularna”, i ze zgorznięciem dodaje, że awangarda „dziś jest w teatrach normą nierzadko skandaliczną” (s. 504). Prawdopodobnie chodziło mu o formę. Ale pomyłka to znacząca, bo formalizmu i strukturalizmu Roszkowski nie znosi, nazywając ten drugi pogardliwie „modą”. Strukturaliści może i uprawiali jakąś naukę, ale ich badania przyniosły więcej szkody niż pożytku: „Ukazując bogactwo życia ludów egzotycznych, prekursor tego kierunku Claude Lévi-Strauss zaszczerpił Zachodowi wątpliwość w wartości jego własnej kultury” (s. 225). W ogóle intelektualści nic nie rozumieli, bo „przypisywali bardzo często społeczeństwu konserwaryzm”, który uznawali za hamulec postępu, ale „sami nie wiedzieli, o jaki konkretnie wzorzec pozytywny człowieka walczyć” (s. 225). Ech, ci intelektualści.

Forma felietonu pozwala autorowi na nieco większą śmiałość niż na przykład forma podręcznika. Roszkowski o tym wie i to wykorzystuje. Ryzykowne jest przecież posługiwanie się słowem „Murzyn”, jako że jest ono archaiczne i obarczone negatywnymi skojarzeniami kolonialnymi, tymczasem autor śmiało mówi o „kulturze murzyńskiej”, „Murzynach amerykańskich” czy „czarnej rewolucji” i „czarnych gwiazdach jazzu” oraz twierdzi, że ruch Black Lives Matter „cechuje się dużą niechęcią, o ile nie nienawiścią, do białych” (s. 345). Autorowi podręcznika nie wypadłoby pisać o „intelektualnych zbrodniach europejskich” (s. 19), o Unii Europejskiej jako „ponadpaństwowym molochu”, który „ingeruje w suwerenność członków organizacji” i pytać: „Po co taka federacja? Czyżby miała służyć tylko Niemcom?” (s. 59), mówić o „pożytecznych idiotach”, których „nie brakuje i dziś” (s. 32), o „chamskim obyczaju lansowanym w kręgach władzy” (s. 296), czy pytać, kto będzie kochał dzieci poczęte metodą in vitro, czyli „wyprodukowane” w laboratorium „w oderwaniu od naturalnego związku mężczyzny i kobiety” (s. 226). Felietonista ewentualnie mógłby zaryzykować wypowiadanie takich sądów – o ile nie obawia się śmieszności i żenady. A Wojciech Roszkowski ich się zdecydowanie nie obawia. Ja się natomiast obawiam, co będzie, jeśli ten najdłuższy rodzimy felieton zostanie jednak przez kogoś potraktowany jako podręcznik. ●

*Michał Rusinek – wykładowca (literaturoznawstwo na UJ), przekładowca (książki), układowca (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

W PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”



1 ZBRODNIA BEZ
PRECEDENSU
Jaki zapadnie
wyrok?

2 ZGŁASZAM
BRAK STROJU
Co widzą
nauczyciele
WF-u?

3 CHCĘ ŻYĆ
Sąd zbada,
czy naprawdę
rozmawia przez
cyberoko

„Kiedy patrzysz, stoisz na krawędzi świata. Kiedy słuchasz, jesteś w jego centrum”.

Walter Ong

Małgorzata Domagała

Wraz z pierwszą falą koronawirusa, która przyszła do Polski w 2020 r., rząd wprowadził lockdown. Zamknięte zostały szkoły, kawiarnie, hotele, zakłady fryzjerskie, ograniczone było poruszanie się po ulicach. Niemal każda audycja informacyjna w mediach kończyła się zdaniem: „Zostańcie w domu”. – Kasiu, rozmowy przez komunikator to talnie mi nie wychodzą.

Co z tego, że mogę widzieć tego, z kim rozmawiam, ale nie słyszę jego oddechu, westchnień i przede wszystkim nie mogę mu spojrzeć głęboko w oczy.

– Jesteśmy trochę jak fryzjerzy, rehabilitanci, kosmetyczki, bo nasza praca bez kontaktu z człowiekiem twarzą w twarz przestaje mieć sens.

– Z drugiej strony trudno przecież iść na urlop, kiedy dzieje się coś tak wyjątkowego, trudno nie dokumentować, nie chcieć tego nagrać, zrozumieć.

– A gdyby tak poprosić ludzi, aby sami nagrali swój głos. Będzie wtedy naturalny, nieprzetworzony.

Wiosną 2020 r. reportażystki radiowe Katarzyna Michalak i Magdalena Świerczyńska-Dolot z pomocą mediów społecznościowych zapytały znajomych i nieznajomych: „Za jakimi dźwiękami tęsknicie?”. Tak powstał projekt „Nie słyszę”, który składał się z opowieści takich jak te:

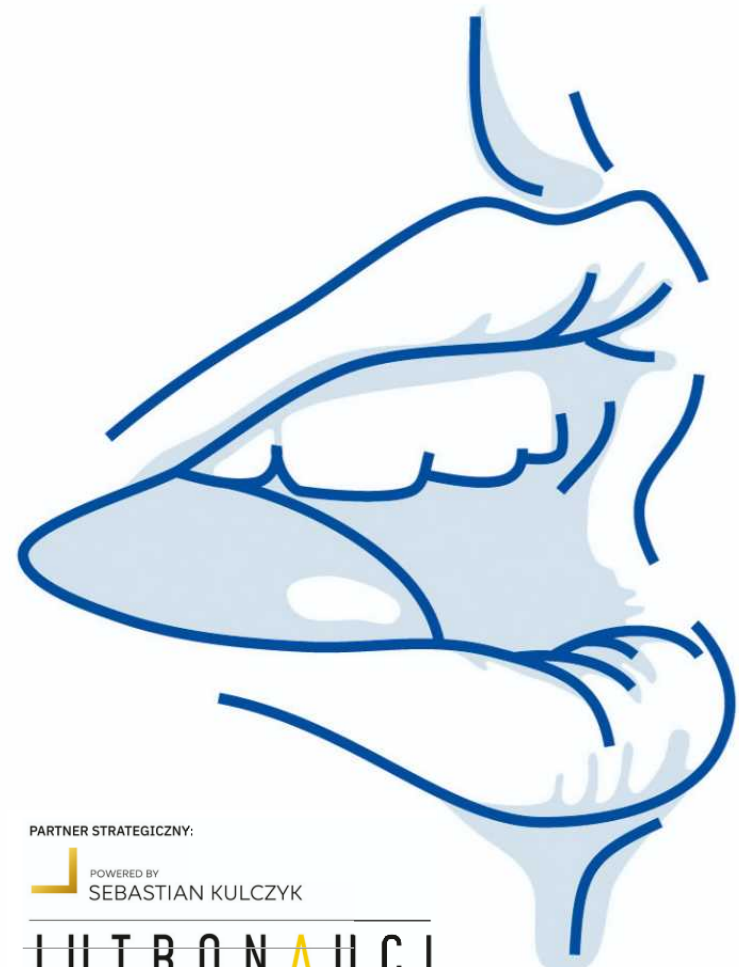
● Siedzę sobie na balkonie, piję kawę. Bardzo lubiłam ten rytuał w takie ciepłe dni jak dziś, bo z mojego balkonu świetnie było słyszeć przelatujące samoloty. Mieszkam w Baninie, niedaleko lotniska. Wiele ludzi pytało nas, czy te samoloty nam nie przeszkadzają. Nigdy! Uwielbialiśmy ten dźwięk.

● Brakuje dźwięków związanych z kościołem. Tego momentu, kiedy w zakrystii mówimy: przygotujmy się do mszy, i następuje chwila ciszy, w której słyszeć szmer z kościoła, ktoś wyciąga chusteczki, uspokaja dziecko.

Ludzie nagrali swoje opowieści, a potem usłyszeli je w audycji. W świecie pandemicznej, zarządzanej odgórnie ciszy ten eksperyment paradoksalnie zbliżył ich do dźwięków. – Dla jednych cisza była przeżywania, bo oznaczała pustkę, samotność, dla innych była odkryciem. Dzięki niej zaczęli słyszeć więcej, wyodrębnić poszczególne dźwięki, które kiedyś były mgłą dźwiękową, usłyszeli na przykład śpiew ptaka. Myślę, że wiele dowiedzieliśmy się o sobie, i fajnie by było, gdy normalność już powróci, nie zapomnieć o tych odkryciach. Niech one nas przemienią w ludzi i lepiej słyszających, i lepiej rozumiejących siebie nawzajem – mówiła wtedy Katarzyna Michalak. Zwieńczeniem projektu „Nie słyszę” był reportaż o takim samym tytule. Za projekt Michalak i Świerczyńska-Dolot odbierały nagrodę na Prix Bohemia 2021 w czeskim Ołomuńcu. Współpraca Michalak i Świerczyńskiej-Dolot przerodziła się jednak w coś większego. Zainicjowały utworzenie fundacji Audionomia, której Świerczyńska-Dolot została prezeską.

ŻYJEMY W AKUSTYCZNYM SMOGU

Audionomia, zarówno fundacja, jak i portal o tej samej nazwie, chce promować reportaż radiowy. Ale nie tylko. Chce, aby to



PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRON UCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

BĄDŹ UCHEM

było miejsce dla wielu różnorodnych inicjatyw, projektów, w których pojawia się refleksja nad dźwiękowym otoczeniem człowieka. A otoczenie przez ostatnie kilkadziesiąt lat zostało po prostu zdewastowane. Jeszcze nie uświadamiamy sobie grozy sytuacji, bo wszyscy co prawda mówią o smogu, ale o smogu akustycznym już o wiele mniej.

Kanadyjski kompozytor Raymond Murray Schafer, do którego przyłgnęło określenie ojca ekologii akustycznej, już w latach 60. mówił o potrzebie wymazywania niepotrzebnych dźwięków i proponował „czyszczenie uszu”. Współcześni akustyczni ekolodzy przestrzegają, że w najgłośniejszych miastach częściej niż gdzie indziej ludzi dotykają nerwica, schorzenia neurologiczne, bezsenność. – Niestety, dla mieszkańców miast ich naturalnym środowiskiem stają się dźwięki wentylatorów, samochodów, pociągów, różnego rodzaju komunikatów, które wysyła świat najnowszych technologii – spostrzega Marcin Dymiter, muzyk, który od wielu lat zajmuje się nagraniami terenowymi (field recording).

Od 20 lat w wieczór poprzedzający pierwszą lipcową noc z pełnią księżyca Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN organizuje wędrowkę po miejscach, które Józef Czechowicz opisuje w „Poemacie o mieście Lublinie”. Wydarzenie jest niezwykle. Z daleka wygląda to wszystko jak procesja Bożego Ciała. Około 150 osób idzie przez miasto, zatrzymuje się w wybranych miejscach i czyta na głos fragmenty utworu. Z poematu dowiadujemy się, jak Czechowicz słyszał Lublin w latach 30. „Na wieży

furgotał blaszany kogucik na drugiej – zegar nucił. Mur fał i chmur popękał w złote okienka: gwiazdy, lampy. Lublin nad łąką przysiadł. Sam był – i cisza”. Ale we współczesnym Lublinie tych dźwięków już nie słyszeć, ciszy nie ma. Jest za to nieustanny ryk samochodowych silników. Uczestnik tego spaceru uświadomił sobie to wtedy, kiedy – jak radzi Dymiter – przystanie na pięć minut na chodniku, zamknie oczy i posłucha miasta.

Mdina, dawna stolica Malty, szczyci się tym, że jest „miastem ciszy”, w którym obowiązuje zakaz ruchu kołowego. Zwolnieni są z niego tylko mieszkańcy i służby publiczne. Na drzwicach wiszą apele do turystów: „Jesteśmy mieszkańcami Mдины, prosimy o zachowanie ciszy”. Tymczasem w Polsce z hałasem przegrywają nawet sanatoria. Ostrzeżenie dostał Nałęczów, który aby utrzymać status uzdrowiska, musi się wyciszyć. Pomoc ma budowa obwodnicy. W miastach hałasu – jednak nie tylko auta. Tętniące życiem nocnym centra są coraz bardziej uciążliwe dla stałych mieszkańców. Niedawno w Warszawie radni Pragi-Północ wpadli na kontrowersyjny pomysł, by przesiedlać tych, którym przeszkadza hałas z knajp. „Nie” głośnym imprezowiczom powiedział jednak Gdańsk, gdzie radni przyjęli uchwałę antyhałasową. Nowe przepisy dają możliwość wystawienia mandatu za hałas przez straż miejską bez konieczności pomiarów akustycznych i wniosków do wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska o karę finansową, tak jak było do tej pory. Jednak mimo tego typu prób hałas w centrach polskich miast wciąż

ma się świetnie. W ciepłe, wakacyjne dni deptaki nie zasypiają.

Raymond Murray Schafer ma rację. Musimy oczyścić uszy, bo smog akustyczny już w połowie nas pożarł. To zadanie dla wszystkich, a dla miejskich planistów w szczególności.

NIECIERPLIWOŚĆ JEST NIEBEZPIECZNA

– Tracimy zmysł słuchu. Poświęcamy około 60 procent czasu porozumiewania się na słuchaniu, ale nie jesteśmy w tym dobrzy – diagnozuje Julian Treasure, ekspert od dźwięku i komunikacji.

– Jest kilka powodów – mówi dalej. – Po pierwsze, wynaleźliśmy różne sposoby zapisu: najpierw pismo, później nagrania dźwiękowe, a potem nagrania wideo. Premia za dokładne i uważne słuchanie po prostu zniknęła. Po drugie, świat jest hałaśliwy. Z tą całą kakofonią otaczającą nas wizualnie i dźwiękowo po prostu trudno się słucha, słuchanie jest męczące – mówi.

Treasure to showman. Jego wystąpienie „Jak mówić, żeby ludzie chcieli słuchać” znajduje się w pierwszej dziesiątce przemówień TED wszech czasów, a jego książka o tym samym tytule to bestseller. Treasure wie, że dźwięk to potęga. W 2003 r. założył firmę zajmującą się audio brandingiem i doradza, jak budować markę firmy z pomocą dźwięku. Przekonuje, że ważne jest nie tylko wizualne logo, ale też to, jak ta marka brzmi. Reklama będzie efektywniejsza, jeżeli do obrazu dobierzemy odpowiedni dźwięk. – Uczyni go odpowiednim do sytuacji. Uczyni go wartościowym. Daj coś ludziom przez ten dźwięk, a nie tylko bombarduj ich czymkolwiek – radzi. Treasure przyznaje, że marzy o świecie, który świadomie słucha. Ale do tego nam bardzo daleko. – Stajemy się niecierpliwi. Nie chcemy już oratoriów, chcemy bitów dźwiękowych. Sztuka konwersacji jest zastępowana, według mnie niebezpiecznie, przez osobiste nadawanie. Stajemy się mniej czuli. Media muszą wykrzykiwać nagłówkami, aby przyciągnąć naszą uwagę. To oznacza, że trudniej nam skupić się na ciszy, na subtelności, na prostocie.

REPORTAŻ DŹWIĘKOWY – DZIENNIKARSTWO, KTÓRE STAJE SIĘ SZTUKĄ

Audionomia wraz ze swoim powstaniem ogłosiła zbiórkę na uruchomienie portalu, który ma łowić wartościowe treści, przedstawiać twórców dźwięku. Tak by wziąć odbiorców za rękę i przeprowadzić przez świat audio, pełen szumu informacyjnego i kakofonii dźwięków.

Szczegółe miejsce w sferze audio Audionomia chce nadać reportażowi dźwiękowemu.

Reportaż radiowy zaczął pojawiać się regularnie w programach europejskich rozgłośni ponad 50 lat temu jako sprawozdanie dziennikarskie. Początkowo był to po prostu czytany przez lektora tekst. Gdy upowszechniła się taśma magnetofonowa, a autorzy mogli rejestrować dźwięki przenośnym sprzętem, reportaż ewoluował. Poza głosem bohaterów autorzy wzbogacali go innymi dźwiękami, z czasem nadawali odpowiedni rytm, tempo, dramaturgię. Losy bohaterów reportaży zyskiwały wymiar uniwersalny, reportażowi radiowemu zaczęło być bliżej do sztuki niż do dziennikarstwa. Nie miał ważnej w mediach cechy, jaką jest szybkość dostarczenia informacji. Na ich autorów, szczególnie w okresie transformacji, patrzyło się jak na przedstawicieli sztuki archaicznej, która do nowych czasów nie pasowała.

Audionomię stworzyli reporterzy radiowi, których drogi z publiczną rozgłośnią się rozeszły (poza Świerczyńską-Dolot to Anna Dudzińska, Bartosz Panek, Hanna Bogoryja-Zakrzewska i Agnieszka Walewicz), i ci, którzy nadal są etatowymi dziennikarzami. To Agnieszka Czyżewska-Jacquemet i Katarzyna Michalak (obie Radio Lublin).

Michalak jest utytułowaną reportażystką, dwukrotną laureatką Prix Italia oraz innych znaczących nagród, takich jak m.in. Prix Europa, Grand Press, Prix Marulic, Złoty Mikrofon.

Jej zdaniem reportaż radiowy jest w Polsce gatunkiem mało zrozumianym, bo chociaż miał swój dom, czyli Polskie Radio, to ono niewystarczająco dbało o promocję. W zasadzie autentyczną i skuteczną promocją gatunku był swego czasu Ranking Reportażu Programu Trzeciego prowadzony razem z „Gazetą Wyborczą”. – Owszem, instytucja nas potrzebuje, bo wypełniamy misję, istniejemy w statystykach dla KRRiTV, ale mogłaby robić więcej, by popularyzować dźwiękową non-fiction – uważa Michalak.

Niedawno Michalak odbierała nagrodę w Konkursie Artystycznych Form Radiowych Grand PIK w Toruniu. Została doceniona za „Naszą kołysankę”, audycję, która przenosi w świat dźwięków Leona, dzisiaj już nastolatka, z „kłątwą Ondyny” (CCHS), rzadką genetyczną chorobą. W mieszkaniu Leona co noc rozbrzmiewają urządzenia kontrolujące oddech, które muszą chłopcu towarzyszyć podczas snu. Cierpiący na tę chorobę każdej nocy narażeni są na śmierć. Podczas gali autorka wygłosiła coś w rodzaju manifestu.

– Jeszcze jedno powiem, bo czuję, że muszę, inaczej się uduszę – zaczęła. – Czas, w którym jesteśmy w historii mediów, naukowcy nawiązują zwrotem audytywnym. Jeszcze nigdy w dziejach tak wiele osób nie słuchało opowieści dźwiękowych. W Polskim Radio od lat tworzą mistrzowie tych opowieści. Ale my wciąż jesteśmy za mało słyszalni. Mamy za mało czasu, za mało przestrzeni, za mało środków, powinniśmy być na czołówkach stron internetowych, bo jesteśmy naprawdę fantastyczną konkurencją dla korporacji, które zarabiają w tej chwili miliony na produkowaniu dokumentów czy słuchowisk. Drodzy szefowie, drodzy panowie, którzy decydujecie o naszych losach, uwierzcie w audiopowieść!

Inicjatorce powstania Audionomii wierzą reportaży dźwiękowy. Co nie znaczy, że stawiają go wyżej od reportaży prasowego czy telewizyjnego. Są przekonane, że wiele



FOT. GETTY IMAGES

historii da się opowiedzieć tylko w formie audio. Według Katarzyny Michalak istotną wartością reportaży radiowego jest jego nieprzetłumaczalność na język innego medium. – Dysponując narzędziami utrwalania dźwięku, mamy dostęp do tych sfer działalności i emocjonalności człowieka, wobec których narzędzia literackiego czy obrazkowego opisu okazują się niewystarczające – mówi.

Chodzi o to, że to poczucie bliskości z drugim człowiekiem trudno przełożyć na język literackiego opisu. Tę intuicję potwierdza w pewnym sensie pierwsza reporterka noblistka Swietłana Aleksijewicz. „Istnieje część ludzkiego życia – ta mówiona, której nie udaje się nam zawłaszczyć dla literatury. Jeszcze jej nie doceniliśmy, nie zadziwiła nas, nie zachwyciła. Mnie jednak oczarowała i uczyniła swoją niewolnicą. Kocham to, jak człowiek mówi... Kocham samotny ludzki głos. To moja wielka miłość, wielka pasja” – powiedziała w wykładzie noblowskim.

Są w życiu zawodowym reportażyistów radiowych momenty przełomowe, kiedy odkrywają, że ich praca jest wyjątkowa, a gatunek, który uprawiają, jest idealną formą dla ważnej dla nich opowieści.

Magdalena Świerczyńska-Dolot w 2018 r. była laureatką konkursu im. Jacka Stwory organizowanego przez Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia. Nagrodą było stypendium na zrealizowanie reportaży. Zdecydowała, że tema-

*Marzymy o świecie, w którym
dzięki uważnemu słuchaniu
lepiej siebie zrozumiemy.*

*Zwrot audytywny to szansa
na nową wspólnotę
– mówią twórczynie portalu
Audionomia*

tem będzie jej własna historia. W momencie realizacji materiału była w ciąży. Od lekarzy usłyszała, że dziecko, które nosi, może mieć zespół Downa. Reportaż „Kiedyś ci o tym opowiem” jest zapisem myśli i wątpliwości, relacją z oczekiwania na ostateczną diagnozę. Autorka radiowy mikrofon zabiera do lekarza, rejestruje sprzeczki z mężem. On w pewnym momencie przyznaje: – Żadne z nas nie powiedziało tego wprost, ale miałem takie poczucie, że gdyby faktycznie okazało się, że będzie źle, to nie wiem, czy nie przerwalibyśmy tej ciąży. Autorka dzieli ze słuchaczami tak intymne momenty, że momentami mogą się poczuć wręcz zakłopotani. Forma reportaży audio sprawiła, że słuchacz był w centrum tej historii, słyszał niemal każdy szmer tej sytuacji.

Z publicznego Radia Gdańsk Świerczyńska-Dolot odeszła w 2021 r., bo, jak tłumaczyła, praca reportera potrzebuje przestrzeni twórczej, podejmowania tematów

ZAPROSZENIE DO GDAŃSKA

• Fundacja Audionomia organizuje Ogólnopolską Konferencję Reportażu Dźwiękowego, która odbędzie się w Gdańsku (9-11 września). Skierowana jest głównie do osób zajmujących się dźwiękiem, jednak dwa wydarzenia będą otwarte dla szerokiej publiczności. To debata w Europejskim Centrum Solidarności oraz gala w Centrum św. Jana. Przyznana zostanie nagroda Audionomia Award 2022 za najlepszy reportaży dźwiękowy. Autorzy nadesłali 33 prace, z których jury wyłoniło dziesięć finałowych.

• Wszystkie szczegóły dotyczące konferencji dostępne są na stronie **audionomia.pl**

• Fundacja łączy siły praktyków i badaczy, czyli reportażyistów i znawców radia. Zarząd tworzą: Magdalena Świerczyńska-Dolot, Agnieszka Walewicz, Anna Dudzińska, Katarzyna Michalak, Agnieszka Czyżewska-Jacquemet. W radzie fundacji są Bartosz Panek, Joanna Bachura-Wojtasik i Hanna Bogoryja-Zakrzewska. W radzie patronów zasiedli m.in. Janina Jankowska, Małgorzata Szejnert, Michał Nogaś.

trudnych, często kontrowersyjnych, a o tę wolność po „dobrej zmianie” było trudno.

NARYSUJMY DŹWIĘK

Oko – ucho. Na podstawie tej opozycji badacze wyodrębnili epoki sensoryczne. Społeczeństwami ucha były wspólnoty plemienne, z którymi wiązała się kultura oralna. Społeczeństwem oka są społeczeństwa nowoczesne, w których kulturze dominują przekazy wizualne. Za początek schyłku kultur oralnych uważa się wynalezienie pisma alfabetycznego, chociaż o przełomie można mówić w związku z upowszechnieniem druku. W XX w. swoje dołożyła telewizja. Jednak paradoksalnie przebadzowany świat pełen dźwiękowego chaosu jest światem w którym więcej słuchamy. Duża w tym rola podcastów i platform, dzięki którym możemy ich w dowolnym momencie odsłuchiwać.

Audionomia stworzyła program dla szkół i przedszkoli, który uwrażliwia na sferę audio. Najmłodszy mogą zacząć od prostych zadań. Słyszczą na przykład dźwięk zegara, a potem go rysują. Puszczane są im dźwięki przyjemne i nieprzyjemne, a potem nauczyciel pyta, dlaczego jeden dźwięk lubią, inny nie. Jakie emocje wiążą się z tymi dźwiękami? Jakie wspomnienia wywołują?

Treasure: „Słuchanie jest kluczem do pojmowania. Świadome słuchanie zawsze tworzy zrozumienie. I tylko bez świadomego słuchania może się zdarzyć coś takiego: świat, w którym nikt nikogo nie słucha, jest naprawdę strasznym miejscem”.

Michalak: „Gdy słuchasz tak, że zaczyna ci się wyświetlać twarz człowieka, to nawiązujesz z nim relację, dłużej ta opowieść w tobie siedzi. Słuchanie jest po to, by głębiej żyć, lepiej przeżywać rzeczywistość, relacje z bliskimi, budować współczucie, empatię, budować wspólnotę. Są tacy, którzy rodzą się z umiejętnością empatycznego słuchania. Słyszczą historię ludzką wypowiedzianą głosem bohatera i od razu czują się blisko osoby, a są tacy, którzy wręcz tego nie chcą, jest za trudna, wręcz odpychająca, może nie wypada tak blisko podejść. Ale warto spróbować dać każdemu szansę, by odkrył to, jak słyszy. Jeżeli ma chociaż szczątkowy słuch oralny, to z niego może tylko wyniknąć dobro, ale trzeba go pobudzić”. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości?

Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w naj-

rozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

Holandia
w 2018 roku
uchwaliła prawo,
że do 2025 roku
50 procent
materiałów
w każdym budynku
ma pochodzić
z recyklingu.
A do 2035 roku
100 procent.

ZE **ZBIGNIEWEM MAĆKÓWEM**, ARCHITEKTEM,
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Pan naprawdę wierzy w ideę wspólnotowego miasta?

– Nie mam wyjścia, bo w takich miastach będziemy żyć.

Gdyby ktoś nabazgrał na elewacji mojego domu postulat: „Jeść was, społeczniki”, odczuwałabym co najmniej zwątpienie, że na wspólnym terytorium da się żyć w przyjaźni.

– Nie byłoby tego napisu i pani by się nie ustawiła w kontrze do miasta jako idei wspólnej...

...nie ja ustawiam się w kontrze, tylko autor napisu...

– ...gdyby nie to, że mając w tej kamienicy biuro, nie mogliśmy przeboleć, że na wewnętrznym podwórku na wysokość dwóch metrów zalegają hałdy powojennego gruzu.

Tutaj? Na reprezentacyjnym Podwalu?

– Tak. I nie przesadzam, ale funkcjonowała tu jedna wielka toaleta. Ludzie wchodzili na podwórko przez wyłom między kamienicami, a nazajutrz rano znajdowaliśmy pod oknami artefakty świadczące, że spektrum ich zachowań było szersze niż tylko fizjologia. Po pół roku stwierdziliśmy, że nie chcemy się temu biernie przyglądać, i wydzieraliśmy ten dziedzińiec od miasta. Zanim to było modne, odbetonowaliśmy go, zasadziliśmy drzewa i krzewy, założyliśmy ogród deszczowy, który pełni funkcję zbiornika retencyjnego, i zbudowaliśmy małą architekturę. Korzenie drzewa, pod którym siedzimy, napowietrzyliśmy aeratorem, dowiadując się przy okazji, że w 1946 roku zasadził je mąż naszej sąsiadki i nadał mu imię Mietek.

Płacicie miastu za ogród, z którego korzystają wszyscy?

– Skoro nie można inaczej? Nazwaliśmy go tarasem sąsiedzkim i kiedy rano przychodzimy do pracy, mamy dowody na to, że jest intensywnie używany. Gdybyśmy założyli przed wejściem na swój teren szlaban, albo i lepiej – siatkę, bramę i domofon – nie mielibyśmy tego napisu. Ale ta opowieść pokazuje, jak działa miasto. Że jest to taki twór, w którym wszyscy muszą iść ze wszystkimi na kompromis. I my godzimy się na to, że ktoś tu wieczorem siedzi, pali trawę, pije wódkę albo uprawia seks czy bągrze po ścianach, a za to my możemy tu przesiadywać w dzień. Marzyłbym, by sąsiedzi organizowali na tym tarasie wspólne śniadania, może to się jeszcze wydarzy.



Tatuaz NA SKÓRZE MIASTA

**Miasta to nasza przyszłość, a ponowna migracja na wieś
jest postpandemiczną i chwilową korektą nieuniknionego trendu**

1 RP

Dlaczego nie zamazaliście tego napisu?

– Właśnie dlatego, że respektujemy głos osoby, która go napisała. „Czasami człowiek musi, inaczej się uduśi”, więc niech maluje. Lepiej by było, by swoją potrzebę ekspresji ukierunkowywał bardziej pozytywnie, ale uważam, że nie możemy żyć w strachu, że napisanie na murach mniej lub bardziej istotnego dla autora postulatu jest przestępstwem, za które grożą ogromne sankcje. Z napisami w mieście jest jak z tatuażami. Są ludzie, którzy w ten sposób wyrażają siebie.

Gdzie jest zatem granica?

– W czasie ulicznych protestów Strajku Kobiet po wyroku fejkowego Trybunału Julii Przyłębskiej w sprawie zakazu aborcji przez kilka tygodni wieszaliśmy w oknach pracowni plakaty z błyskawicami, które wysportowana młodzież o innych poglądach regularnie obrzucała jajami. Umyliśmy elewację, ale kiedy od rzucania jajkami przeszła do zaklejenia nam zamków w drzwiach, zawiadomiliśmy policję.

Ludzie się grodzą również po to, by założyć monitoring i nie mieć pobazgranych elewacji.

– Nie rozumięją idei miasta. Myślą, że miasto to jest twór, w którym można tylko brać, niekoniecznie dawać. Kompromis ich zdaniem zasadza się na tym, że oddają miastu podatki, a idea miasta jest nieco głębsza. Przestrzeń powinna być demokratyczna, a jeśli trudno nam na to przystać, to nie budujemy miast, żyjemy w zamkniętym społeczeństwie. Jakie będą konsekwencje? Wystarczy spojrzeć na postpandemiczne statystyki dotyczące chorób psychicznych, nerwicy lękowych i innych zaburzeń u wyalienowanych ze swojego środowiska ludzi. Potrzebujemy spotkania z drugim człowiekiem, to oczywista oczywistość.

Swoją drogą, bywa, że te pozornie bezpieczne enklawy stają się siedliskiem patologii bardziej wysublimowanych niż picie wódki pod Mietkiem. Wszelkie zachowania, które stoją w kontrze do zachowań większości, są upubliczniane na forum. A to pies nasikał nie tam, gdzie trzeba, a to ktoś zaparkował na miejscu, które zwyczajowo należy do kogoś innego, i nazajutrz ma przebite opony albo jakieś dziecko jest za głośne. Narasta coraz więcej reguł, które stają się coraz mniej demokratyczne.

To czym w takim razie jest miasto?

– Synergią. Układem społecznym, w którym dwa plus dwa równa się dziesięć i te wartości dodane po przelożeniu na skalę powodują, że życie codzienne staje się łatwiejsze. Jego jakość zależy oczywiście od budżetu, jaki uda się z danej grupy społecznej zmontować.

Chyba znów mam wątpliwości, bo po raz pierwszy od ćwierćwiecza więcej ludzi wyprowadziło się na wieś, niż zdecydowało się na zamieszkanie w mieście.

– Po fali wyprowadzek na wieś po 1989 roku ludzie zorientowali się, że zrealizowane marzenie o życiu na przedmieściach w jednorodziennym domku wcale nie gwarantuje komfortu. I zaczęli wracać do miast, bo zrozumieli, że są tańsze, bardziej ekologiczne, koszty utrzymania są niższe, a życie lepsze, jeśli brać pod uwagę czynniki rozwoju społecznego. Miasta to nasza przyszłość, a ponowna migracja na wieś jest postpandemiczną i chwilową korektą nieuniknionego trendu.

Spanikowaliśmy, że nie będziemy mogli wychodzić na dwór i czeka nas izolacja w blokach?

– Prawdopodobnie nie doszłoby do tego tąpnięcia świadomości, gdyby rząd nie zamknął parków, nie zakazał wychodzenia z domów, biegania i spacerów. Ludzie pomysłeli, że jeśli zdarzą się kolejne lockdowny, to życie w izolacji może być nie do zniesienia. Wyobrazili sobie, że jeśli będą mieli mały ogródek, to przynajmniej wyjdą na dwór i od nikogo się nie zakażą. I stąd to chwilowe odwrócenie trendu, zresztą nie tylko w kwestii wyprowadzki na wieś. Wojna w Ukrainie i kolejne fatalne decyzje rządzących zawiesiły myślenie proekologiczne. Nie tylko, że wraca węgiel, ale jeszcze ci, którzy ogrzewają swoje domy kopciuchami, dostaną od rządu wsparcie w postaci dotacji na zakup węgla.

Od kilku lat samorządy zachęcały do wymiany pieców i inwestowania w odnawialne źródła energii, a tymczasem rząd nagrodził tych, którzy wciąż palą węglem. Ewidentnie gra na krótki horyzont i na najbliższe wybory w obawie, że ludzie wywiozą ich na taczkach, kiedy rachunki za prąd przyjdą po trzy-cztery tysiące. To jest krótkotrwałe i niemądre tąpnięcie, bo niebawem wrócimy do agendy, że wyrzucamy piece węglowe i dbamy o środowisko.

To co było robić?

– Trzeba czasami ustać, jak w ringu. Możesz dostać w papę i paść na deski, ale możesz też próbo-

wać ustać. I w pandemii trzeba było ustać wyprawadzkę, a w kwestii ekologii kierować się perspektywą długoterminową, a nie mieć na uwadze tylko dobrostan nasz i naszych dzieci. Bo nawet jeśli teraz zapewnimy im superkomfort i wypasione mieszkania z klimatyzacją, to kiedy nas zabraknie, one będą się smażyć w 50-stopniowych upałach i to nas obwinia o to. Bo kryzys i katastrofa klimatyczna są antropogeniczne, mimo że premier Morawiecki utrzymuje, że tak nie jest.

Pana biuro wybudowało we Wrocławiu biurowce i domy mieszkalne nagradzane w wielu konkursach. Z klimatyzacją.

– Ostatnio rozmawiałem z człowiekiem, który mieszka w Thespianie, za który dostaliśmy mnóstwo nagród. Projektowaliśmy ten budynek jako współczesny dom mieszczański.

Piękny, szklany dom.

– Piękny, ale ów mężczyzna powiedział, że zepsuła się klimatyzacja i ma w mieszkaniu 46 stopni. Uchylenie okien niewiele daje, bo uchylić ich za bardzo nie można, i musi wyjechać, bo nie jest w stanie w takim upale żyć. A ja mieszkam w kamienicy z 1906 roku, dwa domy obok. Dzieli nas 50 metrów odległości i 25 stopni Celsjusza, bo u mnie w największe upały temperatura wynosiła 21 stopni. Ludzkość wiedziała, jak budować budynki pasywne, ale zamiast korzystać z jej wiedzy, zachłysnęliśmy się nowoczesnością i uzależniliśmy jakość zamieszkiwania od technologii. A ta, jak widać, coraz częściej może zawodzić.

Projektując elewacje ze szkła, nie myślał pan o zmianach klimatycznych?

– Myśleliśmy, że te zmiany będą rozłożone na wieki bardziej niż na dekady, a tymczasem się okazało, że zachodzą na naszych oczach. Thespiian został oddany do użytku zaledwie 12 lat temu.

◀ **Żarniki we wrocławiu. Major Architekci zaprojektowali budynek, w którym są mieszkania dla seniorów, mieszkania na wynajem, przedszkole. Jest jedno duże wspólne patio i mniejsze powierzchnie wspólne. Galerie, z których wchodzi się do prywatnych mieszkań, mają otwarcia, gdzie można usiąść i porozmawiać z sąsiadem.**

FOT. MACIEJ LULKO

cy tym światem zacząną fiskalizować emisję i ślad węglowy liczony rachunkiem ciągnionym – czyli od momentu wyprodukowania materiałów, poprzez transport, wbudowanie, eksploatację i końcową utylizację.

Jeśli mierzyć wartość inwestycji, to 15 procent ceny stanowi jej budowa, a 75 procent koszty eksploatacji.

– Dlatego powtarzam: mury, a nie rury. Musimy skończyć z materiałami, które są tylko okładzinami, na rzecz trwałych i wielokrotnego użytku. Ścianki działowe czy podwieszane sufity są najmniej ekologiczne ze wszystkich materiałów, bo do ceny ich montażu trzeba doliczyć również energię wyłożoną na ich demontaż, transport, utylizację, bo przecież trzeba je gdzieś zakopać i czekać parę tysięcy lat, aż się rozłożą. To są wszystko rzeczy, którymi niepożrebnie obciążamy świat. Ceglaną ścianę działową można rozebrać i przenieść w inne miejsce. A przestrzeń wydzielić kwietnikami.

Na razie nie możemy się odważyć, żeby z tych okładzin, wydzieleni i z klimatyzacji zrezygnować, ale widzę już symptomy zmian.

Austriackie biuro Baumschlager Eberle Architekten zbudowało obiekt oznaczony symbolem 2226, w którym mieści się jego siedziba. Stoi na przedmurzu Alp i nie ma ogrzewania, wentylacji i klimatyzacji. Są tylko okna, słońce, ludzie, lampy i komputery.

Energia do ogrzania pomieszczeń pochodzi z ludzi, lamp i komputerów?

– Tak. Jeden komputer równa się jeden grzejnik. W naszej pracowni pracuje 50 i każdego ranka otwieramy okna, co z punktu widzenia zużycia energii jest głupotą, żeby ciepło wyprodukowane przez nie nocą wypuścić i ogrzać nim Wrocław. Na razie nie umiemy wykorzystać ich energii, ale zespół austriackich inżynierów potrafił i zaprojektował instalację w budynku tak, że wytwarzana przez komputery energia jest akumulowana w podłogach i ścianach. Czujniki mie-

Wciąż dominuje potrzeba posiadania pilota, którym ktoś będzie regulował temperaturę o pół stopnia, bo ważna jest jego strefa komfortu. A musimy zacząć z niej wychodzić i jak jest zimno, to założyć sweter, i wietrzyć, kiedy jest gorąco.

Nie chcę nawet myśleć, co się dzieje w Sky Tower.

– Jeśli klima nie działa, nie da się tam żyć. A z rur bierze się ogromny ślad węglowy. Nie chodzi już tylko o zużycie energii i wody, ale o ich wymianę. W instalacji mnożą się grzyby i drobnoustroje, trzeba ją czyścić, a jeśli nie, to co pięć lat wymieniać.

Robimy teraz kolejną rewitalizację Renomy i wszystkie kanały, które 10 lat temu zamontowaliśmy, wywozimy ciężarówkami na śmietniska. Ja wiem, że to, co mówię brzmi niewiarygodnie, ale lepiej się nawrócić i zreflektować, niż powielać te same błędy.

A popelnione można naprawić?

– Staramy się. Kupiliśmy kotłownię z lat 50. zlokalizowaną na terenie dawnego Pafawagu i adaptujemy ją na biuro. Więc po pierwsze, recykling, czyli wykorzystujemy obiekt, który już stoi. Po drugie, inwestujemy nie w rury, tylko w mury. Robimy budynek pasywny, o grubych ścianach, które będą akumulowały ciepło zimą albo chłód w lecie, z niewielkimi oknami, otwieranymi przez sterowniki o określonych porach, co zapewni wentylację i schłodzenie pomieszczeń. Klimatyzacji nie będzie. Budynek obsadzimy drzewami, które będą generowały tlen, absorbowały dwutlenek węgla i dawały cień, jak tutaj.

Inwestor, któremu spodoba się wasza pracownia, zapyta o koszty i wybierze dla swojego projektu ścianki z karton-gipsu.

– Niekoniecznie, bo ja będę miał twardy argument: adaptacja obiektu kosztuje pięć razy mniej niż postawienie nowego biurowca. Zwłaszcza gdy rządzą-

rzą temperaturę, wilgotność, stężenie dwutlenku węgla i inne parametry i w razie podwyższenia wskaźników system sterowania otwiera okna na tyle sekund, by temperatura spadła do 22 stopni Celsjusza. Stąd nazwa „2226”, bo odpowiada ona przedziałowi temperatury komfortowej dla człowieka. Ten budynek zużywa tylko wodę i prąd.

Baumschlager Eberle Architekten są dużym międzynarodowym biurem i ich projekty niskoemisyjnych budynków o symbolu 2226 powstają na całym świecie. I z tego, co wiem, będą budować taki obiekt w Polsce.

Pytanie, czy takie projekty staną się normą.

– To trudne, bo 95 procent biurowców budują deweloperzy biurowi, którzy już na etapie dziury w ziemi sprzedają je do funduszu, który nimi zarządza. Czyli horyzont jest wąski i krótki – deweloper nie chce budować czegoś, co mu się zwróci po 20 latach, bo i tak sprzedaje na pniu. Podobnie jak deweloper mieszkaniowy, który sprzedaje i zapomina, a klient zostaje z opłatami i ogrzewaniem.

Ale ze Stanów zaczynają przyjeżdżać klienci, którzy mówią: sorry, ale my wchodzimy tylko w totalnie zielone budynki, bo mamy to zapisane w naszej firmowej konstytucji. W Dolinie Krzemowej świadomość ekologiczna firm jest tak daleko posunięta, że wpisują ją w swoją misję i strategię rozwoju. I kiedy słyszą: ale my tu robimy inaczej, odpowiadają: ale my takiej powierzchni nie chcemy. To już nie promil, ale procent inwestorów. Niestety wciąż dominuje potrzeba posiadania pilota, którym ktoś będzie regulował temperaturę pół stopnia wyżej, pół niżej, bo ważna

jest jego strefa komfortu. A musimy zacząć z niej wychodzić i jak jest zimno, to założyć sweter, i wietrzyć, kiedy jest gorąco.

Jak sobie wyobrazić miasto przyszłości?

– Myśląc o przyszłości, musimy zacząć od zredefiniowania kilku pojęć, w tym społecznej hierarchii potrzeb. Jej wyznacznikiem nie będzie zgromadzony kapitał, tylko wolny czas i jakość życia, co, przynaję, może być wypadkową posiadanych pieniędzy również. Automatyzacja i sztuczna inteligencja będą powszechne, a my, pracujący krócej niż dziś, będziemy mieć nadmiar wolnego czasu. I miasta będą rezerwuarem możliwości zagospodarowania tego czasu. Mam nadzieję: w ważne społecznie, psychicznie i psychologicznie, jeśli chodzi o relacje, aktywności.

Poza tym musimy budować miasta z myślą o starych ludziach, bo dramatycznie spada dietność, a długość życia zwiększa się wraz z postępem medycyny. Coraz więcej start-upów stawia sobie za cel kategorię longevity, czyli zadbanie o to, by długie życie od 65 do 105 lat nie było wegetacją. Kiedyś rozmawialiśmy o tym, że stary człowiek może być społecznie bardzo użyteczny. Ma niezwykły bagaż doświadczeń, intuicję, która jest już de facto wiedzą, ma inną cierpliwość i miękkie umiejętności, których brakuje ludziom o wysokim poziomie testosteronu. Zapadło mi w pamięć, jak znajomy skomentował kiedyś zachowanie dość chamskiego człowieka: chyba nie miał babci. To pokazuje, że trzecie pokolenie jest nieodzowne w wychowaniu.

Ale nasze więzi rodzinne luzują się.

– I możliwe, że nowym tworem wielopokoleniowym nie będzie mieszkanie i nawiązywanie relacji ze swoją babcią, tylko z obcymi starszymi ludźmi.

Wykorzystaliście tę intuicję, projektując zespołowo we Wrocławiu słynne osiedle WUWA2.

– Major Architekci zaprojektowali budynek, w którym są mieszkania dla seniorów, mieszkania na wynajem, miejsca do socjalizowania się i przedszkole.

Jest jedno duże wspólne patio i mniejsze powierzchnie wspólne. Galerie, z których wychodzi się do prywatnych mieszkań, mają otwarcia, gdzie można usiąść i porozmawiać z sąsiadem.

Śmiali architekci modernizmu zakładali, że ułożą miasto tak, że w jednym miejscu będzie dzielnica pracy, w innym dzielnica nauki, sportu, wypoczynku i kultury, a ludzie będą przemieszczać się autostradami z jednej do drugiej. Dziś musimy mocno zmodyfikować tę wizję.

Zachwycaliśmy się kiedyś berlińskim Kreuzbergem, ale inne dzielnice Berlina też zaczynają się robić fajne. Mają zielen, witalne partery z butikami i dobre mieszkania.

Szeroko rozumiana dostępność musi być priorytetem w planowaniu miast.

Zgodnie z dzisiejszymi przepisami winda jest wymagana w budynkach powyżej czterech kondygnacji, ale za chwilę każdy budynek będzie musiał być wyposażony w windę, bo jeśli ktoś ma problemy z chodzeniem, a jest sprawny mentalnie, to będzie jej potrzebował i na pierwszej kondygnacji.

Również usługi muszą znaleźć się w zasięgu ruchu pieszego. I nie może być tak, że najbliższy park mamy dwa kilometry po krzywych chodnikach. Miasto musi być równomiernie nasycone funkcjami, które budują jakość życia. I to nie są tylko sklepy i restauracje, ale miejsca zielone w zasięgu spaceru.

To jest właśnie „projektowanie po ludzku”?

– Z zastrzeżeniem, że projektujemy po ludzku dla wszystkich grup społecznych. Bo mówienie, że trzeba je projektować również z myślą o niepełnosprawnych, jest,

że zacytuję „Nietykalnych”, grubym nieakttem. Za chwilę będziemy mieli mniej sprawnych ludzi, dlatego wszystkim powinno być dostępne dla wszystkich.

Co przyszłość, którą pan kreśli, oznacza dla architektury?

– Witruwiusz powiedział, że dobrą architekturę cechuje firmitas, utilitas, venustas, czyli trwałość, funkcjonalność i piękno. Reinterpretując jego triadę, powiedziałbym, że przyszłością architektury jest trzy razy re. Re-use, re-cycle i re-duce.

Trwałość oznacza, że budynki trzeba tak projektować, by można je było przebudowywać i nie burzyć tych, które już stoją, zmieniając im co najwyżej funkcje.

Będziemy zmuszeni przeformatować myślenie o miejscowych planach zagospodarowania przestrzennego i nie zakładać, że w jednym miejscu będzie mieszkaniówka, a w innym usługi publiczne. Planujemy i budujemy hybrydowo – dziś mieszkaniówka, jutro biura, a pojutrze hotel, i wszystko w tym samym budynku. Przywołam przykład naszej kamienicy, która pełniła już kilka funkcji, co dowodzi, że jeśli budynek jest dobrze zbudowany, to niewiele trzeba zrobić, żeby on się przepoczwarzał.

Przepoczwarzenie się czeka galerie handlowe. Pan po raz kolejny przebudowuje kultową Renomę. Co się zmieni?

– Galerie są obiektami komercyjnymi, zwykle międzynarodowych kapita-

łów, które dzięki badaniom trendów i zjawisk społecznych mają odpowiednie czucie rzeczywistości. Tak jak wcześniej kapitał ten wypręparował z DNA miasta jego podstawowy kościół i zaprojektował galerie tak, by oddawały układ urbanistyczny miast, tak teraz antycypuje zmiany społeczne.

I zmieniamy Renomę w kierunku modelu leisure, czyli dobrego spędzania wolnego czasu. Na podobnym modelowym założeniu działa hala Koszyki w Warszawie, ale to miejsce jest trochę zgentryfikowane, bo nie ma w nim typowego jedzenia i nie można w nim zrobić typowych zakupów, więc nie jest dostępne dla wszystkich. W Renomie tak jak nie było do tej pory żadnej knajpy, tak powstanie ich kilkanaście. I w tej strefie gastro będą zatopione butik. Handel, jaki znamy, się kończy, odchodzi do internetu, a w najlepszym razie do omnichannel – prezentacji w showroomie, gdzie można dotknąć towaru, a potem kupić go w sieci. I ten model implementują galerie – czyli jedzenie, spotkanie ludzi, a przy okazji zakupy.

Galerie są nie tylko w centrum.

– Firma Atrium, która jest właścicielem ponad 30 galerii w Polsce, zapowiedziała w prasie, że wyjąwszy Warsa, Sawę i Juniora, gdzie będzie utrzymywała funkcję handlową, biur i relaksu, przebuduje pozostałe w mieszkania, domy seniora, domy studenckie. Nasza pracownia realizuje dwa takie projekty dla różnych podmiotów.

Domy starości w galeriach?

– Proszę zapomnieć o domach starości. Ludzie będą zamieniali mieszkania na mniejsze, bo kiedyś żyli w układzie dwa plus dwa, ale dzieci dorosły, oni dojechali do sześćdziesiątki, rozstali się, mają lub nie związki dochodzące i potrzebują małego, ciepłego mieszkania, w którym mogą monitorować koszty, z dostępem do miasta. Niekoniecznie wielkiej kuchni, gdzie można gotować kilkudaniowe obiady, ale z kantyną na dole, gdzie będzie można zjeść taniej niż w restauracji. Więc przyszłością jest re-use.

Co może być szansą dla zabytków.

– One są przygotowane do zmiany funkcji lepiej niż nowo budowane obiekty. Ale żeby je adaptować, potrzebna jest rewolucja w przepisach i w podejściu służb konser-

watorskich. Jeżeli coś było młynem, wspominam o tym, bo jesteśmy świeżo po rewitalizacji Młyna Maria, nie będzie tym młynem dłużej. Nie ma miejsca na młyn w centrum milionowego miasta, bo nie da się końmi dowieźć pszenicy. Wszędzie na świecie zabytki dostają drugie, trzecie życie i nikomu nie przychodzi do głowy, żeby żyły tym pierwszym. Tymczasem u nas mnożą się wobec inwestorów wymagania, a oni rezygnują, bo koszty i kompromisy rosną w sposób geometryczny. Poza tym jesteśmy jedynym krajem w Europie, a może i w świecie, który wprowadza sankcje podatkowe za to, że ktoś się zajmuje zabytkami. Często mówi o tym prezes grupy inwestycyjnej Arche, która jako trzon działalności przyjęła rewitalizację obiektów zabytkowych pod hotele. Dopóki zabytek postindustrialny popada w ruinę, nie płaci się podatku od nieruchomości, ale kiedy zostanie zrewitalizowany, płaci się podatki tak, jakby była w nim prowadzona działalność przemysłowa. Polskie prawo nie widzi różnicy między budynkiem industrialnym a postindustrialnym wyłączonym z funkcji przemysłowej. Na świecie jest odwrotnie.

Zajmijmy się re-cycle, chociaż to chyba oczywiste.

– Na razie w sferze idei. Ale Holandia w 2018 roku uchwaliła prawo, że do 2025 roku 50 procent materiałów w każdym budynku ma pochodzić z recyklingu. A do 2035 roku 100 procent. A to oznacza, że w Holandii w 2035 roku nie będzie można wyprodukować ani jednej nowej dachówki, okna i tak dalej, chyba że materiały do produkcji będą w całości pochodziły z recyklingu. To zaś oznacza, że wszystkie kopalnie surowców, które wydobywają aluminium na potrzeby przemysłu, zostaną zamknięte. Jedynym aluminium w obrocie będzie to wyprodukowane wcześniej. To nie są pięknoduchowskie deklaracje w stowarzyszeniu architektów, tylko ustawa. Prawdopodobnie reszta Europy przyjmie podobne wymagania do 2040 roku, a my dziesięć lat później.

A czym będzie piękno w architekturze przyszłości?

– Piękno to redukcja, powinno polegać na umiarze. Powściągliwość zamiast puszenia się. Architektoniczny protestantyzm w miejsce katolicyzmu.

Oprócz „trzy razy re-” czeka nas zagęszczenie miast.

– Nie zdajemy sobie sprawy, że jakość życia w mieście jest wypadkową gęstości zabudowy. Jeżeli we Wrocławiu na metrze kwadratowym żyłoby pięć razy więcej ludzi, jak to ma miejsce w Paryżu, albo trzy razy więcej, jeśli porównać Wrocław z Berlinem, to mielibyśmy w okolicy dużo więcej restauracji, a nie jedną, mielibyśmy dobrą szkołę i park, a nie skwer do odsikiwania psów. I tak dalej.

Ale nie chcemy zagęszczać miast, bo za chwilę nie będziemy mieć w mieszkaniu światła słonecznego i żadnej intymności.

– Gdybyśmy nagle wyobrazili sobie, że wszyscy chcemy mieszkać w domkach, to Wrocław miałby wielkość Huston, które ma 160 km długości.

Z zagęszczaniem jest jak z cholesterolem, jest dobry i zły. Można zagęszczać mądrze i niemądrze, czyli tak, że ludzie patrzą sobie w okna. Ale nie mamy wyjścia, musimy się posunąć, bo gęste miasto generuje mniejsze koszty.

Odpowiednia liczba ludzi wymaga obsłużenia przez odpowiednią infrastrukturę i jeżeli ci ludzie żyją we w miarę poukładanym państwie i w miarę zamożnym społeczeństwie, to żyje im się lepiej.

To o nas?

– Może nie w ciągu dwóch lat, ale pokolenia, dwóch na pewno. Musimy myśleć o tych, którzy przyjdą po nas. Tym bardziej że oni będą już chcieli i umieli korzystać z miast.

Nasze pokolenie nie potrafi?

– Uczymy się. Jesteśmy potomkami chłopów przecież. Mój dziadek był kowalem na Podo-

lu, a zaledwie dwa pokolenia później ja się zastanawiam, jak projektować miasta. W cywilizowanych państwach ta zmiana nie była tak dramatycznie nagle, a tymczasem nasi dziadkowie przyjechali na ziemię zachodnie i nagle zobaczyli łazienki. Kiedy w pedecie odpalono ruchome schody, to ludzie przychodzili przejechać się nimi, a przecież w dawnym Wertheimie były standardem.

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że nie umie używać miasta. Nasi dziadkowie nie mieli do tego głowy, bo ogarniali życie na nowo. Rodzice też musieli jakoś ustać w nieprzyjaznym wolności ustroju, a my funkcjonujemy w miarę podobnie jak mieszkańcy Europy Zachodniej. Zauważamy, czego nam w mieście brakuje, i odkrywamy na przykład, że fajnie jest zjeść nad wodą.

No może niekoniecznie teraz.

– To prawda, ale wspominam o tym dlatego, że na początku minionego wieku we Wrocławiu było 120 restauracji nad wodą. Nie chodzi mi o to, że „kiedyś to były cza-sy”, tylko zauważam, że uczymy się mieszczaństwa, i nie jest to lekcja, którą da się odrobić w jedno pokolenie. Nasze dzieci czy wnuki będą chciały żyć tak, jak się żyje w Europie. Dlatego miasto musi być witalne, inaczej będzie tylko sypialnią. Są takie miasta, w których są domy i mieszkania, ale nie ma w nich miejskiego życia. Ludzie przyjeżdżają z pracy, parkują auto i idą spać. To daje jakąś synergię – bo rury kanalizacyjne czy przewody energetyczne są tańsze, niż gdyby każdy z nich mieszkał w jednorodziennym domu, ale ta synergia jest wykorzystana w 20 procentach. Bo tak naprawdę największe są synergie społeczne. To, że ludzie mogą się ze sobą spotkać.

A może przyszłość jest w metaversum? Będziemy mieszkać w ciemnych kłitkach, jeść jedzenie dostarczone dronami i żyć życiem naszych awatarów?

– W to akurat nie wierzę. Owszem, będziemy mieszkać w kłitkach, bo będziemy się bardziej atomizować w życiu prywatnym, więcej będzie singlowych związków, które się łączą na chwilę, ale będziemy z tych kameralnych prywatnych przestrzeni wychodzić, by spotkać się z ludźmi. A jeśli nie będziemy mieli na to ochoty, zamknijmy się w naszej kompaktowej ekoszufladzie. Czy pani używa Teamsów?

Nienawidzę.

– Ja też nie znoszę. Brakuje mi żywego człowieka, jego gestów, obserwacji mojego ciała, zapachu, mimiki. Ktoregoś konia trzeba obstarwić – więc ja odwrotnie niż Zuckerberg obstawiam spotkania w realu. Nie uda się technologią przeskoczyć ewolucji, która począwszy od życia w jaskiniach, premiowała wspólnotę. ●



Zbigniew Maćków

Ur. w 1969 r., architekt i twórca biura Maćków Pracownia Projektowa (MPP). Budynki ich autorstwa ukształtowały wrocławską architekturę ostatnich 25 lat, o czym można się przekonać nie tylko w realu, ale też na jubileuszowej wystawie w Muzeum Architektury. Najważniejsze realizacje: Dom Towarowy „Renoma”, zintegrowany węzeł przesiadkowy, Thespian, Hala Sportowa w Bytomiu, Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego, Green Day, Kurkowa 14, Młyn Maria. Zdobywca kilkudziesięciu nagród w konkursach architektonicznych. Założyciel Gęsto – architektonicznego think tanku zajmującego się nowymi typologiami mieszkaniowymi i rozrastaniem się miast. Ojciec Mani, Hani i Maćka, psiarz i biegacz

P

Pokój otwiera tradycyjny klucz zawieszony na ciężkim i tak wyważonym breloku, że można go postawić na stole. W łazience zwyczajne kurki do wody, w pokoju radio z dwoma pokrętłami. Telewizora nie ma, ale na parterze jest sala telewizyjna. Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi prowadzą do dużej loggii, z niej zapierający widok na wysokogórską dolinę, w której leży Davos. W każdej loggii stoją dwa rattanowe, malowane na charakterystyczny żółty kolor leżaki z grubymi materacami, właściwie leżanki. „Hans Castorp z przyjemnością zauważył od razu, że leżało się nadzwyczaj wygodnie, nigdy w życiu nie widział jeszcze tak doskonałego leżaka”. Te rzeczywiście najwygodniejsze na świecie leżaki egzystują nie tylko w „Czarodziejskiej górze” Tomasza Manna, ale też w hotelu górskim Schatzalp wniesionym na wysokości 1800 metrów, jeszcze 300 metrów powyżej Davos.

W momencie otwarcia międzynarodowego sanatorium Schatzalp w grudniu 1900 roku była to nie tylko jedna z pierwszych w Szwajcarii budowli wzniesionych ze zbrojonego betonu, ale przede wszystkim najnowocześniejsza i najbardziej luksusowa placówka leczenia gruźlicy na świecie. Jeden kuracyjny dzień kosztował tu dziesięć raz więcej niż najtańsza oferta „z dołu”, z Davos. Dziś ta proporcja jest na szczęście inna... Sanatorium powstało, kiedy w miejscowości już od przeszło 30 lat stosowano, wzorem dolnośląskiego Sokolowska, klimatyczno-dietetyczną kurację „płucno-chorych”. Doskonale opisane w „Czarodziejskiej górze” lecznicze rytuały polegały na wielogodzinnym leżakowaniu i poddawaniu się zbawienemu działaniu suchego, rozrzedzonego wysokogórskiego powietrza, słońca oraz konsumowaniu sutych posiłków. W Schatzalp podawano na obiad pięć, a na kolację nawet do siedmiu dań. Kuracjusz musiał ponadto spożyć dwa litry mleka dziennie i 60 gramów koniaku. Tym rozłożonym pomiędzy leżakowaniem a jedzeniem dniom podporządkowana była architektura i do dziś o jej wyrazistości stanowią loggie i tarasy oraz imponujące sale jadalne. Zdarzało się, że przebywali tu naraz chorzy 20 narodości. Cesarz Wilhelm II na stałe rezerwował trzy pokoje na wypadek choroby, a najsłynniejszym kuracjuszem był chyba wielki książę Dymitr Romanow.

Byłem tu dwa razy. W 2018 roku w szczycie wysokiego sezonu między świętami a sylwestrem, a drugi raz tego lata. Wtedy zimą hotel był pełen gości i obsługi. Pośród pierwszych dominowały kilkupokoleniowe szwajcarskie i niemieckie rodziny, bywające tu zapewne od lat i systematycznie. Na długich korytarzach prawnuki ścigały się balkonikami pradziadków, a kelnerzy



FOT. SHUTTERSTOCK

CO MNIE URZEKŁO?

Ostatnie drzwi, które trzaskają

Atrakcja Czarodziejskiej Góry – 90-letni ogrodnik, który na gości patrzy złowrogo

PIOTR KORDUBA*

z ujmującą konfidencją zagadywali seniorów: – Pani Hoffmann, jak miło panią znów widzieć!

Przed drzwiami jadalni wisiało uprzejme przypomnienie, że wieczorem obowiązuje marynarka. Głowę daję, że był wtedy „lepszy stół rosyjski” i gorszy tym samym też. Teraz kartki już nie było, nie było rosyjskich stołów, ale przy śniadaniowym bufecie pozostał samowar. Liczący 98 pokoiów hotel obsługuje ledwie kilka osób. To efekt pandemii, nie ma ludzi do pracy. Za to niezmiennie na miejscu jest dobiegający 90 lat ogrodnik, pracujący w hotelu od przeszło 60 lat i złowrogo patrzący na gości zbyt blisko podchodzących do hodowanych przez niego ziół.

Nie udało się w tym roku uruchomić drugiej restauracji, kelner ze śniadania musi mieć wieczorny dyżur w recepcji, a kelnerka popołudniowy na tarasie. Czasem będą się zdarzały wpadki niczym z angielskiego serialu „Hotel Zacisze”. Rzadko są na to skargi, goście na ogół wiedzą, dokąd przyjechali.

Hotel przyciąga miłośników „Czarodziejskiej góry” z całego świata. Choć przebywająca na kuracji w Davos małżonka Manna wcale w Schatzalp nie mieszkała, a pisarz skompiłował swą wiedzę o klimatycznej kuracji gruźlicy z różnych źródeł

i sanatoriów, uważa się, że właśnie to miejsce jest dla powieści pierwowzorem, i bardzo się „tu na górze” to przekonanie pielęgnuje. „Oczekujemy pana na Czarodziejskiej Górze” – odpisze w mailu recepcjonista. W 2015 roku hotel stał się planem głośnego filmu „Młodość” w reżyserii Paola Sorrentina i jest w nim właśnie taki jak w rzeczywistości. Z hotelowych elewacji mocno odchodzi farba, wyposażenie stanowi melanz mebli zabytkowych i ikeowskich, najnowsze łazienki są z lat 50., ale w niektórych numerach nadal błyszczą armatura z lat 30. Przy łóżkach są przyciski do wzywania służby, a na korytarzach szyldy z możliwością przywołania pielęgniarki, pokojówki lub lokaja. Działają, tylko nikt już nie przyjdzie...

„Nawet jeżeli umiera ktoś w twoim sąsiedztwie, nie zauważasz tego. Trumnę przynoszą z samego rana, kiedy jeszcze śpisz, a wynoszą zmarłego także tylko w takich godzinach, na przykład podczas jedzenia” – objaśnia no Castorpowi. W sanatorium Schatzalp tę dyskrekcję ułatwiał zachowany do dziś w piwnicy tunel do wywożenia zwłok, prowadzący pod ziemią do górnej stacji kolejki łączącej hotel z Davos, która jest częścią kompleksu. W połowie tunelu znajduje się niewielka komora, akurat taka, aby po-

mieścić dwie czekające ponoć zawsze „w pogotowiu” trumny dla tych, którym ani leżaki, ani koniaki nie pomogły. „Ostatni zjazd” niekoniecznie musiał się odbywać wagonikiem. Używano do tego także toru bobslejowego, o czym Mann pisze wprost w kontekście Schatzalp: „Zwłoki z sanatorium na górze odbywały tę samą drogę, w pędzie przesuwały się pod mostkami, brały wszystkie zakręty i dążyły w dolinę, w dolinę...”.

Sanatorium było naszpikowane także bardziej przyjaznymi technologicznymi nowinkami. Dysponowało elektrycznością, centralnym i podłogowym ogrzewaniem, windami (zachowanymi). Do dziś kaloryfery w pokojach mają niewielkie zamknięte szafki służące do podgrzewania kuracyjnego mleka. Pomieszczenia wspólne wyłożone są malowaną na biało boazerią i marmurowymi płytami, co ułatwiało szybką dezynfekcję. Na korytarzach i w pokojach stosowano linoleum, które także poddawano systematycznym odkażającym zabiegom. Funkcjonowanie sanatorium stało się bezcelowe po wynalezieniu streptomycyny i w 1953 roku przekształcono je w elegancki hotel. Od tego czasu w dawnej pracowni RTG można było palić, zamieniono ją bowiem dowcipnie w szykowną palarnię, zachowując ekrany do podświet-

tlania zdjęć rentgenowskich! Linoleum zastąpiono grubymi dywanowymi wykładzinami, a wielojęzyczną sanatoryjną bibliotekę zamknięto w przeszlonych szafach trzeciego piętra w obawie przed prątkami Kocha, które mogły jeszcze drzeć na kartach książek. Od tamtego czasu niewiele zmieniło się w hotelu. Jego właściciel, miejscowy przedsiębiorca, powtarza, że w Schatzalp są ostatnie trzaskające drzwi w całym Davos. „Na dole” wszystkie są już automatyczne.

Alto jednak cizsa jest jednym z głównych luksusów tego miejsca. Skromne śniadanie jada się przy dyskretnych rozmowach, cicho jest też przy wieczornej kolacji. Z doliny nie dobiegają poza kościelnymi dzwonami żadne dźwięki, goście zdają się nie mieć telefonów komórkowych. Wieczorami leży się w swoich loggiach na tych najwygodniejszych leżakach. Ich tajemnica tkwi chyba w wysokości – sięgają aż do kolan. Najprzyjemniej jest leżeć po zmierzchu i wczesną nocą. W bezdźwięcznym wieczorze czuje się tylko obecność przelatujących nieustannie nietoperzy. Jednego martwego znalazłem w swoim pokoju za zasłoną. Dawno padł. Wyjeżdżając, powiedziałem o tym bez pretensji w recepcji. Rozbawiony i rozczulony zarazem losem nietoperza recepcjonista przeprosił mnie, parodiując konwencjonalne zakłopotanie, i wyraził nadzieję, że znów przyjadę. – Oczywiście, tylko nic tu nie zmieniajcie i nie remontujcie – odparłem. ●

Wszystkie cytaty pochodzą z „Czarodziejskiej góry” Tomasza Manna w przekładzie Józefa Kramsztyka

***Piotr Korduba** – historyk sztuki, dyrektor Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Zajmuje się kulturą zamieszkiwania, wzornictwem, niemiecko-polskimi relacjami artystyczno-historycznymi, a także problematyką miejską.



10 września 1951 roku sir Hugo Beaver wybrał się z grupą znajomych na polowanie na błotne równiny North Slob w północnej Irlandii. Zmierzył się do strzału do siewki złotej, ale chybił. Nic w tym dziwnego, siewka to zwinny i szybki ptak.

Sir Beaver wdał się potem w spór, jaki ptak w Europie jest najszybszy. Jedni obstawiali za siewką, inni za pardwą, a nasz bohater zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma gdzie tego zweryfikować. Ba, doszedł do wniosku, że musi istnieć jeszcze wiele podobnych problemów, nad którymi toczą się spory o wiele żarliwsze niż ten dotyczący siewki i pardwy. Choćby te prowadzone w pubach, nad pintami złocistego napoju.

Sir Hugo Beaver wykoncypował zatem, że przydałaby się książka zawierająca odpowiedzi na podobne pytania. A że zarządzał akurat browarem St. James's Gate, który Arthur Guinness wynajął w 1759 na lat 9 tysięcy, by produkować tam piwo swego nazwiska, księga nazwana została „Księgą rekordów Guinnessa”.

Beaverowi w sukurs przyszedł inny sir, Christopher Chataway, który pracował w browarze. To on podsunął sir Hugo Norrisa i Rossa McWhirterów, kolegów ze studiów, dziennikarzy, pisarzy i byłych sportowców, którzy pasjami zbierali ciekawostki ze świata.

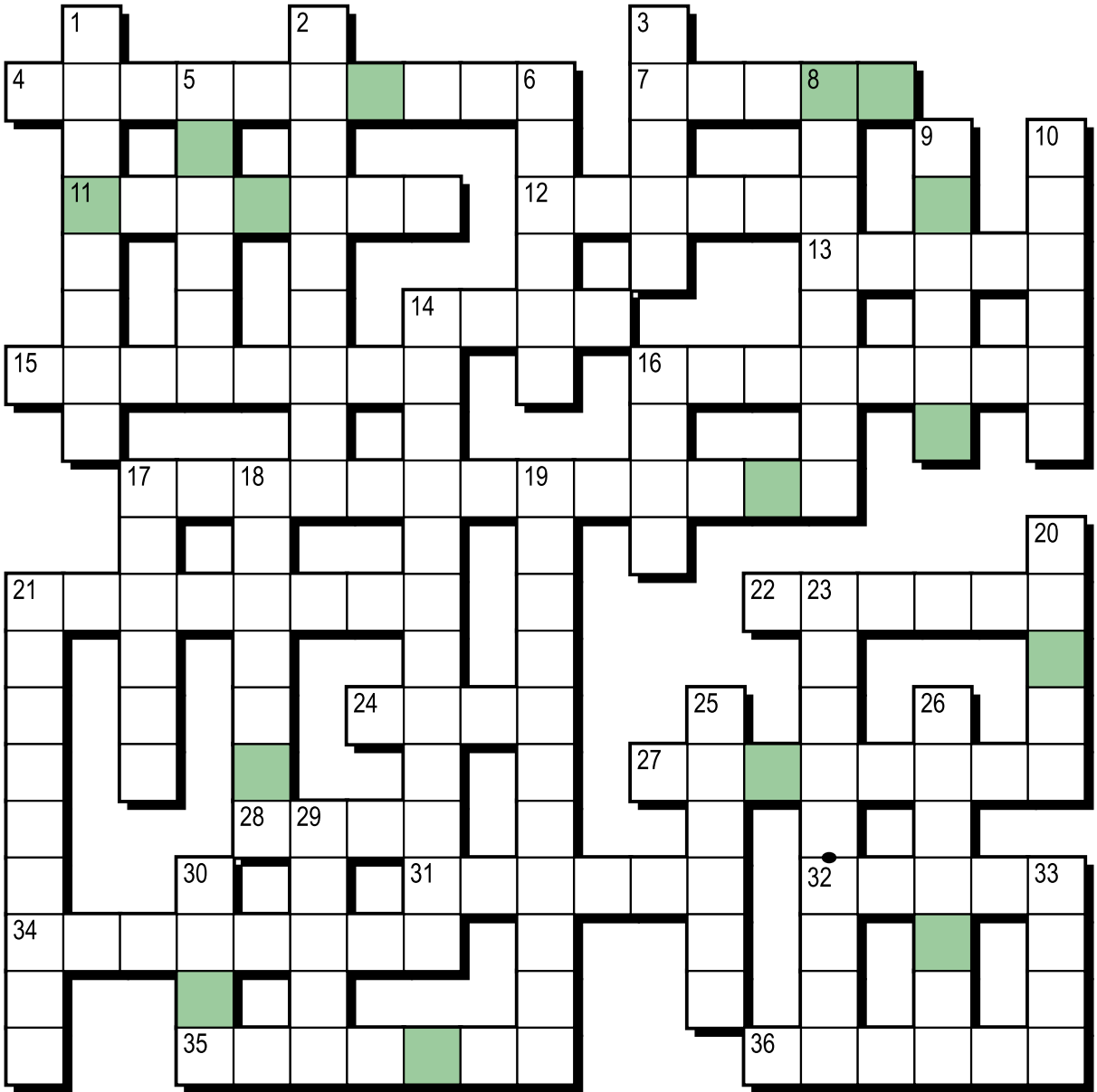
Pomogli stworzyć „Księgę”, której pierwsze wydanie ukazało się 27 sierpnia 1955 roku w liczbie tysiąca egzemplarzy. Rok później publikacja zadebiutowała w USA i tylko tam sprzedano jej 70 tysięcy. Do dziś kopii rocznika sprzedano ponad 100 mln, w stu krajach.

Choć twórcy „Księgi rekordów Guinnessa” nie akceptują bezkrytycznie każdego „rekordowego” osiągnięcia, to i tak w „Księdze” znajdziemy wiele co najmniej dziwnych rekordów, jak: najwięcej obrotów, wisząc na wiertarce (148 w minutę, „wyczyn” niejakiego The Huy Giang), najdłuższe paznokcie świata (Hindus Shridhar Chillal nie obcinał ich przez 66 lat, wyhodował paznokcie mierzące ponad 883 cm), czy najwięcej wniesionych pozwów (Jonathan Lee Richards założył ich ponad 4 tysiące, ba, pozwał nawet Guinnessa, kiedy dowiedział się, że jest rekordzistą).

Dlatego dzisiaj „Weekendówkę” poświęcimy wszelakim rekordom. A pomógł nam ją ułożyć niezawodny Michał Nogaś, bez wątpienia rekordzista, jeśli chodzi o pomoc w układaniu „Weekendówek”.

Zapraszamy. Może ktoś z Państwa pobije rekord w szybkości rozwiązywania „Weekendówki”? ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 15 z 20.08: SZERPOWIE

REKORDY

Hasła Michała Nogasia oznaczono inicjałami (MN). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) bywa rekordowa, ale w Polsce przy urnach wciąż zbyt niska (MN)
- 7) azjatycki kraj, w którym w ciągu 12 godzin w jednym ze stanów posadzono ponad 66 milionów drzew
- 11) wielki zapał, werwa
- 12) zwycięstwo
- 13) na czele klasyfikacji
- 14) ... pralką, jedna z „dyscyplin” z rekordem do pobicia

- 15) w przerośni: górna granica czegoś, maksimum, np. ... hipokryzji (na mapie Azji)
- 16) musi być silna u śmiałka podejmującego próbę pobicia rekordu
- 17) długie ..., poprzedzają próbę pobicia rekordu
- 21) Cadillac Eldorado – najdłuższy ... świata (30,5 m długości)
- 22) pomyślny wynik, osiągnięcie celu
- 24) ... na czworakach na sto metrów (najlepszy wynik: 16,87 s)
- 27) potocznie: najlepszy wynik osiągnięty przez danego sportowca
- 28) największy lub najdłuższy ... na świecie, wyzwanie dla cukierników

- 31) dotkliwe porażki (cóż, nie zawsze wszystko się udaje)
- 32) oklaski
- 34) na tronie przegoniła ją Elżbieta (MN)
- 35) ... Rekordów Guinnessa, bada i uznaje (lub nie) wyniki
- 36) bywa, że firma marzy o rekordowych zyskach, a odnotowuje ...

Pionowo:

- 1) ojczyzna St. James's Gate Browery, tego od Guinnessa (MN)
- 2) wyniki
- 3) ... rekordu, próba osiągnięcia wyniku lepszego niż dotychczasowy
- 5) wieczysta, Wyjścia lub rekordów (MN)

- 6) król kojarzony z rekordami (MN)
- 8) w tym roku rekordowa (zżera nasze oszczędności)
- 9) zdumienie połączone z uznaniem
- 10) Ashrita, Amerykanin, zdobywca największej liczby rekordów Guinnessa (jak woźnica)
- 14) sportsmenka z najlepszym wynikiem w historii
- 16) który europejski ... jest najszybszy: siewka złota czy cietrzew? (pytanie z anegdoty o powstaniu „Księgi rekordów Guinnessa”)
- 17) ustalenie odległości, czasu, wagi
- 18) więcej niż podziw

- 19) doskonałe wyniki, sukcesy
- 20) nadbałtyckie kąpielisko, w którym bito rekord Guinnessa w ciągłym graniu w siatkówkę plażową
- 21) uczestnicy zawodów, turniejów
- 23) od 13 lat nikt go nie przegonił (MN)
- 25) rezultaty
- 26) złota – w logo „Księgi rekordów Guinnessa”
- 29) wielka ilość czegoś, np. ... wysiłku włożonego w pobicie rekordu
- 30) ... na rekord, czyli próba jego pobicia
- 33) ... Green, rekordzista prędkości osiągniętej na lądzie

Byle do **Weekendówki**

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play